

Edmund Wnuk-Lipiński

Mord założycielski

1989

TMN

Pamięci Kuby, którego myśli
przyczyniły się do powstania tej książki

I

Czy można dojść do prawdy, czy można prawdziwie pisać? To co piszę, czynię na własny użytek i nikt postronny nigdy tego nie przeczyta. A jednak czuję, że nie jest to prawda, a przynajmniej — nie jest to prawda pełna. Okłamuję sam siebie, choć nie wiem kiedy i jak. Wszystko jest fikcją, nawet prawda!

z „Dziennika prywatnego Wiktora Nordmanna”, materiał nie publikowany. Archiwum Główne Służb Specjalnych, sygnatura AG/1786/29

Daniel III spojrział przelotnie na kamerę, która prowadziła go czujnie. Drzwi, widać słabo konserwowane, otworzyły się z szurgotem i owiał go zapach tanich perfum, cygar z bazaru i czosnku. Bar wypełniony był po brzegi. Przez hałaśliwy gwar z trudem przebijiała się rytmiczna, niespokojna muzyka.

Przystanął na podeście schodów prowadzących do ogólnej sali i z nawyku uważnie zlustrował wnętrze. Część zgromadzonych tu ludzi tańczyła, a ponieważ miejsca było mało, tańczący tworzyli zwarte kłębowisko drgające spazmatycznie w modnym rytmie holo. Nad tańczącymi pulsowała wielobarwnym światłem ich holograficzna replika, przypominająca z tej odległości widmowe fantazje malarskie, które od kilku lat na dobre zadomowiły się w galeriach wystawowych.

Inni ludzie pili wódkę, a częściej jeszcze — wódkę pomieszaną z piwem. Zwyczaj ten wchodził w coraz powszechniejsze użycie od czasu, kiedy w telewizji ujawniono, iż ten osobliwy, oparty na starych recepturach koktajl ma mniej skutków ubocznych niż zwykła pastylka podniecająca. Daniel III skrzywił się widząc rozwrzeszczane, zaczerwienione twarze. Nie pił wódki, a tym bardziej nie zażywał pastylek podniecających. Był za wodnikiem i musiał dbać o swoje ciało.

W rogu sali dostrzegł komputer rozrywkowy. Niemal wszystkie miejsca przy pulpitych były zajęte, głównie przez mężczyzn. Dobiała stamtąd bezładna mieszanka elektronicznych dźwięków, które dla zapalonych graczy były równie pociągające, jak gardłowy śmiech kobiet dla astronauty wracającego z dłuższego rejsu.

Daniel III zbiegł po schodach i wmieszał się w tłum. Nikt nie zwracał na niego uwagi, nawet ludzie z obsługi, ubrani w służbowe kombinezony. Poczł się lepiej, w poprzednim barze bowiem rozpoznano go tuż po wejściu. Podeszedł do zwolnionego pulpitu przy komputerze i jeszcze raz rozejrzał się po sali. Kilka ochotniczek z obsługi spojrzęło na niego, ale w ich wzroku nie dostrzegł owego błysku poznania, który mógłby mu zepsuć cały wieczór. Nikt go nie rozpoznał; Apostezjon bawił się przed zawodami.

Daniel III odetchnął z ulgą i zaczął od niechcenia grać. Nie przykładał się jednak specjalnie do gry, wzrok jego bowiem błędził ciągle po kipięcej wesołości sali. Wszystkie ochotniczki były już zajęte.

Od kiedy stał się zawodnikiem, oglądał eliminacje dla amatorów w towarzystwie kobiety, bo taki był zwyczaj. Do tej pory wystarczały mu zawodówki, ale tym razem postanowił spróbować z ochotniczką. W końcu był zawodnikiem z pierwszej dziesiątki zawodowców Apostezjonu, więc mógł sobie pozwolić na pewną ekstrawagancję. Zresztą André twierdził, że ochotniczki są lepsze. Nie było powodów, aby mu nie wierzyć. Daniel III miał już dwadzieścia cztery lata. Wchodził więc w pełnię możliwości, kiedy to naturalna wydolność ciała tworzy piękną kombinację z nabytym doświadczeniem. Był dziesiąty na liście zawodowców. Ale z tej dziesiątki przed nim tak naprawdę liczyło się pięć, no, może sześć nazwisk. Pozostali byli starymi, ponad trzydziestoletnimi ramolami, którzy mogli wypaść z gry już na najbliższych zawodach. Do szczytu było niedaleko. Zamierzał go osiągnąć i pozostać na nim jak najdłużej, co — przy odrobinie szczęścia — mogło potrwać cztery, a nawet pięć lat.

Zatrzymał wzrok na ochotniczce towarzyszącej jakiemuś grubasowi. Dziewczyna była ładna; krótkie blond włosy, spięte niedbale w okolicach skroni, nadawały jej lekko szelmowski wygląd. Regularne rysy twarzy znamionowały urodzenie wartościowe genetycznie. Rozmawiała śmiejąc się często. Biel równych zębów dobrze kontrastowała z czerwienią symetrycznie wykrojonych ust. Daniel III lubił to zestawienie kolorów: biel i czerwień, czerwień i biel; śnieg i krew, śmierć i życie, dobroć i przemoc. Tajemnica bytu...

Grubas palił cygaro, jak niemal wszyscy mężczyźni na sali. Tuż przed zawodami nadjechał duży transport. Cygara zniknęły z trafik niemal natychmiast, zwłaszcza że nie były drogie i każdy praktycznie mógł sobie na nie pozwolić. Dym z cygara od czasu do czasu kierował się w stronę jej twarzy i wówczas odganiała go machinalnie dłonią, na której Daniel III zauważył staranny makijaż. Był to niezbitý dowód, że ochotniczka nie była temporystką ani — tym bardziej — lovitką.

Daniel III obserwował ją uważnie. Dziewczyna, jakby instynktownie czując na sobie jego wzrok, poruszyła się niespokojnie, spoważniała i rozejrzała się po sali. Nie zauważyła jednak nic szczególnego i powróciła do przerwanej rozmowy. Rozejrzał się jeszcze raz po sali. Nie był ostatecznie zdecydowany, ale nie ulegało wątpliwości, że na

tle innych ochotniczek pracujących w barze właśnie ona była najbardziej atrakcyjna. Zaprażyła więc, aby towarzyszyła mu w łoży dla zawodowców. Miał nadzieję, że przyniesie mu szczęście w zawodach i pomoże w wywindowaniu się o jedno, a może więcej miejsc w górę listy klasyfikacyjnej. Daniel III, jak większość rasowych zawodników, był przesądny. Toteż nigdy nie pozwolił sobie na start bez dziewczyny, która miała mu zapewnić łaski fortuny.

Szybko, jakby od niechcienia, wygrał z komputerem, co wprowadziło w zdumienie siedzącego obok faceta. Był zły na siebie za tę nieostrożność; powinien był raczej poddać się, ale nie znosił przegrywania. Wzruszył więc tylko ramionami, jakby chciał dać do zrozumienia, że ta gra była wyjątkowo prosta, i leniwym krokiem ruszył w kierunku ochotniczki.

Gdy stanął przy jej stoliku, podniosła głowę i spojrzała na niego pytająco. Nie poznaje mnie — pomyślał. — Dobry znak. Może nawet wcale nie interesuje się zawodami? Grubas odstawił kufel z piwem, wyjął chusteczkę i otarł nią usta. Był tłusty, ale nie opasły. Z szeroką, zdawało się, dobroduszną twarzą, kontrastowały oczy: stalowoszare, pancerne czułki duszy. W tych oczach Daniel dostrzegł okrucieństwo.

Grubas zaczął wycierać kark i wtedy spod kołnierza jego kombinezonu wychyliła się miniaturowa odznaka killera. Grubas był killerem! Dreszcz radosnej emocji przeszył Daniela. Wyjąć ochotniczkę killerowi to nie byle co! Nagle dziewczyna zdała mu się bardziej pociągająca niż przed chwilą. Teraz był już pewien, że tylko ona może być jego szczęśliwą maskotką. Gdyby z niej zrezygnował, byłby to zły znak przed zawodami. Stał więc nieporuszony i wpatrywał się w grubasa, który spojrzał nań niechętnie i zapytał:

— O co chodzi?

Daniel nadal nie odzywał się.

— Czy to twój przyjaciel? — grubas zwrócił się do ochotniczki, starając się nadać swojej wymowie wytworne, kosmopolityczne brzmienie. Dziewczyna zaprzeczyła powolnym ruchem głowy i wówczas Daniel III wziął kufel grubasa, wylał resztę piwa do popielniczki i powiedział:

— Za dużo pijesz, tatusiu. Idź do domu. Czas spać.

— Uch, ty swołocz! — warknął grubas podnosząc się wolno. — Ja ci... — Chwycił Daniela III za kombinezon, jakby chciał go wynieść z baru, ale ten złapał go za rękę i choć uczynił to jakby bez wysiłku, przez twarz grubasa przeleciał grymas bólu.

— Twój wieczór już się skończył, tatusiu — powiedział Daniel beznamiętnie, trzymając rękę killera w uścisku. Po chwili odepchnął go lekko i usiadł na jego miejscu. Grubas bezradnie rozejrzał się po sali, po czym szybko ruszył w kierunku wyjścia.

Daniel III spojrzał na zaskoczona, dziewczynę, roześmiał się i sięgnął po garść orzeszków.

— Dobry wieczór! — zagadnął.

— Nie bardzo dobry — odparła niechętnie. Z bliska była jeszcze ładniejsza.

— Dlaczego odepchnąłeś mojego przyjaciela?

— Dzisiaj ja będę twoim przyjacielem, zgoda? Jak masz na imię?

— Candida. Dla przyjaciół — Candy.

— Ładne — rzekł zdawkowo. — Czy możemy gdzieś porozmawiać?

— Przecież rozmawiamy.

— Nie tutaj — przerwał jej z ledwie wyczuwalnym zniecierpliwieniem. — Za kilka minut ten grubas będzie z powrotem, a z nim cała sfera speców.

— To twój problem. — Potrząsnęła energicznie głową. — Zgłosiłam się na sześć godzin pracy społecznej. Muszę dzisiaj wyrobić zaliczenie, a poza tym — zawahała się i dodała ciszej — lubię ludziom pomagać.

— Wiem. Pomóż mi więc. Za pięć minut będzie tu niezła rozróżba.

— Sam się w to wpakowałeś.

— Wolałabyś dalej siedzieć z tym spoconym grubasem?

— Taki sam człowiek jak ty. A przy tym — niebezpieczny. Strzeż się go. To... — urwała i dodała szeptem: — To killer! A teraz spływaj, bo naprawdę będziesz miał kłopoty.

— Nie ruszę się bez ciebie.

— Czy wiesz, kto to jest killer? — popatrzyła na niego zdumiona jego beztróską.

— Wiem. To mutant, wyhodowana w probówce maszyna do zabijania, która ma ludzki kształt tylko dlatego, że do hodowli używa się ludzkich...

— Ciii... — spłoszona położyła mu dłoń na ustach i spojrzała na niego uważnie.

— Jesteś jakiś dziwny — powiedziała wolno. — Czy ty przypadkiem nie należysz do...

— Pudło! — przerwał jej. — Nie trafiłaś! Nie jestem specem.

— To zjeżdżaj stąd! Natychmiast! Mówiłam ci, że to niebezpieczny facet. On tu nie przyszedł ze specami, ale z... — przerwała i zmieszana sięgnęła po piwo. — Nie chcę być w to zamieszana.

— Już jesteś. — Daniel III wyjął jej szklanekę z ręki. — Jeśli ja zniknę, to odegra się na tobie. Na to przecież nie mogę pozwolić — dodał trzymając ją za rękę.

— Proszę cię, idź już. — Wyswobodziła rękę, ale w jej głosie wyczuł pierwsze oznaki rezygnacji. — Dam sobie jakoś radę. W końcu jestem tu tylko na pracy społecznej.

Daniel III rozsiadł się wygodnie, jakby miał zamiar spędzić przy stoliku resztę wieczoru.

— Jeśli masz na mnie ochotę, to nic z tego. — Próbowwała jeszcze bronić się. — Jestem słaba technicznie, a poza tym...

— Idziemy! — wstał i wziął ją za rękę. Nie stawiała oporu. Gdy przeciskali się przez tłum tańczących, przyciągnął ją bliżej.

— Nawet nie wiem, jak się nazywasz — usiłowała przekrzyczeć gwar.

— Możesz mnie nazywać Trzeci.

— Trzeci? Dlaczego nie Pierwszy?

— Chyba nie jestem pierwszy w twoim życiu? — Udało mu się wreszcie wywołać uśmiech na jej twarzy.

Doszli do wyjścia. Candy zatrzymała się i powiedziała:

— Właściwie musiałabym się przebrać. — Sięgnęła po torbę z szatni i włożyła do niej swoją odznakę ochotniczki.

— Chodź — pociągnął ją niecierpliwie. — Później pomyślimy o twoich strojach.

— Trzeci — powiedziała wolno, patrząc przez oszklone drzwi. — Oni już tam są. Czekają na ciebie. Może lepiej zawołamy speców?

— Ty się boisz — stwierdził raczej, niż zapytał.

— Bo mam wyobraźnię — rzekła ze smutkiem. — Czuję krew. Nie lubię tego widoku. Powariowaliście wszyscy przed tymi zawodami. Dlaczego nie poczekacie? — Mówiła tak, jakby ci za drzwiami też mogli ją słyszeć. — Za niecały tydzień będziecie mogli dać upust swoim samczym instynktom. Dlaczego już dzisiaj?

Daniel III pociągnął ją w stronę wyjścia, ale poczuł opór.

— Oni cię zmasakrują, Trzeci. Żal mi ciebie, ale nie chcę z tym mieć nic wspólnego, rozumiesz? Czy jesteś w stanie to zrozumieć? — Potrząsnęła nim. — Czy ty w ogóle mnie słyszysz?

— Tak, tak — odparł nieuważnie. — Poczekaj tu na mnie. Za chwilę wrócę. Tylko nigdzie nie odchodź, pamiętaj, bo i tak cię znajdę.

Pchnął szybko szklane drzwi, odwrócił kamerę telewizyjną do ściany i zablokował, po czym powoli zaczął schodzić po schodach. Poczul przyjemne mrowienie między łopatkami, jak wówczas, gdy miał do pokonania niezbyt wymagającą przeszkodę. Był czujny i skoncentrowany; adrenalina już przyspieszyła pracę serca, a nogi same zaczęły taniec śmierci. Daniel III też poczuł krew, ale wiedział, że nie będzie to krew z jego żył.

Na chodniku stało pięciu mężczyzn, a wśród nich killer. Ciekawe, czy mają jakieś narzędzia — pomyślał leniwie, schodząc coraz wolniej. Mrowienie rozlało się po całych plecach: był już gotów do walki. Jego ciało zmieniło się w precyzyjny instrument zniszczenia, który byle agresywny impuls mógł wprawić w ruch. Przez moment zrobiło mu się żal tych chłopców, którzy prawdopodobnie nie byli przyzwyczajeni do oporu ofiary, ale zaraz zdusił w sobie to uczucie. Rozpraszało ono uwagę.

— To ten — rzekł półgłosem killer.

Ruszyli na niego gromadnie, jak po łatwą zdobycz. Nie ubezpieczali się wzajemnie. Był to błąd, który Daniel III natychmiast wykorzystał. Skoczył na środkowego, piętą zmiażdżył mu twarz i wylądował miękko na ich tyłach. Obrócili się niemal natychmiast, ale było już za późno. Drugi z napastników, który obracał się najwolniej — uderzony przez Daniela III jakby od niechcienia, leżał na chodniku zwijając się z bólu. Daniel III wypełniony euforią walki zadawał ciosy niemal bez udziału świadomości.

Jeden z napastników wyjął obezwładniacz, a w ręku drugiego zaślniła brzytwa. W ich oczach Daniel III dostrzegł strach. Teraz już bronili się przed losem, który spotkał ich kumpli. Kątem oka zauważył, że killer zaczął powoli wycofywać się w kierunku baru. Postanowił szybko zakończyć walkę. Zaatakował napastnika z obezwładniaczem. I tym razem cios był celny: ręka pękła, a obezwładniacz z brzękiem upadł na chodnik. Ostatni napastnik rzucił się do ucieczki. Daniel III nie zwracał już na niego uwagi, tylko przeciął drogę killerowi:

— Mówiłem, tatusiu, że czas spać. I dobiez sobie lepszych czeladników do swojego rzemiosła. Ci byli do niczego.

Killer zaczął wycofywać się tyłem, a później, w bezpiecznej odległości, też rzucił się do ucieczki. Daniel III nie czuł żadnego zmęczenia. Stał przez chwilę w bezruchu, aby opanować mięśnie gotowe do zadawania dalszych ciosów. Rozejrzał się, ale ulica była pusta. Jedynie przez oszklone drzwi baru wpatrywało się weń kilka par oczu. Kopnął obezwładniacz w stronę rynsztoka. Twarze za drzwiami zniknęły. Tylko sylwetka Candy majaczyła niewyraźnie. Otworzył drzwi, wziął ją za rękę i powiedział:

— Teraz już możemy iść.

II

Na najbliższy tydzień planuje się pogodę standardową. Jedyne w południowej części wyspy poranne opady będą nieco dłuższe, ale z pewnością, nie przeciągną się poza godzinę siódmą. Sytuacja wodna Apostezjonu jest w normie, co jednak nie powinno zwalniać nas z nawyku oszczędzania. Bilans handlu zagranicznego jest napięty i każda konieczność wydłużania opadów porannych to uszczerbek w naszym budżecie. Dla przykładu podajemy, że przedłużenie opadów o kwadrans kosztuje tyle, ile dobowe dostawy energii dla 10 tysięcy mieszkańców. Wiatry umiarkowane, wschodnie. Jedyne na południu — zmienne, od siódmej rano aż do zmierzchu z rosnącą przewagą wschodnich. W ciągu dnia — brak zachmurzenia.

„Tygodniowy Harmonogram Pogody” — Telegazeta — wydanie poranne, nr 41/5246 z dnia 22 kwietnia 2044 roku

Centrum dyspozycyjne Sektora IV mieściło się na ostatniej kondygnacji studniodziestopiętrowego wieżowca, tuż pod lądowiskiem wirolotów. W głównej, najobszerniejszej sali znajdowały się monitory kontrolne, środki łączności, jeden podręczny komputer oraz dwa niezależne połączenia z głównym komputerem, który przez techników bezpieczeństwa nazywany był pieszczotliwie Jasiem. Sierżant Trent objął służbę o ósmej. Wyglądało na to, że noc — mimo napływu pierwszej fali turystów — przebiegnie spokojnie. W końcu do zawodów było jeszcze pięć dni. Poprzednik Trenta ani razu nie musiał odrywać chłopców z plutonu interwencyjnego od programów wideo. Trent również miał nadzieję, że nie będzie musiał podrywać ich do akcji. Monitory mżyły zielonkawym światłem. Przekazywany przez nie nieruchomy obraz fragmentów miasta z rzadka tylko bywał zakłócany przez przejeżdżający ekipart czy grupkę zapóźnionych przechodniów.

Trent rutynowo zanotował stan poszczególnych punktów obserwacyjnych i przesłał do głównego komputera lakoniczny raport: „Sektor IV, godzina 21.00 — spokój”. Za oknami rozpościerała się wspaniała panorama miasta, ale Trent nie zwracał na nią

uwagi. Wiedział bowiem, że przez okno nie zobaczy niczego, co mogłoby odnosić się do jego służby. Co najwyżej mógłby poobserwować przez lornetkę pewną młodą dziewczynę, która w sąsiednim wieżowcu miała zwyczaj kończyć dzień serią wymyślnych ćwiczeń gimnastycznych, a całym jej strojem była przepaska na włosach. Ale na ten spektakl było jeszcze za wcześnie, dziewczyna bowiem nie zaczynała swoich ćwiczeń przed godziną dwudziestą drugą.

Podszedł do dystrybutora spożywczego, zadysponował koktajl numer czternaście ze wzmacniaczem i zaczął przeglądać tytuły kaset wideo. Oglądanie filmów w czasie służby nie było wprawdzie zalecane, ale nie było też zabronione. Wszak monitory kontrolne były na stałe połączone z komputerem, rola człowieka zaś sprowadzała się właściwie do nadzoru i podejmowania mniej konwencjonalnych decyzji. Toteż nie tylko Trent, ale wszyscy technicy bezpieczeństwa zabijali długie wieczorne i nocne godziny oglądaniem filmów z bogatej podręcznej wideoteki. Wideoteka była naprawdę dobrze wyposażona. Mieli w niej bowiem nie tylko filmy z telewizji, lecz także bogatą kolekcję konfiskat celnych (Trent nie lubił tych kaset; zarejestrowane na nich historyjki były na wskroś cyniczne i nie pozwalały człowiekowi wierzyć w lepszą przyszłość), a także niemały zestaw filmów rodzimej produkcji, który był plonem rewizji u tych nieszczęsnych temporystów (i tych kaset Trent nie oglądał, gdyż zamiast relaksu i rozrywki wprowadzały one widza w zdenerwowanie; w końcu — kto lubi oglądać się w roli czarnego charakteru?). Trent był miłośnikiem filmów dziejących się w kosmosie. Może dlatego, że kiedyś w młodości marzył o karierze pilota statku kosmicznego. Testy jednak wykazały, że nadaje się najwyżej na tebeka średniego szczebla. Trent mógł bez końca oglądać owe niezmiernie przestrzenie międzygwiazdne, będące areną dzielnych wyczynów przedstawicieli Apostezjonu, gromiących w imię prawa nędzne zakusy wrogów lub ratujących całą planetę przed inwazją Obcych. Z młodzieńczych marzeń zostało mu wideo, ale dobrze i prawidłowo zrobione! Lubił fantastykę naukową, podobnie jak wielu jego kolegów zabijających nudę wielogodzinnej służby.

Po chwili rozterki wybrał wreszcie kasetę i włączył urządzenie. Jeden z martwych monitorów ożył. Grube ziarna rozbieganych punktów ułożyły się wkrótce w obraz przedstawiający Ziemię, zawieszoną w czarnej pustce kosmosu. Ten zwykły, znany wszystkim Ziemianom obraz zmieniał się stopniowo w wizerunek magnetyczny tej samej planety. Teraz Ziemia, otoczona drżącą osłoną magnetosfery, straciła swój monumentalny wygląd. Podobna była do kropli rtęci, zanurzonej w większej nieco kropli oleju, szarpanej brutalnie przez kapryśne poddmuchy wiatru słonecznego, gotowej w każdej chwili pęknąć i ulecieć wraz z jego porywami.

Trent, zerkając na ekran, sięgnął po przygotowany koktajl i siorbnął spory łyk gorzkiego płynu. Rzucił jeszcze kontrolnie okiem na rzędy monitorów i zagłębił się w fotelu, który natychmiast przystosował się do przyjętej przez niego pozycji.

Obraz powiększał się. Planeta wypełniała już niemal cały ekran i wówczas jej wizerunek zamienił się w graficzny model komputerowy. W prawym dolnym rogu ekranu pojawił się licznik lat z czterema zerami. Ekran powoli zaczął się oddalać. Był on fragmentem ściany stanowiącej najwidoczniej konsolę jakiegoś ogromnego komputera. W ekran patrzyło siedem postaci spowitych panującym w pomieszczeniu półmrokiem. Z ekranu popłynął ciepły głos komputera (Trent był przegnany, że głos ten podstawia we wszystkich filmach jedna i ta sama osoba): „Analiza retrospektywna pozwoliła ustalić przyczyny obecnego zagrożenia”. Licznik na ekranie ruszył w stronę wartości minusowych, a graficzny model planety zaczął wypełniać się szczegółami. Na tym tle pojawił się krwistoczerwony napis: „MISJA RATUNKOWA — odcinek IX”. Trent lubił tę serię; może dlatego, że głównymi bohaterami była trójka prostych tebeków, którzy dzięki swojemu sprytowi i, rzecz jasna, dobremu wykszoleniu ratowali Ziemię z licznych zagrożeń zewnętrznych i wewnętrznych. Na dobrą sprawę mógłby on być jednym z nich, gdyby życie ułożyło mu się trochę inaczej. Napisy zniknęły i znów odezwał się wszechwiedzący komputer:

— Zlokalizowałem zapętlenie przyczynowo-skutkowe. Prawdopodobieństwo błędu: zero zero jeden. Prawdopodobieństwo usunięcia przyczyn w sposób naturalny: zero, dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć, jeżeli użyje się czynnika ludzkiego pochodzącego ze zlokalizowanej stery przestrzennoczasowej.

— Czy znajdzie się tam odpowiedni materiał ludzki? — zapytała jedna z postaci. (Trent klepnął się z radości po udach. Znajdzie się, znajdzie — pomyślał z zadowoleniem. — Takich jak ja jest wielu!).

Na ekranie miejsce graficznego obrazu planety zajął wykres rozkładu normalnego, który przybrał kształt dzwonu. Niektóre fragmenty tego wykresu poczęły emitować regularne impulsy świetlne.

— To jest rozkład populacji ziemskiej (Trent obruszył się na dźwięk słowa „rozkład”. Ci statystycy mogliby wymyślać bardziej fortunne nazwy dla swoich obliczeń — pomyślał). Analiza statystyczna — ciągnął komputer — wykazuje, że są tam ludzie, którzy mogliby wprowadzić pożądane korekty do ciągu przyczynowo-skutkowego. Szczególne zagęszczenie potencjalnych kandydatów znajduje się na Apostezjonie, gdzie istnieją warunki sprzyjające wszechstronnemu rozwojowi osobowości człowieka. (Trent nie wiedział dokładnie, co to znaczy osobowość, ale było to słowo pozytywne, co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości).

— Niepożądane skutki uboczne? — zapytała inna z postaci widowiska.

— Dziesięć procent szans — odpowiedział komputer. — Wliczam w to również nie do końca przewidywalną naturę tych, których wybierzemy do misji, zwłaszcza jeśli wybór padnie na kandydatów spoza Apostezjonu.

— Dlaczego nie wysyłamy humanoidów? — zapytała kolejna postać.

— Zrobią tylko to, co im się każe. Nie możemy przewidzieć wszystkich sytuacji, aby odpowiednio zaprogramować ich działanie. Humanoidy wykorzystamy do selekcji i treningu lokalnego czynnika ludzkiego. Później jednak będzie potrzebna elastyczność, której humanoidy nie mają. Gdybyśmy ich użyli — szansę na niepożądane skutki uboczne wzrosłyby do trzydziestu dwóch procent.

— Czy jest jakaś alternatywa przetrwania?

— Tak, ale prawdopodobieństwo sukcesu jest bliskie zeru.

Trent z zapartym oddechem śledził przebieg akcji. Dopiero gdy szare postacie nachyliły się nad stołem, najwyraźniej w celu odbycia narady, przypomniał sobie, że trzyma szklankę z napojem. Łyknął nieco płynu i ustabilizował obraz, który zaczął trochę migotać. Narada skończyła się, bo jedna z postaci powiedziała do komputera:

— Daj symulację najbliższej przyszłości.

W tym momencie odezwał się brzęczyk wideofonu. Trent dotknął przycisku i obraz na ekranie znieruchomiał. Później włączył wideofon.

— Sektor IV, sierżant Trent melduje się! — wyrecytował jednym tchem. W tym czasie sąsiedni ekran ożył i ukazała się na nim postać Carpio, dyżurnego Sektora V.

— Co u ciebie, Trent? — zagadnął Carpio rozwalony w fotelu. — Czy Gimnastyczka już zaczęła swoje przed...

— Nie wygłupiaj się! — przerwał mu Trent, zły, że oderwano go od pasjonującego widowiska. — Właśnie oglądałem dobre wideo...

— Starzejesz się. — Carpio był w wyśmienitym humorze. — Wolisz patrzeć w ekran niż na żywą dziewczynę. Zobacz, czy już zaczęła.

— Daj mi spokój! — warknął Trent. — Nie mam czasu.

— Adler założył się, że będzie dziś u niej.

— Adler? Mój zmiennik? — upewniał się Trent z niedowierzaniem. — Widziałem się z nim niecałe dwie godziny temu, kiedy zdawał mi służbę. Nie powiedział mi ani słowa.

— Po co miał ci mówić? — zaśmiał się Carpio. — Założył się przecież ze mną, a nie z tobą. Bądź tak dobry i sprawdź, co się tam dzieje.

Trent odstawił szklankę i z wyraźną niechęcią uniósł się z fotela. Szukał przez chwilę lornetki, podszedł do okna i skierował obiektywy na sąsiedni wieżowiec. Odszukanie właściwych okien nie zajęło mu dużo czasu. Tym razem jednak zamiast widoku znajomego wnętrza ujrzał szarą zasłonę. Podszedł w zasięg mikrokamery wideofonu, rozłożył bezradnie ręce i stwierdził:

— Okna są zasłonięte. Nic nie rozumiem, przecież nigdy tego nie robiła.

— Pewnie dowiedziała się, że ją podglądacie. Od kogo mogła się dowiedzieć?

— Myślisz, że Adler jest tam?

— Nic nie myślę, od tego mam szefów. Muszę kończyć, bo widzę jakąś rozróbę. Szykuje się nam psia służba.

— To przez tę parszywą stonkę turystyczną. Połącz się ze mną, jak wyślesz grupę operacyjną. Może będę coś wiedział o Gimnastyczce.

Ekran wideofonu oślepl. Trent wziął do ręki szklanke z koktajlem i chciał wrócić do przerwane go widowiska. Przedtem jednak skontrolował rutynowo monitory i zamarl. Nad jednym z monitorów palila się alarmowa lampka sygnalizacyjna, na ekranie zaś widniarl kawałek sciany.

III

ZARZĄDZENIE NR 22/24

1) Przydziały socjalno-bytowe zachowują ważność na następny kwartał. Wartość wymienna przydziałów podlega okresowej regulacji. Od wejścia niniejszego zarządzenia w życie ustala się następujące ekwiwalenty wymiany:

1 przydział = 1 standardowa puszka żywnościowa lub 10 litrów wody witaminizowanej lub 2 złote punkty kredytowe lub 0,5 niebieskiego punktu kredytowego;

2 przydziały = 1 puszka żywnościowa typu „Extra-witaminizowana”;

3 przydziały = 2 fiolki pastylek tonizujących lub 0,5l wódki;

10 przydziałów = ubranie wielokrotnego użytku lub para obuwia tekstylnego;

15 przydziałów = łóżko standardowe lub stół standardowy oraz dwa krzesła lub czynsz miesięczny za jeden pokój.

Pozostałe ekwiwalenty nie ulegają zmianom.

2) Przydziały przysługują zarejestrowanym osobom pozostającym czasowo bez pracy oraz osobom powyżej 60 roku życia, których miesięczna emerytura nie przekracza 200 złotych punktów kredytowych.

3) Pokątny handel przydziałami jest nielegalny i z mocy prawa będzie ścigany.

4) Zarządzenie wchodzi w życie z dniem 30 kwietnia 2044 roku.

Komisja Warunków Życia

Rady Ekspertów Apostezjonu

opublikowano w: „Urzędowy Wykaz Zarządzeń Rady Ekspertów Apostezjonu”, nr 4/44, poz. 10, z dnia 11 kwietnia 2044 roku

Wiosna to najprzyjemniejsza pora roku — pomyślał Nordmann. — Wiosna to sezon możliwości. Wiosną wszystko jest możliwe. — To ostatnie zdanie wprowadził do pamięci cyfrowego przetwarzacza słów, czyli mówiąc krótko — słowaka. Słowak był jego protezą, za pomocą której tworzył znane wszystkim powieści; był jego maszyną do pisania, pamięcią, podręczną biblioteką i doradcą, nade wszystko — doradcą, który go nig-

dy nie zawiódł. Nacisnął klawisz z napisem: „Skojarzenia” i korzystając z chwili przerwy na pracę maszyny, podszedł do okna, by zaczerpnąć rześkiego wieczornego powietrza. Lubił wiosnę, lubił tę porę roku, gdy w jego przydomowym ogródku przyroda powstawała z zimowego odrętwienia. Co roku fascynowała go obserwacja tego ulotnego momentu, gdy w pozornie martwych patykach zaczynało pulsować życie. Najpierw nieśmiało, jakby ukradkiem nabrzmiewały pąki, by później bezwstydnie ukazać swoje wnętrza, z którego buńczucznie wystrzelały liście i kwiaty. Zaczynamy na nowo — здаwały się krzycheć. — Oto znów jesteśmy, mimo iż zdawało się, że nas już nie ma.

Nordmann postanowił zapisać te impresje. Były one dobrym tłem do wprowadzenia wątku miłości dwojga ludzi. Był człowiekiem wrażliwym i dlatego opisy przyrody przeplatane perypetiami miłosnymi pisał z prawdziwą przyjemnością. Przeciągnął się, podszedł do lustra, uważnie przestudiował swoją twarz (będę musiał zmienić uśmiech, bo te zmarszczki wokół oczu postarzają mnie) i zasiadł do słowaka. Na ekranie widniała diagnoza: „Wiosną wszystko jest możliwe — zdanie wymaga dookreślenia. Skojarzenia pozytywne: dalszy rozwój, witalność, świeżość. Skojarzenia negatywne: zmiana, bunt”.

Istotnie — pomyślał pisarz. — Jeśli wszystko jest możliwe, to możliwy jest również koniec Apotezjonu, a to przecież nie jest możliwe. — Skrzywił się i wprowadził to zdanie do pamięci równoległej słowaka, do której dostęp miał tylko on. Opisy przyrody zawierały najwięcej niestosownych skojarzeń, które słowak bezbłędnie wychwytywał. W końcu pracował on według programu ułożonego przez samego pisarza; programu wzbogacanego latami i doprowadzonego niemal do perfekcji. Dzięki pomocy słowaka krytycy byli bezradni wobec dzieł pisarza, które nadawały się do programów szkolnych bez żadnych przeróbek. Zapisał szybko impresje sprzed chwili i ponownie nacisnął klawisz z napisem: „Skojarzenia”. Nie miał wielkiej nadziei, że wejdą one do powieści, ale odkąd wyposażył słowaka w pamięć równoległą, wszystkie odrzucone metafory, wątki i zwroty akcji nie ginęły bezpowrotnie. Z tych odrzuconych elementów literackiego budulca zamierzał pisarz wzniesć konstrukcję na swój własny prywatny użytek. Jednak to, co z początku miało być niewinną igraszka, podniętą dla zrutynizowanego umysłu, stawało się stopniowo głównym celem pracy. Pisarz formułował swoje myśli coraz mniej ostrożnie, zwalając cały ciężar czujności na słowaka. Toteż powieść posuwała się do przodu niezwykle powoli, pojemność pamięci równoległej zaś musiała być ciągle poszerzana.

Wieczorami, gdy miał pewność, że nikt do niego nie zajrzy, wydobywał zapisy z pamięci równoległej, sklejał je starannie, rozwijał i uzupełniał. W ten sposób powstawała druga powieść, a właściwie — antypowieść, zjadliwe zaprzeczenie tej pierwszej, jej karykatura, choć w miarę rozwoju akcji i wiązania kolejnych węzłów ludzkiego dramatu — pisarz odnosił coraz częściej wrażenie, iż obie powieści karykaturują się wzajemnie. I te wrażenia postanowił notować. W ten sposób, obok powieści i antypowieści, po-

wstawać zaczął od autorski komentarz, który wkrótce przybrał formę literackiego dziennika. Zapisywał tam bowiem myśli dotyczące już nie tylko fikcyjnych postaci, ale żywych ludzi i spraw dziejących się naprawdę.

Słowak znów zdyskwalifikował opis przyrody. Pisarz sięgnął po szklankę koktajlu orzeźwiającego i zaczął pisać drugą wersję: „Życie jest niezwykłe, jak niezwykła jest młodość potężnego Apostezjonu i jego nieugięte dążenie do rozszerzania postępu. Popatrzcie na suche gałęzie na przedwiośniu; pulsuje w nich życie, które z wytęsknieniem czeka na ożywcze tchnienie wiosny, tak jak uciskane ludy czekają na wyzwolenie z pęt niewoli. Wiosna, to możliwości dalszego rozwoju. Wiosna — to czas porywów serca. Ludzie, od wieków stanowiący część niezmiennych, obiektywnych praw przyrody, zdołali je ujarzmić, ale przecież nie do tego stopnia, by wiosna przestała być sezonem miłości. Irka szła przez las, zamyślona głęboko...”

Pisanie przerwał mu — świergot sygnalizatora wejściowego. Pisarz wyłączył ekran i z ociąganiem ruszył w kierunku drzwi. Było już ciemno. Dzisiejsza noc, jedna z pięciu nocy przed zawodami, nie była najlepszą porą na niespodziewane odwiedziny. Najeżdżało się mnóstwo ludzi ze wszystkich zakątków wyspy. Na pewno nie zabrakło wśród nich temporystów, którzy w sam raz nadawali się na negatywnych bohaterów jego powieści.

— Kto tam? — zapytał na wszelki wypadek.

— To ja, Wintage — usłyszał przymilny głos.

Przez twarz Nordmanna przebiegł grymas niechęci, ale zaraz zniknął. Otworzył drzwi.

— Nie przeszkadzam? — Wintage zlustrował szybko przedpokój i nie czekając na odpowiedź przestąpił próg.

— Nie, skądże znowu! — zaprzeczył Nordmann, zamykając za nim starannie drzwi.

Wintage wszedł do przestronnej pracowni, rozejrzał się raczej z nawyku niż z ciekawości i rzucił zdawkowo:

— Wieczory są coraz chłodniejsze.

— Napijesz się czegoś rozgrzewającego? — Nordmann starał się nadać swemu głosowi nieco cieplejsze tony. Wintage był krytykiem, którego zdanie się liczyło.

— Chętnie. Masz koktajl siedemnasty?

— Mam. A może piwa?

— Wiesz, nie mogę się jakoś do niego przyzwyczaić. Wolę tradycyjne napitki.

Pisarz uruchomił dystrybutor spożywczy.

— Nad czym pracujesz? — Wintage podszedł do słowaka, ale ekran był pusty.

— Eee... Nic takiego! — Podszedł do dystrybutora, wziął dwie szklanki i jedną z nich podał Wintage'owi. — Nic poważnego. Piszę, żeby nie zardzewieć.

— No, no! — zaprotestował Wintage. — To się tak zawsze mówi, a potem szast-prast i dzieło gotowe. Wy, twórcy, nie lubicie, gdy zagląda się wam do garnków. Doskonały ten koktajl. — Wintage rozsiadł się w fotelu. — Nie to, co te obrzydliwe napoje z powszechnej sieci dostawczej.

— Ty też przecież jesteś podłączony do sieci specjalnej — zaproponował uprzejmie.

— No tak, ale ty masz wejście do sieci ekspertów!

— Co za różnica? — Wzruszył ramionami.

— O, przepraszam! Różnica jest. Może niewielka, ale jest. To się od razu wyczuwa. — Pociągnął mały łyżeczek, zmrużył oczy i mlasnął z wyraźnym zadowoleniem. — W tym koktajlu jest taka szczególna, szlachetna gorycz; tylko dla koneserów.

Zapadła chwila milczenia, którą ponownie przerwał Wintage:

— Myślałem, że nie zastanę cię w domu.

— Dlaczego? Nigdzie się nie wybierałem. Nie lubię tych nocy przed zawodami. Nawet w mojej dzielnicy kręcą się wtedy różne podejrzane typki. W zeszłym roku, w czasie jednej z takich nocy...

— Myślałem, że będziesz na zebraniu — przerwał mu Wintdge, patrząc na niego uważnie.

— Na jakim zebraniu?

— Wysokiej Rady Ekspertów.

— Nie ma dzisiaj posiedzenia rady.

— Jesteś pewien?

— Absolutnie! — rzekł z przekonaniem i sięgnął do kalendarzyka. — Najbliższe zebranie rady jest za dwa tygodnie.

— A więc coś się stało! — rzekł Wintage z triumfem. — Przeczucie mnie nie myliło.

— O czym ty mówisz?

— W tej chwili w Pałacu Centralnym odbywa się jakaś ważna narada.

— Skąd wiesz?

— Ludzie mówią...

— To plotki — zachnął się. — Zwyczajne plotki i nic więcej!

— Albo zebranie ścisłego przydzium. Coś się szykuje, czuję to, Wiktor!

— Nie przesadzaj! Na pewno bym coś wiedział. To ta noc tak działa. Jutro rano będzie to, co zawsze.

— Jutro będą eliminacje do zawodów.

— Mów jaśniej!

— Ludzie mówią, że szykują się duże zmiany. Przejeżdżałem obok pałacu. Cały w światłach, a wokół pełno speców i tebeków. Czy to normalne?

— Nazjeżdżało się mnóstwo ludzi z wyspy i zza morza. Konieczne są pewne środki bezpieczeństwa. Pamiętasz przecież, co działo się w zeszłym roku?

— Tu chodzi o coś więcej. — Wintage popijał koktajl małymi łykami. — Ludzie mówią, że zmiany obejmą także kulturę. Kryteria, rozumiesz, zostaną odwrócone. To co było przedtem dobre, teraz będzie złe i na odwrót.

— Bzdury! — przerwał mu pisarz. Zaczęło w nim kiełkować niejasne przeświadczenie, że jest delikatnie pociągany za język, że Wintage chce wydobyć z niego jakiś gest czy aluzję, którą mógłby później wykorzystać do swoich celów. — Zwykle plotki. Dziwię się tylko, że ty, wytrawny krytyk, również im ulegasz. To ta noc... Wszystkim nam daje się we znaki.

— Tak myślisz?

— Mhmmm — mruknął niechętnie. — Jutro będziesz myślał tak samo. Dlaczego to, co dobre, miałyby być złe i na odwrót? Dobre — to dobre, a złe — to złe! — Nordmann czuł rosnące poirytowanie. Czyżby ktoś... Nie, to niemożliwe. Nikt nie mógł złamać szysfru słowa.

— Powiedzmy... — W głosie Wintage'a zabrzmiały dwuznaczne nuty.

— Może jeszcze jeden koktajl?

— Nie, dziękuję. — Wintage potrząsnął głową. — Ten był doskonały, ale na dziś wystarczy. Nie mógłbym zasnąć, zresztą i tak dzisiaj miałbym ze snem trudności. — Wstał i odstawiając pustą szklankę, dodał: — Myślę, że się zobaczymy? Jeśli nie przed zawodami, to w ich trakcie. Będę, jak zwykle, w sektorze pracowników kultury.

— Nie wiem... — odparł Nordmann z wahaniem. — Nie przepadam za takimi widowiskami. Wiem, że są potrzebne, ale...

— Twoja nieobecność może być różnie komentowana. Po starej przyjaźni radzę ci pojawić się, choćby na krótko. Zwłaszcza że będą to chyba, ostatnie zawody na Apostezjonie.

— Coś ty powiedział? — Pisarz odwrócił się gwałtownie. — Skąd to wiesz?

— Ludzie mówią, Wiktor. — Wzruszył ramionami. — Plotki krążą... Do zobaczenia.

Gdy wyszedł, Nordmann przez długą chwilę patrzył z progu na jego niknącą w mroku sylwetkę. Później zamknął starannie drzwi i wrócił pospiesznie do gabinetu. Zasiadł przed wideofonem i zaczął nerwowo naciskać klawisze.

Ekran urządzenia rozjaśnił się zielonkawą poświatą.

— Z profesorem Nemeckiem! — rzucił do mikrofonu.

— Nie ma go w domu — odparł automat. — Czy coś przekazać?

Pisarz przerwał połączenie i ponownie nacisnął klawisze:

— Z doktorem Virno!

— Nie ma go w domu — głos automatu był równie ciepły jak poprzednio. — Kto mówi i jaką przekazać...

Pisarz znowu przerwał połączenie i rzucił się na oparcie fotela. Przez chwilę bezmyślnie studiował abstrakcyjne wzory na suficie, po czym znów zaczął naciskać klawisze.

— Czy mogę mówić z Generałem?

— Niestety — odezwała się młoda przystojna adiutantka. — Generał nie może z panem rozmawiać. Czy coś przekazać? — Nordmann dostrzegł jej spłoszony wzrok, mimo iż starała się być naturalna.

— Nie, nie! — zaprzeczył pospiesznie. — To nic ważnego. Dobranoc! — przerwał połączenie i zaczął chodzić po gabinecie. Czy to możliwe, aby zebranie Rady Ekspertów odbyło się bez niego? To by przecież znaczyło, że... — Pisarz poczuł mrowienie skóry i jakiś chłód zbierający się powoli wokół serca. — To przecież może być zbieg okoliczności. Tak! Zwykły zbieg okoliczności. Nemeček i Virno mogli gdzieś pójść, a Generał? Cóż, Generał jest ciągle zajęty. A jeśli ten Wintage coś zwęszył? Ale dlaczego ja? Dlaczego? Przecież zawsze wiernie... Ja nigdy nic takiego... Spokój, spokój... Trzeba się uspokoić. — Zażył pastylkę tonizującą i popił resztką koktajlu. — To ta okropna noc. W świetle dnia wszystko wygląda inaczej. Trzeba zasnąć, aby... A jeśli to coś poważnego. Jeśli w nocy przyjdą?

Podreptał do przedpokoju. Założył staroświecką kurtkę, szczelnie ją zapinając. Zamknął starannie drzwi i wszedł do ekwipartu.

— Pałac Centralny — powiedział do mikrofonu automatycznego pilota. Pojazd ruszył i po chwili osiągnął szybkość podróży.

Ekwipart mijają bezludne przecznice, rozświetlane od czasu do czasu sygnalizatorami dystrybutorów spożywczych. Dzielnica była spokojna; o tej porze jej stali mieszkańcy spali snem sprawiedliwych. Wkrótce jednak pojazd wjechał w ulice centralne. Pisarz zauważył, że patrole speców krążyły gęściej niż zazwyczaj, choć ich widok w nocy nie był niczym szczególnym. Ekwipartów prywatnych i komunalnych też zresztą było więcej niż zwykle: była to przecież jedna z ostatnich nocy przed zawodami — czas zabawy.

Kilka minut później pojazd zajechał na parking koło Pałacu Centralnego. Pisarz wygramolił się z fotela i skierował się do frontowego wejścia. Okazała budowla była rzęsiście oświetlona. A więc jednak... Przeszył go dreszcz niepokoju. Wszedł do środka i wówczas zastąpił mu drogę młody, nienagannie ubrany tebek. Pisarz wyciągnął stałą przepustkę i machnął nią niedbale. Tebek wziął dokument do ręki, obejrzał go starannie i powiedział:

— Te przepustki są dzisiaj nieważne, przyjacielu.

IV

W nadchodzącym sezonie letnim zarzucamy wreszcie tradycyjny makijaż dłoni. Eleganckie panie noszą dłonie dyskretnie naturalne. Jeśli żyły prześwitują przez skórę, możemy je lekko przypudrować, ale bez przesady! W lecie nosić się będzie odsłonięte uszy. Makijaż też dyskretny: najwyżej kilka pociągnięć tuszu i nic więcej!

Ubrania, ubrania... Można nosić wszystko, ale najbardziej modne będą jak zwykle jednorazowe kombinezony: przewiewne, funkcjonalne, higieniczne i kolorowe. Kolory — dopasowane do temperamentu: pastelowe dla natur uczuciowych, zimne — dla natur bardziej chłodnych emocjonalnie. Dobranie właściwego koloru ubrania oszczędzi ci nieporozumień w centrach integracyjnych. Kroje kombinezonów — dowolne, lecz najbardziej awangardowe są już jakby passé. Tak więc nadal moda jest zróżnicowana: dla każdego coś dobrego.

Eleganckie panie pamiętają o trzech zasadach: unikanie przesady, wdzięk, staranne dobieranie dodatków, a nade wszystko — uśmiech, uśmiech, który jest niezbędnym dodatkiem do każdego eleganckiego stroju.

„Świat Kobiet — miesięcznik kulturalno-obyczajowy”, nr 4/529, „Kącik mody”.

Szedł ledwie widoczną w mroku ścieżką, a za nim posłusznie dreptała Berta. Był już późny wieczór. Ścieżka raz po raz ginęła w zaroślach, ale Wargacz szedł bez wahania. Ugiął się pod ciężką wiązką chrustu, który wspólnie z Bertą nazbierał w pobliskim, zapuszczonym parku. Na szyi dyndała mu stara, wypchana torba.

— Nie mógłbyś mieszkać gdzieś bliżej? — zapytała płacząco Berta.

Wargacz przystanął, obejrzał się i wypluł skręta, który zaczął już parzyć wargi.

— Zamknij się, babo! — mruknął. — Przecież wiesz, że to już niedaleko.

— Za dwa marne przydziały wlec się taki kawał! — narzekała. — Chyba głupia jestem albo mi coś zadałeś...

— Chyba jednak jesteś głupia — stwierdził lakonicznie i poprawiwszy wiązkę chrustu ruszył dalej.

Zarośla rozstały się i na niewielkiej wolnej przestrzeni zamajaczyły kontury jakiegoś budynku. Przystanął i uważnie zlustrował budynek. Nigdzie nie dostrzegł żadnego światła, a ciszę zakłócały jedynie przytłumione drzewami odgłosy wielkiego miasta i przyspieszony oddech Berty.

— Zostań tutaj — powiedział i nie czekając na jej reakcję zniknął wewnątrz budynku. Wejście do swojej kryjówki wolał otwierać bez świadków. Nie chciał, by ktoś postronny wiedział, w jaki sposób zostało zamaskowane. Nawet Berta, która była na tyle głupia, że Wargacz darzył ją czymś w rodzaju zaufania. Przebywał wśród lovittów blisko rok. Prowadził ich tryb życia, mówił ich językiem, spał z ich kobietami, jakby był jednym z nich. Dobrze poznał to środowisko. Na tyle dobrze, by mimo swojej silnej pozycji nie zaniedbać koniecznych środków ostrożności.

Kryjówka mieściła się w na wpół zrujnowanym domku, którego pierwotnego przeznaczenia nikt nie pamiętał ani nawet nie starał się pamiętać. Może mieszkali tu jacyś ludzie? A może było tu kiedyś jakieś biuro? Jakie to miało dzisiaj znaczenie? Wargacz strzyknął śliną na zapaskudzoną podłogę korytarza i zszedł do piwnicy. Parter i strych nie nadawały się do zamieszkania. Tylko w lecie, gdy padało, szukały tam schronienia przygodne parki, które Wargacz bezlitośnie płoszył, jeśli akurat znajdował się w pobliżu. Kryjówkę urządził sobie w jednym z piwnicznych pomieszczeń. Wejście do niej zamaskował tak umiejętnie, że nawet wprawne oko tebeka miałoby kłopoty z odnalezieniem właściwej drogi. Jediną zewnętrzną oznaką, która mogłaby wskazywać, że ruiny bywają zamieszkałe, był dym wydobywający się z blaszanej rury tuż przy fundamentach. Ale dym ten ukazywał się jedynie w porach, które Wargacz uznał za stosowne do przyrządzenia gorącego posiłku. A do jedzenia, trzeba to powiedzieć otwarcie, nie przywiązywał specjalnej wagi. Jadł, kiedy był głodny i kiedy zarazem miał pod ręką coś, co mogło ów głód zaspokoić. Nie były to więc pory regularne.

Zrzucił chrust za progiem i zapalił świeczkę. W jej płomieniu ukazało się skromne wnętrze: prycza, na której leżały w beładzie przybrudzone koce i poduszka bez poszwy, żelazny piecyk sklecony z resztek jakiegoś urządzenia, dwa krzesła z połamanymi oparciami oraz stolik, na którym stały puste puszki żywnościowe, talerz z resztkami jedzenia i kilka wyszczerbionych szklanek, zapewne ściągniętych z któregoś z dystrybutorów spożywczych. W kącie stał kubek na odpadki, który jednak nie był przepełniony, śmieci bowiem walały się głównie po podłodze, a tuż obok znajdował się staroświecki zlew: z nieszczelnego kranu miarowo kapała woda. Obrzucił szybkim spojrzeniem pomieszczenie; wszystko było na swoim miejscu. Zdjął z szyi torbę i rzucił ją w kąt, po czym wyjął zza pazuchy zawiniątko, zważył je w ręce i schował do pudła pod pryczą. Z zewnątrz dobiegł go głos Berty. Przez twarz przeleciał mu grymas ni to uśmiechu, ni zniecierpliwienia. Zapalił drugą świeczkę i wyszedł.

Stanął w progu i osłaniając płomyk świecy od leniwych podmuchów wiatru rzucił w ciemność:

— Możesz już wejść.

— Myślałam, że już o mnie zapomniałeś! Stałam tu hektar czasu, a ciebie gdzieś wcięło! — Berta zmierzała do budyneczku drobnymi krokami. — Poświeć mi, bo nic nie widzę!

Wargacz zignorował jej zrzędenie i skoro tylko pojawiła się w zasięgu światła, ruszył przodem.

— Uważaj! — powiedział półgłosem. — Tu jest zwalona belka i zaraz za nią ktoś napaskudził. Jak wdepniesz, to się rozjedziesz.

— Nie mógłbyś tego sprzątnąć! — Berta przyłożyła chusteczkę do nosa. — Chyba mam świra, że się z tobą zadaję! Za ten smród dołożysz mi jeszcze jeden przydział. Chyba że natychmiast tu posprzątasz.

— Zamknij się, babo, i nie miel ozorem po próznicy. Te gówna to zaporą dla nieproszonych gości. A u mnie nie śmierdzi. Zmajstrowałem dobrą wentylację.

Odpowiedziało mu tylko gniewne sapnięcie Berty.

Gdy weszli do kryjówki, Berta rzuciła się z ulgą na pryczę i zdjęła niezbyt wygodne buty.

— Nie rozwalaj się — rzekł Wargacz. — Rozpal w piecyku, a ja przygotuję coś do picia. Musimy oblać mój dzisiejszy połów. No, do roboty! — ponaglił ją.

Berta, zrezygnowana, zwlokła się z pryczy i pochyliła nad piecykiem. Wargacz tymczasem zgarnął ze stołu część puszek, które z brzękiem potoczyły się po podłodze. Przetarł z grubsza dwie szklanki, postawił je na stole i sięgnął do torby. Wyjął z niej ledwie napoczętą puszkę żywnościową i postawił na piecyku, a potem wyjął butelkę i potrząsnął nią mocno. Odpowiedział mu znajomy bulgot. Uśmiechnął się, potarł zarośnięty siwo-rudą szczecinę podbródek i wprawnie odkorkował butelkę.

— Napijesz się?

— Głupie pytanie! — obruszyła się Berta. — Na trzeźwo nie dałabym rady nawet za dziesięć zasmarkanych przydziałów. Lej, Wargacz, i nie pytaj, bo mnie zaraz cholera trząśnie, że dałam się namówić. Słabość mam do ciebie, czy co? Lej, Wargacz! Za to nasze zasrane życie.

Wargacz rozlał wódkę i podał jedną szklankę Bercie:

— Pij, mała, pij. Byle nie na smutno. Pijmy za to, co przyniesie przyszłość. — Wychylił zgrabnie szklankę, po czym otrząsnął się niby pies wyjęty z zimnej wody. Berta piła małymi łykami, za każdym razem krzywiąc się okropnie:

— Nie znoszę gołdy — stwierdziła stanowczo. — A ten samogon nie jest nawet dobrze oczyszczony. — Spojrzała z pogardą na butelkę. — Na dzisiejszy wieczór mógłbyś skombinować coś ekstra.

— Dlaczego nie bierzesz pastylek? — zapytał ironicznie. — Nie mają smaku ani nie zostawiają kaca, a skutek ten sam.

— Dobrze wiesz, dlaczego. Jestem splukana. Te twoje trzy przydziały przeznaczę na pastylki, żebyś wiedział.

— Dwa — sprostował.

— Co dwa?

— Dwa przydziały, a nie trzy. Taka była umowa. — Wargacz wstał, przemieszał zawartość puszki żywnościowej i grzał ręce nad piecykiem.

Berta odstawiła szklankę z resztką alkoholu i wyciągnęła się na pryczy:

— Za trzy przydziały będziesz mógł mnie dmuchać jak chcesz. Za dwa — tak, jak ja chcę. No, co ty na to?

— Dwa.

— Głupiec. — Wzruszyła ramionami i zaczęła zdejmować buty.

— Zjesz coś? — Wargacz znowu zaczął mieszać zawartość puszki żywnościowej.

— A co masz?

— Nie wiem. Etykieta gdzieś odpadła. — Zagarnął łyżką i spróbował zawartości.

— Dobrze, całkiem dobrze.

— Świeże? — zapytała rzeczowo.

— Świeże.

— To daj mi trochę. Przecież tej twojej trucizny nie można pić na sucho.

Wargacz znowu napełnił szklanki, postawił puszkę z parującą zawartością na krzeselku przy pryczy, podał Bercie szklankę i łyżkę, a sam przyciągnął sobie drugie krzeselko.

— No, to sit gloria transit mundi — zsalutował jej szklanką i wychylił całą zawartość. Berta spojrzała na niego zaskoczona i też wypila wszystko jednym haustem. Zatkąło ją trochę, ale złapała powietrze już po pierwszym kęsie potrawy, po którą łapczywie sięgnęła.

— Ty jak coś powiesz, Wargacz, to nie można się połapać; kpisz, czy o drogę pytasz.

— Wyraz zaskoczenia nie zdążył opuścić jej twarzy. — Co powiedziałeś?

— Nic takiego, dziecińko. — Też przekąsił solidnie. — Przypomniały mi się dawne czasy. Teraz to nieważne. Jeszcze po jednym?

— Nie tak szybko! — zmitygowała go. — Urzniemy się. A oprócz tego jutro muszę być w szwungu. Wiadomo — niedługo zawody. Nie będę musiała kłócić się o marne trzy przydziały. To dla mnie żniwa.

— Dla mnie też. Jedz, bo wystygnie. — Wstał i ponownie napełnił szklanki.

— Nie chce mi się jeść. — Wzięła szklankę z rąk Wargacza. — To już ostatnia kolejka — zastrzegła się.

— Jak chcesz — wzruszył ramionami.

— Gdzie jutro będziesz?

— Jeszcze nie wiem. Pewnie tam, gdzie zwykle.

— Wargacz, Wargacz... Zamiast łązić po śmietnikach, mógłbyś złapać jakąś stałą robotę. Z twoim biglem wszędzie by cię przyjęli. Mógłbyś być nawet, kto wie? — portierem w jakimś luksusowym integratorze. Może bym wtedy z tobą została i miałbyś za darmo to, za co musisz teraz płacić. Marnujesz się, Wargacz, nie pierwszy raz ci to mówię.

— Zamknij się! — warknął. — Dlaczego sama nie weźmiesz jakiejś roboty?

— Chciałam kiedyś być fryzjerką, a może nawet masażystką... — Popatrzyła melancholijnie na przybrudzoną szklankę, obróciła ją kilka razy w palcach i ciągnęła dalej: — Miałabym własny widny pokój, dystrybutor spożywczy... Punkty kredytowe, złote i niebieskie, a nie takie zasrane przydziały... Machnęłabym się za jakiegoś mogącego faceta... Ale jakoś nie wyszło. — Uśmiechnęła się smutno. — Dziecko bym miała, konieczne córkę.

— Bzdury! Nie dostałabyś licencji genetycznej. Przecież sama jesteś nielegalna.

— Co to, to nie! — obruszyła się. — Jakby facet był mogący, to mógłby załatwić i licencję.

— Dobrze, dobrze... — rzekł pojednawczo. — Wypijmy, a potem do roboty.

Gdy wypili, Berta usiadła na pryczy i zaczęła się rozbierać, ale widać było, że jej myśli błądzą gdzieś daleko. Wargacz, spoglądając na nią spod oka, dorzucił patyków do piecyka i ponownie zaczął rozgrzewać sobie ręce. Berta wstała, żeby zdjąć kombinezon i wtedy jej wzrok padł na obrazek wiszący na ścianie. W pół ruchu przyjrzała mu się uważniej. Przedstawiał on portret jakiegoś brodatego mężczyzny, a w obramowaniu widniał napis w nie znanym jej języku. Nie była to fotografia żywego człowieka, ale raczej — przysunęła się bliżej — tak, raczej rzeźby.

— Kto to jest?

— To? — Wargacz podszedł i obrócił obrazek do ściany. — Nie zrozumiesz tego, dziecino. To taki dziwak, który urodził się dokładnie dwa tysiące czterdzieści cztery lata temu. Nie zawracaj sobie tym głowy. Nie teraz. — Potrząsnął głową. — Może kiedyś...

— Zaraz! Chwileczkę! Nabijasz się ze mnie, Wargacz. Który my teraz mamy rok? — zastanowiła się chwilę i widocznie przypomniała sobie, bo ciągnęła dalej:

— No właśnie! Chyba nie powiesz mi, że od jego urodzenia zaczął się nam kalendarz?

— Taka jest prawda, dziecinko.

— Bujasz! Nigdy nie wiem, kiedy nawijasz watę, a kiedy przędziesz poważnie. — Podeszła do fotografii.

— To nie na twoją głowę, Berta.

— Uważaj, bo będziesz miał u mnie przechlapane — rzekła z pogroźką, po czym odwróciła obraz. Na szkle zaigrały refleksy światła. — Wiem więcej, niż ci się wydaje, a ty pewnie myślisz, że jestem głupia!

— Tak myślę.

— Otóż wiedz, że umiem czytać i pisać. A nawet — rachować! — dodała z dumą.

— O, ten znak tutaj — stuknęła palcem w obrazek — to znak dodawania.

— Nie masz racji, mała. To jest krzyż, narzędzie tortur i śmierci. On zginął na krzyżu.

— Opowiedz mi, jak to działa — usiadła wyraźnie poruszona. — Wstawiasz takie bajery, że aż mróz chodzi po kościach. W jaki sposób to może zabić człowieka? To musi być ktoś cholernie ważny, jeśli liczymy lata od jego urodzenia. Opowiedz mi o nim.

— On... — zawahał się przez moment, jakby miał zwierzyć się z wielkiej tajemnicy, spojrzął na obrazek, a wzrok Berty powędrował za jego spojrzeniem. Chybotliwy blask świecy wydobywał z mroku brodatą twarz, która, zdawało się, patrzyła na nich ze smutkiem, ale i dobrocią zarazem. — On wróci, by czynić sprawiedliwość. On wróci. Nikt nie wie kiedy... Może już jest wśród nas?

— Zaraz, zaraz! — Berta roześmiała się hałaśliwie i nastrój prysnął. — Znowu zalewasz! Przecież mówiłeś, że on zginął.

— Nie zwracaj sobie tym głowy — mruknął zniechęcony. — Może kiedyś ci opowiem, ale nie teraz. Jeszcze nie nadszedł czas.

Berta ponownie usiadła na pryczy i spojrzała na Wargacza z zainteresowaniem:

— Czy to twój przodek?

— W pewnym sensie. — Uśmiechnął się pod wąsem i zaczął wypakowywać torbę.

— Ja nie znam nawet swojego ojca, a matkę ledwie pamiętam — powiedziała obojętnie. — Duży miałeś połów dzisiaj? — Zdjęła kombinezon i mocowała się z bielizną.

— Nie narzekam.

— Jeśli my liczymy lata od jego urodzenia, to musiał to być ktoś cholernie ważny — rzekła, spoglądając na obrazek.

— Chyba tak... — odparł w zamyśleniu i ponownie odwrócił obrazek do ściany. Była już tylko w staniku. Położyła się na pryczy i przeciągnęła się lekko:

— Rozbiera mnie ta wóda. Chodź szybko, bo zasnę.

W migotliwym płomieniu świecy jej ciało wyglądało jak zawsze tajemniczo i mogło należeć do kogokolwiek. Nawet do Almy — pomyślał Wargacz, ale natychmiast tę myśl odpędził. Zaczynało go ogarniać podniecenie. Przypatrywał się jeszcze Bercie przez chwilę, aby podniecenie nabrało właściwej temperatury, po czym zbliżył się do pryczy. Na tle brudnych, leżących w bezładzie koców sylwetka jej ciała odcinała się ciepłym nasyceniem kolorów, płaskim ładowiskiem brzucha i regularną linią naprowadzającą ud.

— Co mi się tak przyglądasz, stary świntuchu? — zapytała raczej z ubawieniem niż z wyrzutem. — Przecież widziałeś mnie nieraz. — Jedną rękę podłożyła pod głowę, a drugą nakryła łono.

Już gdzieś widział tę scenę... Tak! Na jakiejś reprodukcji obrazu, która pętała się na rynku staroci. Tło się zmienia — pomyślał — ale Maja jest zawsze taka sama. Pochylił się nad nią, ale go powstrzymała:

— Najpierw dwa przydziały. Potem znowu okaże się, że dałam ci na kredyt.

Spod łóżka wyciągnął pudło kartonowe i zaczął w nim grzebać. Po chwili wydobył dwa kartoniki przydziałów, otrzepał je starannie z okruchów i podał Bercie:

— Masz, spryciaro. Wcale nie chciałem cię nabierać.

Berta bez słowa wzięła kartoniki, schowała je za stanik i zrobiła mu miejsce na przy-
czy.

V

Nie jesteśmy zamkniętym społeczeństwem. Jesteśmy integralną częścią świata, czy tego sobie ktoś życzy czy nie. Ale oczywiście jesteśmy różni i nie zamierzamy tych różnic zamykać. Straciło sens ciągle przypominanie naszych niewątpliwych osiągnięć — zna je każde dziecko. Nie tylko sceptycy, ale nawet nasi wrogowie prywatnie przyznają, że przyszłość należy do nas. Jesteśmy historycznymi optymistami i nie musimy poszukiwać sensu życia w dekadentkich namiastkach. Sens naszemu życiu nadaje dążenie do nieodległego już celu. Z drogi tej nie sprowadzą nas ani napastliwe publikacje pseudonaukowców, ani historyczna propaganda, ani nawet agresja, do której odparcia jesteśmy przygotowani. Przyszłość należy do nas, a wraz z nami — do całego świata!

Z artykułu wstępnego dziennika „Nasz Głos”, nr 102/10841 z dnia 14 kwietnia 2044 roku

Ze względów oszczędnościowych paliła się co druga latarnia. A mimo to ulica i chodnik były na tyle dobrze widoczne, że mogli poruszać się bez ręcznych latarek. Zresztą nawet gdyby było ciemniej, Daniel nie musiałby oświetlać sobie drogi. Wzrok miał bystry i wprawiony wieloletnim treningiem. Jeśli byłoby inaczej, zapewne nie przeżyłby już pierwszej próby ciemności na zawodach.

Trzymał za rękę Candy, która jeszcze niezupełnie ochłonęła po tym, co się stało. Dała się bezwolnie prowadzić i nie odzywała się ani słowem.

Ulica wiodła nieco pod górkę, a dalej, przy zwałistym gmaszysku, które pamiętało czasy sprzed Wielkiej Zmiany, rozwidlała się. Daniel III zawahał się przez moment, a później zniknął w podcieniach budynku, pociągając za sobą Candy.

— Co robisz? — odezwała się wreszcie, a w jej głosie odkrył z ulgą raczej zaciekawienie niż obawę. — Dlaczego tu weszliśmy?

Przyciągnął ją do siebie, obserwując kątem oka drogę, którą przebyli.

— Chcę cię pocałować.

Zarzuciła mu ręce na szyję. Po kilku chwilach Daniel przekonał się, że i tym razem instynkt zawodnika nie zawiodł go. Z mroku wyłoniła się sylwetka mężczyzny z prze-

wieszoną na szyi torbą. Mężczyzna ów szedł ostrożnie, rozglądając się co jakiś czas. Niósł w rękę zawiniątko, ale w taki sposób, jakby zastanawiał się, czy je wyrzucić, czy też przeciwnie — schować na samo dno torby dyndającej mu na szyi. Przystanął wreszcie. Candy znieruchomiała: widocznie wyczuła, że coś dzieje się za jej plecami.

— Nie ruszaj się! — szepnął Daniel.

Mężczyzna rozejrzał się i schował zawiniątko za pazuchę. Ruszył teraz szybkim krokiem. Gdy przechodził obok nich, Daniel mógł bliżej mu się przyjrzeć. Również Candy, usłyszawszy kroki, ostrożnie odwróciła głowę. Mężczyzna był w średnim wieku; ubrany gorzej niż niedbale. Twarz pokryta zmarszczkami i kilkudniowym zarostem wyglądała pospolicie, ale kontrastowały z nią głęboko osadzone, ruchliwe i czujne oczy. Nie były one jednak dostatecznie czujne i ruchliwe, aby ich dostrzec. Mężczyzna oddalił się nieco i wtedy Candy odważyła się szepnąć:

— To punk, śmieć, lovitt, bo na temporystę nie wygląda. Oni inaczej się ubierają. Nie ma się czego obawiać.

— Chyba masz rację, ale mój instynkt mówi mi, że to niebezpieczny facet. W każdym bądź razie mając go za plecami, czułbym się niewygodnie.

— Gdybym nie widziała, co zrobiłeś z tymi pięcioma łajdakami, to pomyślałabym, że się boisz.

— To nie to, moja ochotniczko — zaśmiał się cicho. — Strach odczuwam zupełnie inaczej. Ten facet jest jak ładunek wybuchowy. Gdybym razem z nim startował w zawodach, na pewno bym go nie lekceważył.

— Chyba nie zamierzasz startować? — Candy odsunęła się od niego z lękiem. — Przecież to niemal pewna śmierć. Żadne nagrody nie są warte przejścia przez eliminacje.

— Nie będę startował w eliminacjach.

— Czyżbyś był... — w jej głosie było tyle niedowierzania, że Daniel znowu się roześmiał. Mężczyzna znikł za rogiem ulicy.

— Tak, jestem zawodowcem — potwierdził i dodał skromnie: — Z pierwszej dziesiątki. Czyżbyś naprawdę nigdy nie widziała mojej twarzy w telewizji? Nazywam się Daniel. Daniel III.

— Wybacz, ale nie oglądani tych okropnych transmisji. Nie interesuje mnie to. Co ja mówię! Nie zgadzam się z tym, żeby ludzie zabijali się za pieniądze i sławę. Ilu ludzi zabiłeś do tej pory? — Była wyraźnie rozdrażniona, a także, co zauważył bez trudu, mimo że starała się to ukryć, przestraszona.

— Nie wiem. Gdy walczysz o przetrwanie, nie ma czasu na arytmetykę.

— Nie dotykaj mnie! — syknęła i cofnęła się pół kroku. Emanowała od niej wyraźna niechęć, a może nawet wrogość. Z trudem zapanował nad odruchem mięśni, gotowych już do obrony. Wizja nocy spędzonej z ochotniczką rozwiewała się. Był na siebie zły, że

się wygadał. André wspominał mu, że ochotniczki bywają nieobliczalne, ale nie powiedział, że aż do takiego stopnia. Zapragnął nagle odejść, dogonić tego dziwnego faceta, którego aura wyzwoliła w nim dzwonki alarmowe, zedrzeć z niego maskę punka, pod którą kryła się tajemnica, a potem wziąć zawodówkę z pierwszego lepszego baru, pójść z nią do hotelu, gdzie czekał na niego wygodny apartament i w ten sposób zabić tę noc. Ale zarazem nie do zniesienia była dla niego myśl, że został przez Candy odtrącony. Nie nawykł był przegrywać; był tak głęboko uwarunkowany wolą zwycięstwa, że reakcja Candy sprawiła mu niemal fizyczny ból. Nie mógł pozwolić sobie na przegraną i to tuż przed zawodami. To mogłoby zmniejszyć jego szanse przetrwania. Nagle uświadomił sobie, iż został odtrącony za to, że wygrywał, za to, że był od innych lepszy. Ogarnęła go złość na tę młodą, upartą dziewczynę, która zlekceważyła to, co było dla niego najważniejsze w życiu, co nadawało temu życiu sens.

— Żegnaj — usłyszał jej głos, a później oddalające się spiesznie kroki.

— Chwileczkę! — Dogonił ją. — Co cię napadło?

— Nic. Jestem zmęczona i chcę iść do domu.

— Nie możesz mnie tak zostawić.

— Dlaczego? Zatrzymasz mnie siłą?

— Tam, w barze, powiedziałaś, że lubisz pomagać ludziom.

— Ludziom — tak, ale nie zawodowcom.

— Ten grubas... Czy to był człowiek? Chciał mnie przecież zabić. To był killer.

— Sprowokowałaś go, żeby trochę poćwiczyć przed zawodami. A poza tym — zawałała się — zaliczałam pracę społeczną, a wtedy nie wybiera się interakcji.

— Candy... — starał się być pojednawczy, choć wewnętrzna irytacja poczyniała przestaczać się w gniew. Nie okazał tego na zewnątrz, co nie było w jego przypadku specjalnie trudne, trening personalny bowiem, czyli umiejętność kontroli własnych uczuć, należał do elementarnych kwalifikacji zawodowca. — Porozmawiajmy.

— O czym?

— To jest jedna z ostatnich nocy przed zawodami. Któż wie, co może się jutro zdarzyć?

— Chcesz we mnie obudzić odruch miłosierdzia. Zagrożony śmiertelnym niebezpieczeństwem człowiek i zimna, nieczuła dziewczyna, która nie chce wyciągnąć pomocnej ręki. Znam ten schemat. Przerabialiśmy go na ćwiczeniach. Nic z tego, Trzeci.

— Daniel — poprawił ją.

— Niech będzie Daniel — zgodziła się łatwo. — Nic z tego. Tu się rozstaniemy.

— Nie! — Złapał ją za rękę. — Nie pozwolę ci odejść!

— A więc jest i przemoc — stwierdziła spokojnie, choć z jej twarzy bez trudu wyczytał strach. — Czy pobijesz mnie tak jak tych pięciu przed barem? Przydałaby ci się przed zawodami jeszcze jedna rozgrzewka, prawda? Tylko obawiam się, że nie będę w stanie bronić się tak długo, jak tamci.

— Przestań! — wybuchnął, choć był to wybuch starannie kontrolowany. Puścił jej rękę i przysiadł na krawężniku. — Możesz iść. Przegrałem.

Nie patrzył na nią. Słyszał tylko, że stała nad nim jeszcze przez chwilę, po czym zaczęła się oddalać.

— I zawody też przegram! — krzyknął za nią. Słuchał w napięciu oddalających się kroków. Były coraz wolniejsze, aż wreszcie ustały. Rozluźnił się i czekał. Po chwili kroki zaczęły się zbliżać.

— Nie mówisz chyba tego serio?

Podniósł się i bez słowa wziął ją za rękę. Tym razem nie stawiała oporu.

— Idziemy.

— Dokąd?

— Przed siebie — powiedział.

Minęli zwały, ciemny o tej porze budynek i wyszli na mały plac. Ruchu nie było prawie w ogóle. Z rzadka tylko ulicę przecinał ekwipart. Niebo powoli zasnuwało się chmurami, które przed świtem wydać miały ustaloną normę deszczu. Przystanęli obok postumentu jakiegoś pomnika, ledwie wydobywanego z mroku przez mdłe światło latarni.

— Cieszę się, że wróciłaś — szepnął.

— Nic nie mów — odparła. — W taką noc słowa są niepotrzebne. — Wstrząsnął nią nagły dreszcz.

— Zimno ci?

— Mhmm.

Objął ją, a ona przywarła do niego całym ciałem, przez które przebiegało lekkie drżenie.

Zza zakrętu wyłonił się wolno sunący ekwipart speców. Ruchliwym reflektorem omiatał ciemne okna domów, balkony i dachy. Przez moment znaleźli się w strudze jasnego światła, a później znów ogarnął ich mrok. Za chwilę jednak reflektor ponownie wydobył ich z ciemności. Ekwipart jeszcze bardziej zwolnił, trzymając ich w smudze światła.

— Sukinsyny! — syknął Daniel i drgnął, jakby chciał ruszyć w ich kierunku. Candy powstrzymała go jednak i szepnęła:

— Pocałuj mnie w tym świetle. Mocno. Niech im będzie żal. Niech nam zazdroszą.

Pocałował ją tak, jak chciała, mocno. Ekwipart stracił zainteresowanie i pojechał dalej. Candy popatrzyła w niebo. Między gęstniejącymi chmurami widać było jeszcze sporo gwiazd, a także lekką mgiełkę Mlecznej Drogi. Postać na postumencie, odcinająca się od jaśniejszej poświaty nieboskłonu, również patrzyła w zamyśleniu na gwiazdy.

— Czyj to pomnik? — zapytała.

— Nie wiem. Stoi tu od niepamiętnych czasów — odpowiedział Daniel.

— Właściwie siedzi — sprostowała Candy. — Zobacz. On siedzi, trzyma w ręku jakieś przyrządy i patrzy w niebo. Patrzy na północ, nigdy nie zobaczy tej części nieboskłonu, którą ma za plecami. Ciężkie jest życie pomników — westchnęła.

— Wariatka.

— Jeśli kiedyś postawią ci pomnik, to już za życia zażądaj obrotowego postumentu. Prawdziwy zawodowiec nie może dać się zaskoczyć. — Wyswobodziła się z jego objęć i weszła na podest postumentu. — Chodź! Tutaj jest jakiś napis.

Daniel wskoczył na podest i z trudem odcyfrował zatarte, ledwie widoczne złączenia liter na pękniętej tablicy.

— To jakiś dawny astronom. Na pewno żył przed Wielką Zmianą. Że też jego pomnik się uchował — zdziwił się. — Tu jest napisane „patria”. Nie wiem, co to znaczy.

— Też nie wiem. Ten napis jest w martwym języku — powiedziała Candy. — Chodźmy. Robi się chłodno.

Zeskoczyli z podestu i zaczęli się oddalać. Wtedy Daniel uświadomił sobie, że ogarnia go jakiś dziwny niepokój. Miał wrażenie, że pomnik poruszył się i że odprowadza ich uważne spojrzenie astronoma. Co się ze mną dzieje?! — skarcił się w duchu. Skoncentrował wolę, lecz niepokój nie ustępował. Przeciwnie — wrażenie, że pomnik na niego patrzy, potęgowało się. Szli w milczeniu, przyspieszając kroku. Candy obejrzała się.

— Ty też? — zapytał Daniel.

— Co też?

— Nic takiego — starał się nadać głosowi wyraz beztroski. — Przez chwilę wydawało mi się, że astronom na nas patrzy. — Roześmiał się.

— Mnie też się tak wydawało. Jestem przeczulona. Miałam niedawno ćwiczenia z wykrywania przyjaznego i nieprzyjaznego biopola. Widocznie potraktowałam te zajęcia zbyt poważnie i nabawiłam się nadwrażliwości.

— Umiesz odczytywać biopole?

— Troszeczkę.

— Jakie ja mam biopole?

— Teraz — przyjazne. Ale jeszcze niedawno było bardzo nieprzyjazne.

Zniknęły w przecznicy. Wówczas od spowitego mrokiem postumentu pomnika ode-rwała się jakaś postać i podążyła ich śladem.

VI

TEMPORYŚCI (*łac. temporis trwanie*), dawniej: *trwacze*; 1. *nielegalny ruch utworzony po Wielkiej Zmianie i aktywny przez 10 lat (Pierwsza Dziesięciolatka), obecnie w zániku i degeneracji*; 2. *ludzie z marginesu społecznego, pasożyty*; 3. *odbiegający od normy społecznej i stanowiący sporadyczne zagrożenie społeczne*; 4. *gangi rywalizujące z gangami lovittów*; 5. *popularny epitet*.

Wielka Encyklopedia Apostezjonu, wyd. 12

Berta obudziła się z płytkiego snu. Pod stanikiem uwierały dwa chropowate kartoniki przydziałów. Głowę przeszywały lekkie igielki bólu, a język miała suchy niczym rzeźmienny pas. Jak zwykle po przepiciu i zbyt wczesnym przebudzeniu.

Wargacz leżał obok i cicho pochrapywał. Chyba już świtało, bo przez niewielkie okienko pod sufitem sączyła się biała poświata, wydobywająca z mroku sprzęty w pomieszczeniu. Gdybym miała pastylkę tonizującą — pomyślała i westchnęła cicho, by nie budzić Wargacza. Jego głowa, ledwie widoczna, była wtulona w koc, prawa noga zaś ciążyła jej na brzuchu. Dotknęła szorstkiego policzka Wargacza. Był we śnie tak bezbronny, że gdyby nie ów pulsujący ból głowy, przytuliłaby go do siebie niczym matką niemowlę.

Zapachy spotęgowane czczością żołądka zaatakowały jej zmysł powonienia. Poczowała mdłości i zachciało jej się pić. Próbowwała ostrożnie wysunąć się spod przyciskającej ją nogi. Wargacz poruszył się niespokojnie i zamruczał coś przez sen. Znieruchomiała.

Nikt naprawdę nie znał człowieka, którego skóra stykała się z jej skórą. Nazywano go Wargaczem, bo w zamyśleniu zwykł był pocierać dolną wargę. Był inny niż wszyscy z jej otoczenia: nie kradł, a tylko zabierał przedmioty, które nie miały właściciela. Na początku mówił dziwnym językiem: językiem człowieka wykształconego. W walce był straszny. Braki w tężyznie fizycznej nadrabiał sprytem i znajomością takich sposobów walki, które pozwalały mu nie tylko obezwładnić, ale co gorsza — ośmieszyć największego zabijakę. Był podobny do innych lovittów, ale zarazem niepokojąco inny. Podobny

był w tym, że nie zhańbił się pracą, że żył z dnia na dzień, że zawsze miał gołdę, choć jej cena na czarnym rynku sięgała ostatnio pięciu przydziałów lub pięciu puszek żywnościowych (co na jedno wychodzi). Nie zdradził nigdy innego lovitta ani nie zabrał mu kobiety, która akurat do niego należała. Wywodził speców w pole jak nikt inny. O temporystach wyrażał się powściągliwie, choć wszyscy prawdziwi lovitci ich nienawidzili. To przez nich raz po raz spadały na lovittów srogie obławy, po których najlepsi mężczyźni byli zabierani do obozów pracy i nie wracali już nigdy, nie mogąc widocznie stanąć przed innymi lovittami z piętnem pracowniczej hańby na rękach. Wargacz zbywał ten problem zdaniem, które zapamiętała, gdyż nie było to zdanie z języka lovittów: „Nie lubicie temporystów, bo zajmują tę samą niszę społeczną”. I jeszcze jedno zdanie, które miał zwyczaj powtarzać po większej wódzie: „Jesteście, boże robaczki, mierzwą tego świata. Muszę być z wami, żeby poszukać mojej przeszłości i przyszłości tego świata”. Powtarzał to często, ale nigdy, nawet ostro przyciskany, nie wyjaśnił, o co mu chodzi.

Mógłby być szefem, a ja mogłabym być jego kobietą — myślała z goryczą. — Ale on nie chciał ani jednego, ani drugiego. Nie musiałby grzebać po śmietnikach, gdyż żyłby spokojnie z dziesięciny podległych mu lovittów. Wolał sam płacić dziesięcinę, choć nigdy nie potrzebował korzystać z pomocy innych. Nie musiałby mi płacić — myślała. — Jeszcze przyniosłabym mu zarobione przydziały. Ale i tego nie chciał. Nie rozumiała go. Nikt go właściwie nie rozumiał, ale rok lojalnego bycia w grupie zrobił swoje. Ufano mu i tolerowano jego dziwactwa; poza jego plecami były one przedmiotem kpin i przesmiewek. I teraz na dodatek ten brodacznak na ścianie — popatrzyła na ledwie odcinający się od tła tył obrazka. — Gdy to opowie, żartem i śmiechem nie będzie końca, choć oczywiście powie to w zaufaniu tylko najlepszym przyjaciółkom. Wargacz nie lubił, gdy o nim opowiadała. Tylko jej jednej ufał na tyle, że ujawnił swoją kryjówkę, O jej miejscu nie mówiła najlepszym przyjaciółkom nawet w największym zaufaniu. Wolała nie zadzierać z Wargaczem. Bała się go, a jednocześnie imponował jej fakt, że dzieli z nim tajemnicę, jakby była jego kobietą.

Spróbowała jeszcze raz wysunąć się z legowiska. Wargacz przewrócił się na drugi bok; była wolna. Wstała ostrożnie i jej nagie ciało ogarnął chłód przedświt. Niedługo przestanie padać i sobie pójdę — pomyślała. Długo piła prosto z kranu. Suchość gardła trochę ustąpiła. Przeciągnęła mokrą ręką po twarzy. Ciepłe opary snu ustępowały przed chłodem. Ubrała się szybko i wytarła rękawem wilgotną twarz. Poczowała się lepiej.

Spojrzała na śpiącego Wargacza. Teraz wyglądał zwyczajnie, jak każdy facet po nocnej balandze. A przecież widziała go opowiadającego o dawnych czasach i o tym, co może być w przyszłości, gdy wpadał w trans niemal proroczy i wystarczała do tego niekiedy tylko szklanka wódki albo jedna pastylka na podniecenie. Mówił o dawnych czasach, mówił o innych krajach, leżących daleko za morzem. Mówił o tym, że był w Stre-

fie, w której wygarnięto albo zabito wszystkich lovittów, temporystów, a nawet — pokornych, ale mówił, że tam przez jakiś czas wszyscy ludzie byli sobie braćmi. Nie było podziału na lovittów, temporystów i pokornych. I że taki czas jeszcze nadejdzie i żeby się do tego czasu przygotować. Ot, takie sobie bajeczki... Ale wtedy, gdy to opowiadał, wszyscy słuchali go z uwagą i byli gotowi mu uwierzyć. Później jednak wystarczyła jedna kąśliwa uwaga samego Wargacza i czar pryskał. Kończyła się jak zwykle pełnym ulgi śmiechem, niepoohamowanym śmiechem, a później piciem na umór.

Ogarnęła ją nagła złość. Miała żal do Wargacza, że nie wziął jej za swoją kobietę, że kpił ze swoich pięknych bajek, że był inny... Dostał tak jak chciał — pomyślała z zawziętością. — Należy mi się dodatkowy przydział. Taki był mój warunek.

Rozejrzała się za ogarkiem świecy, ale po chwili wahania zrezygnowała ze światła. Było już dość jasno, żeby jako tako widzieć, a światło mogłoby Wargacza obudzić.

Schyliła się pod łóżko, delikatnie wyciągnęła pudło i postawiła je pod oknem. Jeśli miał dwa przydziały, to na pewno ma więcej — upewniała się w duchu, gmerając w rupieciach. Ręka jej natrafiła na jakieś zawiniątko. Było ono dość ciężkie, by mogła to być szkatułka albo — przynajmniej — puszka żywnościowa. Wydobyła ostrożnie zawiniątko z kartonu i zaczęła je rozwijać. To jednak nie jest puszka żywnościowa — pomyślała. — Nie ten kształt.

Odrzuciła ostatni zawój i zmartwiała.

Trzymała w ręku obezwładniacz. W półmroku jarzyła się zielonkawym światłem skala naładowania. Broń, której używali tylko spece i tebocy, była gotowa do użycia.

— Odłóż to! — usłyszała za sobą ostry głos i ze strachu upuściła obezwładniacz do kartonu.

VII

*Idziemy,
Naprzód, do celu.
Idziemy,
Jest nas tak wielu.
Idziemy,
Cel jest niczym.
Idziemy,
Tylko marsz się liczy.
Idziemy,
Historia jest z nami.
Idziemy,
Nie jesteśmy sami.
Idziemy,
Na przekór porażkom i klęskom.
Idziemy,
Nasze jest zwycięstwo!*

z tekstu piosenki „Idziemy”, 1 miejsce na liście przebojów przez 11 tygodni, wg: „Kwartalne Sprawozdanie RTH”, nr 302/2044

Sygnalizator gotowości zaczął pulsować czerwonym światłem. Alarm! — pomyślał sierżant Trent, a jednocześnie odruchowo, jak na ćwiczeniach, zaczął wykonywać czynności przewidziane instrukcją: postawił w stan gotowości oddział służbowy, wydał rozkaz ściągnięcia odwodów, anulował wszystkie przepustki, a tych, którzy z nich już korzystali — wezwał do powrotu. Wszystko to trwało nie dłużej niż pięć sekund; tyle bowiem czasu zabrało mu dotknięcie kilku sensorowych przycisków. Resztę załatwiały komputery i połączone z nimi nadajniki i czujniki.

Coś zaczynało się dziać, ale Trent nie miał najmniejszego pojęcia co. Góra nie wszczynalaby przecież alarmu z powodu głupiej burdy przed jakimś barem. Chciał się połączyć z kumplem z sąsiedniego sektora, aby zobaczyć, czy alarm ma zasięg lokalny czy też szerszy, ale wtedy odezwał się brzęczyk radiotelefonu z dowództwa.

— Sierżant Trent, Sektor Czwarty! — zameldował służbiście.

— To wy, Trent? — usłyszał szorstki głos pułkownika Vittoliniego. Zauważył, że monitor wideofonu był nadal martwy. — Jak tam, u was? Spokój?

Trent czuł się niezręcznie, bo odzwyczyił się od kontaktu jedynie na fonii. Czyżby jakaś awaria? — przemknęło mu przez głowę. Vittolini najwyraźniej wyczuł tę chwilę wahania, bo zapytał:

— Co z wami?

— Nic, pułkowniku! — odparł pospiesznie, zapominając o regulaminowej formule. — W zasadzie wszystko w porządku, tylko...

— Przy takim meldunku aids może człowieka trafić! — Vittolini zaczął się niecierpliwić. — Mówcie wyraźniej!

— Godzinę temu była bijatyka przed barem w kwadracie A-siedem.

— Wiem. Zdarzenie zarejestrowane?

— Nie — zająknął się. — Ktoś zablokował kamerę. Wysłałem patrol. Zeznania świadków — sprzeczne. Zgodne są tylko dwa elementy: napadnięty pobił kilku napastników i porwał dziewczynę z baru. Poza tym niektórzy świadkowie utrzymują, jakoby jeden z napastników był uzbrojony w obezwładniacz. Na miejscu jednak znaleziono jedynie ślady krwi i nóż. Z meldunku dowódcy patrolu wyglądało to na zwykłą bójkę przed zawodami, ale faktem jest, że dziewczyna zniknęła, choć miała jeszcze dwie godziny służby w barze.

— Nie filozofujcie, sierżancie! — skarcił go Vittolini. — Jeśli obezwładniacz był w robocie, to musicie znaleźć sprawcę. Jeszcze dziś w nocy. I dziewczynę oczywiście też. W miarę możliwości — żywą.

— Podesłałem na miejsce jeszcze dwa patrole. Penetrują teren i na pewno wpadną na jakiś ślad. W końcu napastników było kilku, a ich prowodyrem był jakiś grubas o charakterystycznym wyglądzie.

— Nic nie rozumiecie, Trent! — warknął Vittolini. — Macie szukać sprawcy, a nie jego ofiar. Kto porwał dziewczynę?

— Ten napadnięty.

— No właśnie! Kto zatem jest sprawcą?

— Napadnięty.

— Nareszcie, Trent. A teraz słuchajcie uważnie. Czy wykonaliście wszystkie instrukcje alarmowe?

— Tak jest!

— To jest alarm ćwiczebny, ale będzie dla was lepiej, jeśli potraktujecie go, jakby był prawdziwy. Od tej chwili słuchacie wyłącznie moich osobistych rozkazów. Zrozumiano?

— Tak jest!

— To jest szczególny rodzaj ćwiczeń. Chcemy zbadać zdolność operacyjną naszych jednostek w warunkach awarii komputerowych systemów dowodzenia. Słuchacie tylko moich osobistych rozkazów, nawet gdyby były one niezupełnie regulaminowe, jasne?

— Tak jest!

— I będziecie mi meldować o wszystkich rozkazach, które nie pochodzą ode mnie. Natychmiast! — dodał z naciskiem.

— Tak jest, natychmiast! — odwrócił się Trent do martwego ekranu.

— Wszyscy mają być w stanie najwyższej gotowości aż do odwołania. Macie jakieś pytania?

— Tylko jedno.

— Słucham. — W głosie Vittoliniego wyczuł nie tylko zniecierpliwienie, do którego zdążył się już przyzwyczaić w kontaktach z wyższym dowództwem, ale również pewne napięcie, którego nigdy przedtem nie zauważył.

— Czy mam szukać uczestników tej bójki?

— Potrzebuję sprawcy. Szukajcie go. Tej porwanej dziewczyny też. Jeśli patrol natknął się na coś osobliwego, też meldujcie mi natychmiast. Mówiliście coś o obezwładniaczu. Jeśli to fakt, to obserwujcie również obce patrole. Jeśli mieli obezwładniacz, to równie dobrze mogą nosić nasze mundury.

— Kto?

— Nie zadawajcie głupich pytań, Trent. — Zniecierpliwienie szefa zaczynało zmieniać się w gniew. — Jak to kto? Oni.

— Tak jest, oni. — zdążył potwierdzić i szef wyłączył się.

Trent wstał od pulpitu; w głowie czuł zamęt, jak zawsze, gdy nie wiedział, czego się trzymać. Niby wszystko w porządku. W końcu alarm ćwiczebny to nie nowina. Bójki zdarzały się i będą się zdarzać. A jednak było w tym wszystkim coś, czego Trent nie potrafił nazwać, a co sprawiło, że gdzieś w głębi duszy trawił go niepokój. Oni! Jacy oni? Lovitci są zbyt rozproszeni, by stanowili prawdziwe zagrożenie. Temporyści są pasywni. Zresztą, kilka lat temu dostali taką nauczkę, że długo jeszcze będą ją pamiętać. Inwazja? Bzdura! Inwazji nie odpiera się siłami policyjnymi. Od tego jest wojsko.

„Jeśli nie wiesz, jak się zachować — zajrzyj do regulaminu służby” — przypominała mu się maksyma, którą wbijał im do głowy na kursach doskonalących nieoceniony inspektor Hurltley. Ale Trent znał regulamin na pamięć i nie było tam nic, co by mogło... Zaraz, zaraz... Podstawowym obowiązkiem służbowym jest wykonywanie wszystkich rozkazów bezpośredniego przełożonego”. Czyż nie o tym mówił Vittolini, bezpo-

średni przełożony Trenta? Jasne! Trzeba go słuchać i nie zawracać sobie głowy jakimiś głupimi domysłami! Sięgnął po szklankę nie dopitego napoju i wychylił duszkiem resztę płynu. Znów stał na pewnym gruncie.

Zaczął łączyć się kolejno z patrolami wysłanymi na obserwację sektora. Patrol pierwszy nie znalazł nic. Drugi złowił świadka, który ponoć widział, jak jakiś włóczęga (sądząc z opisu ubrania — typowy lovitt) podniósł z chodnika jakiś przedmiot, który mógł być obezwładniaczem. Śladu tego włóczęgi jeszcze nie złapali, ale są dobrej myśli. Trzeci wreszcie patrol przeszukiwał rejon w poszukiwaniu uczestników incydentu i porwanej dziewczyny. Ulice o tej porze były wyludnione, więc identyfikacja nielicznych, zapóźnionych przechodniów szła im szpalko.

Trent połączył się z nimi, gdy wyłowili z mroku jakąś parkę. Trzymali tę parkę w ostrym świetle reflektora. Trent zaś dał maksymalne zbliżenie. Mężczyzna, dość wysoki, dobrze zbudowany, drgnął, jakby chciał pobiec w kierunku kamery. Jednak dziewczyna, stojąca tyłem do kamery, objęta go i zaczęła całować. Wówczas mężczyzna stracił zainteresowanie dla kamery, czemu Trent w końcu wcale się nie dziwił. Studiował przez chwilę zgrabną sylwetkę dziewczyny.

— Rysopisy pasują — odezwał się dowódca patrolu. — Brać ich?

— Daj spokój! — zmitygował go Trent. — Jeśli ktoś z tej pary jest porwany, to na pewno nie dziewczyna.

— Ale rysopisy pasują — upierał się dowódca patrolu. — Można by ich zwinąć za zakłócanie porządku.

— A tymczasem prawdziwi sprawcy ulotnią się — przerwał mu Trent. — Ilu masz ludzi w wozie?

— Dwóch...

— Puść im jednego na ogon, a wy szukajcie dalej. Jasne?

— Tak jest!

Ekran zgasł, ale zaraz pojawił się sygnał wywoławczy drugiego patrolu. Trent stęknął: zapowiadała się naprawdę pracowita noc.

— Co tam, drugi?

— Chyba mamy tego włóczęgę! — Głos dowódcy patrolu krył ledwo maskowane podniecenie. Był to młodzik tuż po szkole, podobno prymus. Trent nie lubił go. Może dlatego, że nie przepadał za teorią i sam nigdy nie był prymusem.

— Pokażcie go.

— Nie mamy go w zasięgu kamery, bo mógłby się spłoszyć. Jeśli to ten, to może lepiej poczekać ze zwinięciem i zobaczyć, gdzie nas zaprowadzi?

No właśnie! To było mędrkowanie, którego Trent nie lubił u swoich podwładnych.

— Puść jednego za nim, a wy szukajcie dalej. Jasne?

— Tak jest! — odparł młodzik ochoczo.

VIII

OBWIESZCZENIE SANITARNO-EPIDEMIOLOGICZNE

W związku z awarią układu oczyszczającego w Zakładach Chemicznych nr 6 nastąpił pewien wyciek substancji toksycznych do gleby i atmosfery. Sytuacja jest opanowana, a wyciek znajduje się pod stałą kontrolą. W najbliższym czasie Zakład nr 6 podejmie normalną pracę, a nowa, młoda załoga, która już została skompletowana, obiecuje produkcję wyższą niż przed awarią. Produkcja tego zakładu ma bardzo ważne znaczenie dla naszej gospodarki, a tym samym — dla stałego i rytmicznego wyposażania wszystkich dystrybutorów spożywczych w niezbędne produkty powszechnego użytku.

W związku z awarią zaleca się tymczasowo ludności powstrzymywanie się od kąpiele w otwartych akwenach, picia wody ze strumieni i źródeł, a także spożywania surowych owoców i warzyw niewiadomego pochodzenia. W południowej części wyspy zalecenie ma formę bezwzględного zakazu, nad którego wykonaniem czuwać będą specjalne służby porządkowe. Awaria ma bardzo ograniczony zasięg i nie powinna zakłócić normalnego rytmu pracy i wypoczynku ludności.

Główny Ekolog Apostezjonu z up. Rady Ekspertów

treść plakatu, który pojawił się na słupach ogłoszeniowych i w telewizji w dniu 15 kwietnia 2044 roku

Berta rzuciła się w kąt i stanęła w postawie obronnej. Spodziewała się kilku napastników, ale naprzeciwko niej stała tylko jedna kobieta, wpatrująca się w nią intensywnie i sprężona jak do skoku. Włosy miała krótkie, równo przystrzyżone, odsłaniające kształtne uszy, przystrojone jakimiś błyszczącymi wisiorkami. Była ubrana dziwacznie: od szyi aż do kostek ciało jej spowijała luźna suknia, która z pewnością krępowała ruchy. Stopy obute były w sandały z naturalnej (brr!) skóry. Nie było wątpliwości; takich ubiorów nie nosił nikt oprócz temporystów. Berta odetchnęła z ulgą. Lovitci nieraz dawali wycisk tym mięczakom, zwłaszcza jeśli trafiali się w pojedynkę.

Okrzyk napastniczek obudził Wargacza, który zerwał się z posłania i siedział z wybałuszonymi ze zdumienia oczami. Niezupełnie jeszcze zdawał sobie sprawę z tego, co się

stało. Musiał sporo wypić — oceniła fachowo Berta. — Kubeł zimnej wody otrzeźwiłby go natychmiast. Dobrze, że wstałam wcześniej, bo mogłaby nas zaskoczyć we śnie.

Nie wykonując najmniejszego ruchu, szukała wzrokiem czegoś poręcznego do zadania ciosu. Żałowała teraz, że upuściła ten parszywy obezwładniacz. Tamta miała do niego krótszą drogę i na pewno widziała, co wpadło do pudła. Ostrożnie, nie spuszcza-
jąc z napastniczki oka, sięgnęła ręką za siebie. Natrafiła na otwartą puszkę żywnościową. Lepsze to niż nic — pomyślała. — Gdy wsadzę jej w twarz blachę — będzie zał-
twiona.

— Ira! — odezwała się ostro obca. — Powiedz coś tej idiotce, bo gotowa mnie oka-
leczyć!

Berta omiotła spojrzeniem pokój, ale oprócz Wargacza, który nerwowo przecierał
oczy i drapał się w głowę, nie zauważyła nikogo, kto mógłby być adresatem tych słów.

— Ira, Ira... — Obca podeszła do pryczy, a na jej twarzy malował się niesmak pomie-
szany z litością. — Jak ty wyglądasz? Czyżbyś naprawdę stał się taki jak oni?

— Uważaj, Wargacz! — rzekła ostrzegawczo Berta. — To jakaś wariatka! Może mieć
nóż w rękawie. Zaraz ją załatwię! — Ujęła mocniej puszkę i sprężyła się do skoku...

— Zostaw ją! — warknął Wargacz. — Nie waż się jej tknąć! Cholera! Łeb mi pęka
— jęknął. — Do tej wody musieli czegoś dodać...

— Radzę ci z nią ostrożnie! — Berta nie ustępowała. — Ona cię bierze za kogoś in-
nego.

— Zamknij dziób. Odłóż tę puszkę, słyszysz?

— Czy ty ją znasz, Wargacz?

— Nie zadawaj głupich pytań! Posprzątaj lepiej. Nawet nie ma gdzie usiąść. Siadaj,
Alma, choćby na tym barłogu. Pić! Nic nie mów, dopóki nie zgaszę paleniska w gardle.
— Rzucił się do kranu i pił łapczywie. Potem zlał głowę wodą i otrząsnął się jak pies po
nie chcianej kąpieli.

— Jak mnie znalazłaś? — zapytał spod kranu.

— To długa historia. Dobrze zatarłeś ślady za sobą. Nie na tyle jednak dobrze, by
Długi nie mógł sobie poradzić. Zresztą, ma pewną wprawę w szukaniu ciebie, pamię-
tasz?

— Długi? — Usiadł ponownie w barłogu i zaczął się ubierać. — Czy to nie ten, któ-
rego wpakowali do ośrodka resocjalizacyjnego?

— Ten sam.

— Przerobili go na specę? — ni to stwierdził, ni zapytał.

— Uciekł. Ale nie przyszedł po to, aby opowiadać ci historie o Długim.

— Uciekł... — Tarł w zamyśleniu szczecinę na policzkach. — Ciekawe... Byłby jedy-
nym, o którym wiem, że mu się udało.

— Nie jedynym! — przerwała mu niecierpliwie. — Uciekli większą grupą. Chcieli
wejść do Strefy, ale nie zdążyli, bo już nas tam wzięli w obroty.

— O czym wy mówicie? — Berta dopiero teraz odzyskała głos. Nadal była czujna. Wargacz wyraźnie znał tę kobietę, ale to przecież nic nie znaczy. Wszystko może się zdarzyć. Przecież ona nazywała go jakoś inaczej. Czyżby to było jego prawdziwe imię? Skąd je znała? Wargacz nie wyglądał na takiego, który zadawałby się z temporystami. Choć miał swoje tajemnice i pilnie ich strzegł. Jak chociażby tę swoją kryjówkę. Ale nie była to znowu tak wielka tajemnica, skoro ta obca tu weszła i to nie proszona. Nieproszeni goście zawsze przyciągali nieszczęście. Berta dobrze wiedziała to z własnego doświadczenia i dlatego ponownie targnęła nią niepokój:

— Co jest grane?

— Nie znacie się jeszcze. — Wargacz był zakłopotany. — Almo, to jest Berta. Berto, przywitaj się z Almą.

Alma podeszła do Berty i wyciągnęła rękę. Berta jednak cofnęła się pół kroku i schowała rękę za siebie.

— Mam się z nią witać? — Obrzuciła Almę pogardliwym spojrzeniem. — Przecież to temporystka. Gdyby mnie nie zaskoczyła, to wiedziałabym, jak ją przywitać.

— Przestań mleć ozorem! — wrzasnął Wargacz. — Zajmij się lepiej piecykiem. Nie zwracaj na nią uwagi, Alma. Usiądź!

— Dobrze. — Alma wzięła jedno z nadwerężonych krzesełek, przetała je i usiadła pod ścianą. — Wolę, by nie plątała mi się za plecami — dodała usprawiedliwiająco.

Wargacz w tym czasie usiłował doprowadzić do porządku pryczę.

— Która godzina? — zapytał.

— Pada, więc musi być koło piątej — powiedziała Berta rozpalając piecyk.

— Przyznasz, Almo, że to dość wcześnie na odwiedzinę, zwłaszcza nie zapowiedziane.

— To najlepsza pora, by cię zastać w, hm... domu.

— Śledziliście mnie?

— Długi znalazł cię kilka dni temu, ale nie mógł się ujawnić, bo przecież byś mu nie zaufała, prawda?

— Prawda.

— A czy mnie jeszcze ufasz?

— Almo... — rzekł z wyrzutem.

— Ja bym jej nie ufała — wtrąciła Berta. — Uważaj, Wargacz, w co się pakujesz. Czuję, że nic dobrego z tego nie będzie.

— Po co przyszedłaś? — zapytał.

— Po ciebie — odparła Alma patrząc mu uważnie w oczy.

— Mówiłam, mówiłam! Wargacz, strzeż się jej! Ona może być nasłana! Temporysty do wszystkiego są zdolni.

Alma zignorowała uwagi Berty, ale Ira poczuł drobne ukłucia niepokoję.

— Po mnie? Mówisz, jakbyś przeszła szkolenie u speców.

— Popatrz... — rzekła wolno Alma, a w jej głosie można było wyczuć znużenie.

— Wystarczył rok wśród nich — spojrzała z niechęcią na Bertę — abyśmy zaczęli mieć kłopoty ze zrozumieniem się. Przyszłam po ciebie, bo jesteś nam potrzebny. Chyba nadszedł czas działania, a może nawet czas ofiar. Coś wisi w powietrzu. U nich też się coś dzieje. Ale co? Tego nie wiemy. Wyspa jest jak beczka prochu. Wystarczy iskra...

— I ja mam być tą iskłą? — zapytał zgryźliwie.

— Jesteś nam potrzebny — powtórzyła z uporem. — Powinieneś być teraz z nami.

— Mówisz bardzo niejasno, Almo. Jesteś potrzebny... Coś wisi w powietrzu... To wszystko nic nie znaczy. Niedługo zawody. Przed zawodami zawsze coś się dzieje. Wszyscy są podnieceni i wtedy najłatwiej o głupstwo. Nadal nie wiem, o co ci chodzi.

— Jej chodzi o to, żeby cię wpakować w coś paskudnego — rzuciła Berta gmerając w piecyku kawałkiem drutu, który spełniał funkcję pogrzebacza. — Ona chce cię w coś wrobić, bo sama się boi.

— Czy oni wszyscy są tacy? — zapytała Alma z zaciekawieniem. — Ci lovitci?

— Nie wtrącaj się, Berta! — rzucił Wargacz przez ramię. — To nie na twoją głowę.

— Nie wtrącaj się, nie wtrącaj... — mruzczała, rozpalając wreszcie ogień. — Nie jestem taka głupia. Swoje wiem. Będziesz żałował, Wargacz, że nie pozwoliłeś mi jej załatwić. Będziesz żałował, zobaczysz.

— Powiedz wreszcie, o co chodzi — zwrócił się do Almy.

Ona jednak wymownie spojrzała na krzątającą się Bertę i powiedziała:

— Zmizerniałeś, Ira.

Ira powędrował wzrokiem za jej spojrzeniem i roześmiał się:

— Ona nie zdradzi. Berta, czy doniesiesz specom, o czym tutaj mówimy?

Berta wzruszyła ramionami i nie odpowiedziała na zaczepkę. Tymczasem Ira ciągnął dalej:

— Możesz przy niej mówić. Kiedyś spece ją przesłuchiwali. Nie mogli nic z niej wycisnąć, więc załatwili ją we czterech i potem puścili. To był jej pierwszy raz, rozumiesz? Ile ty miałaś wtedy lat? Piętnaście?

— Co komu do tego? — burknęła dokładając do ognia, po czym dodała ciszej:

— Czternaście.

— No i przystała do lovitów. Możesz, przy niej mówić.

— Współczuję ci, Berta — rzekła miękko Alma.

— Odwal się! — warknęła. — Załatwcie swoje sprawy i spływaj. To nie dla ciebie miejsce. Jesteś tu obca, kapujesz? Obca jak...

— Znowu zaczynasz? — przerwał jej Wargacz. — Wystarczy! Zrób nam herbaty i nie otwieraj dzioba. Słucham cię. Almo.

— Już czas na powrót, Ira. Potrzebujemy cię, bo nadciąga burza. Wśród ekspertów wielki ruch. W Pałacu Centralnym światła paliły się przez całą noc. Spece uwijają się jak w ukropie. Nigdy nie było ich tylu na ulicach. Wszyscy mówią, że coś się szykuje.

— Wszyscy mówią... — powtórzył za nią z rozdrażnieniem. — To nic nie znaczy. Zwykle przygotowania do zawodów. Do czego jestem wam potrzebny?

— Potrzebny jest nam twój rozsądek, twoja przenikliwość, i wreszcie — twoja wiedza.

— Dobrze wiesz, że nic nie pamiętam. Nie mogę nic pamiętać. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Marten zadbał o to, by nie pozostał w moim mózgu najmniejszy ślad przeszłości. Próbowałem. Sama dobrze wiesz, jak bardzo się starałem. I nic z tego nie wyszło. Moja przeszłość została w sali operacyjnej. A jeśli chodzi o mój rozsądek... — zawiesił głos na chwilę, jakby zastanawiał się nad doborem właściwych słów. — Mogę dać wam rozsądną radę: trzeba cierpliwości i pracy od podstaw. Jeszcze nie czas, Almo, nie czas...

— Zanim powstała Strefa, też mówiłeś, że jeszcze nie czas.

— I miałem rację! — podniósł głos. — Co z niej zostało? Nic. Nawet popioły uprzątnięto.

— Gdyby nie Czarny Batalion i ci — zmierzyła zimnym spojrzeniem Bertę — lovit-ci...

— To są biedni ludzie — przerwał jej Ira. — Są w gorszej sytuacji niż wy, bo nie wiedzą, co czynią. Są jak piasek, lotny piasek, który leci tam, gdzie wieje wiatr. Trzeba z nich zrobić glebę, żyzną glebę, która przyjmie posiew. Trzeba ich wyzwolić z przekleństwa własnego upodlenia. Trzeba ich nauczyć rozróżniać dobro i zło. Ale żeby to zrobić, trzeba zstąpić na dno, trzeba być wśród nich i stać się jednym z nich. I trzeba ich kochać, bardzo kochać, żeby starczyło wytrwałości. I czasu... Potrzeba bardzo dużo czasu. Dlatego namawiam was do cierpliwości.

— Mówisz jak nawiedzony — obruszyła się Alma. — Czyżbyś zamierzał stworzyć sektę?

— Almo — odparł spokojnie. — Przemawia przez ciebie rozczarowanie, a może nawet gniew. Ale dam ci jeszcze jedną radę: zmiana na lepsze jest niemożliwa bez czynnika metafizycznego. Zmiana jakakolwiek — owszem, ale nie zmiana na lepsze. Każda bowiem definicja dobra pozbawiona transcendentnej sankcji jest kaleka i podatna na manipulację, gdyż jest wywiedziona z ułomnej ludzkiej natury, której zarazem ma służyć jako drogowskaz. To przecież tak, jakby się chciało stworzyć perpetuum mobile.

— Strefa powstała bez twojej metafizyki — przerwała mu Alma.

— Strefa już się nie powtórzy! — jęknął. — Nie rozumiesz tego? Nic można wejść drugi raz do tej samej rzeki.

— Ale Strefa była i nic nie wymaże jej z naszej pamięci. A teraz znowu coś zaczyna się dziać. Nie możemy siedzieć z założonymi rękami, nie możemy przegapić nadarzającej się okazji. Musisz nam pomóc!

— Co chcecie osiągnąć? Do czego zmierzacie?

— Chcemy pokazać, że istniejemy, że jest nas tyle co przed powstaniem Strefy, a może nawet więcej.

Ira zaczął się bezgłośnie śmiać. Objął kolana rękoma i ukrył w nich twarz, jakby chciał ukryć swój śmiech.

— Berto, ta pani bardzo się spieszy. Nalej więc nam szybko pożegnalnej herbatki. Rusz się, babo! — wrzasnął nagle, by wytrącić Bertę z głębokiego zamyślenia. — Czyżby tyłek przyrósł ci do krzesła?

Berta wstała szybko i zaczęła rozlewać wrzątek do poszczerbionych kubków. Nie patrzyła ani na Almę, ani na Wargacza, a ręce jej drżały.

— Zobacz, czy zostało coś jeszcze w butelce — komenderował dalej. — Muszę wybić kaca klinem.

Berta sięgnęła po butelkę i obróciła ją dnem do góry. Kilka kropel pociekło na podłogę. Bez słowa rzuciła ją w kąt i podała mu kubek z parującym napojem.

— Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo — powiedziała Alma z uporem. — A poza tym... — zawiesiła głos — dobrze, żebyś wiedział, że jesteś śledzony.

— Wiem o tym — przerwał jej opryskliwie. — W przeciwnym razie nie trafiłabyś tutaj.

— Źle mnie zrozumiałeś, Ira. Jesteś śledzony przez speców. Przywlokłeś za sobą ogon aż do tej kryjówki. Takiego młodego napalonego szczeniaka, którego Długi dość łatwo spławił.

— Mówisz serio? — spojrzał na nią czujnie.

— Jak najbardziej.

Ira odstawił kubek, wstał i rozejrzał się po pomieszczeniu. Zdjął ze ściany obrazek, schował go za pazuchę, sięgnął po sfatygowaną teczkę, włożył do niej nie dojeżdżoną puszkę żywnościową, kilka drobiazgów z kartonowego pudła i — po chwili wahania — obezwładniacz.

— Wychodzimy stąd pojedynczo — powiedział raczej do Berty niż do Almy. — Ta melina jest spalona. Szkoda. Przyzwyczaiłem się do niej. Wybacz, Almo, że cię rozczarowałem. Ale weź moje rady do serca i przekaz je swoim ludziom. To wszystko, co mogę dla was zrobić. Przynajmniej na razie. Żegnaj cię. Może jeszcze się kiedyś zobaczymy?

— Wcześniej niż przypuszczasz — odparła Alma spokojnie, nie ruszając się z miejsca.

— Nie sądzę. W każdym bądź razie — uważaj na siebie. Nie zdążyłem nawet wypytać cię o Matyldę i innych. Pozdrów ich wszystkich ode mnie. Berto, wyjdź pięć minut po mnie. A na końcu ty, Almo. — Zniknął za drzwiami.

— Nie bujałaś z tym specem? — zapytała Berta, sącząc małymi łydkami herbatę. Alma w milczeniu pokręciła głową. Tymczasem Berta ciągnęła dalej: — Wydawało mi się, że znam Wargacza. A tu takie bajery! Wiedziałam, że mógłby zostać kimś, gdyby tylko chciał. Ale żeby aż tak? Coś takiego! Nie skapowałam nawet połowy tego, co mówił. A to sztuka! Obrazek zabrał. To jakiś jego przodek czy coś takiego. Obezwładniacz też. Chce nas, lovittów, wyzwolić! A może on jasnowiedz? Raz spotkałam takiego. Prawie wszystko mi się sprawdziło. To nas można wyzwolić? Co to właściwie znaczy? Że niby jesteśmy przymknięci, czy co? Przecież nas jeszcze nikt nie przymknął i daj losie, by się to nie stało. Może mi to wytłumaczysz, laluniu?

Alma siedziała w milczeniu, jakby na coś czekała.

— Milczysz! — mówiła dalej Berta. — Pewnie sama nie wiesz, o co mu się rozchodziło. Jesteś taka sama tabaka, jak ja. Nie poszedł z tobą. On już jest nasz, a żaden prawdziwy lovitt nie będzie zadawał się z temporystką. Ja ci to mówię i wiem, co mówię. Myślisz, że minęło już pięć minut?

— To bez znaczenia — odparła Alma. — On tu zaraz będzie z powrotem.

— To go nie znasz! On jak już raz coś postanowi... — przerwała, bo usłyszała zbliżające się kroki wielu osób. Przez jej twarz przebiegł skurcz przerażenia. Skoczyła w kierunku stołu, chwyciła nóż i przyłożyła go Almie do szyi: — Ty, suko! Wydałaś go! Wydałaś naszego Wargacza. Wiedziałam, że sprowadzisz nieszczęście. Ale niedoczekanie twoje. Nie dam się wziąć żywcem, ale najpierw ty pożegnasz się z życiem.

Alma siedziała nieporuszona; z lekko przybladłą twarzą kontrastowały ciemne nieruchome oczy wpatrzone w kontur drzwi.

IX

Ludzkość już dawno zarzuciła drogę postępu. Zmierzamy do katastrofy, ale walczymy o odrzucenie jej w przyszłość.

z „Dziennika prywatnego Wiktora Nordmanna”, materiał nie publikowany. Archiwum Główne Służb Specjalnych, sygnatura AG/1786/29

Ciało ułożone na stole konferencyjnym. Atak nastąpił tak nagle i miał tak gwałtowny przebieg, że było po wszystkim, zanim zdążył nadjechać ambulans reanimacyjny. Doraźne środki pomocy, udzielone natychmiast przez profesora Martena, miały raczej znaczenie symboliczno-rytualne, nikt bowiem nie łudził się, że można powstrzymać rozległy zawał serca za pomocą podręcznej apteczki i najbardziej nawet wykwalifikowanych, ale pozbawionych odpowiednich przyrządów rąk.

— To już drugi — mruknął przez ramię Marten do profesora Nemeckiego. — Ciekawe, kto będzie następny.

— Myślisz, że... — zapytał szeptem Nemecek pochylając się nad ciałem.

— Nic nie myślę — odparł Marten. — Jestem zmęczony, a zapowiada się, że będziemy obradować tu w permanencji.

Przyciszone rozmowy przerwał ostry głos przewodniczącego Rady Ekspertów:

— Uczcijmy minutą ciszy naszego kolegę, który zmarł na posterunku pracy.

Ci, którzy stali wokół stołu — znieruchomieli, ci zaś, którzy w luźnych grupkach siedzieli w różnych częściach Sali Obrad — wstali, z hałasem odsuwając krzesła.

Marten spojrział na ciało zwinięte w przedśmiertnym skurczu i poczuł, że robi mu się słabo. Najchętniej napiłby się koktajlu dwudziestego, albo nawet wyższej numeracji, aby zmyć z siebie zmęczenie i napięcie ostatnich kilkunastu godzin. Stał jednak dalej nieporuszony jak reszta zebranych. Głównego Ekologa już nie ma. Trafił go szlag na sali obrad, co zdarzyło się chyba po raz pierwszy w historii Apostezjonu, a na pewno nie zdarzyło się to od czasu, kiedy on sam, profesor Marten, jeden z najwybitniejszych ekspertów z dziedziny psychosyntetyki, stał się rzeczywistym członkiem Wysokiej

Rady Ekspertów. A wczoraj — Szef Służb Specjalnych. I też na atak serca. Znalaziono go w łóżku, z grymasem przerażenia na zastygłej twarzy. Jakby tuż przed śmiercią zobaczył potwora. A przecież zdawało się, że twarz Szefa nic jest w stanie oddać żadnego uczucia. Być może dlatego, że — jak podejrzewał Marten — wieloletni trening pozwolił Szefowi tak dalece wytłumić wszelkie uczucia, iż nie zostało już nic, co twarz mogłaby wyrażać. A jednak przerażenie, ukryte gdzieś głęboko pod warstwą racjonalnych przesądów, wypęzło na koniec, niczym ostatnia oznaka życia.

I na dodatek — ta katastrofa w Zakładach nr 6. Katastrofa, której prawdopodobieństwo graniczyło z niemożliwością. A jednak zdarzyła się. Czy to wszystko można wytłumaczyć przypadkiem? I to tuż przed zawodami, gdy oczy świata zwrócone są na Apostezjon. Jeśli hipoteza nieszczęśliwego zbiegu okoliczności okaże się fałszywa? Pod Martenem ugięły się nogi. Czyżby to był początek walki o władzę? Oparł się ręką o stół. Narastający gwar oznaczał, że minuta ciszy skończyła się.

— Chodźmy się czegoś napić — zaproponował Nemeckowi.

— Chętnie. Biedny Ekolog... Musiał bardzo przejąć się tą katastrofą.

Marten spojrział badawczo na Nemecka, ale nie dostrzegł żadnych śladów ironii.

— Można przyłączyć się do was? — usłyszeli za sobą głos Statystyka, który niedawno awansował do ścisłego prezydium Wysokiej Rady. Jak na nowicjusza przystało, nie opuścił żadnego posiedzenia. Co więcej, zdawał się cieszyć każdą możliwością zabrania głosu i popisywania się swoją wiedzą. Jeszcze nie wszedł w żadne układy i dlatego jest taki gadatliwy — pomyślał Marten, Nemecek zaś powiedział:

— Prosimy. Czego się pan napije?

— Siódemka wystarczy.

— My, starsi, chyba sięgniemy po wyższe numery? — Nemecek zwrócił się do Martena.

— Tak, tak... Ja proszę dwadzieścia jeden...

— Wezmę to samo — powiedział Nemecek manipulując przy dystrybutorze. Po chwili trzy szklanki napełniły się musującym płynem.

— Czy są już wyniki sekcji Generała? — zapytał Statystyk.

— Chyba tak, nawet na pewno tak — odparł Marten i pociągnął spory łyk orzeźwiającego płynu. Wewnętrzny dygot powoli zamierał; na jego miejsce napływać zaczęły fale błogiego spokoju. — Wyniki sekcji mają być odczytane po przerwie.

— Co za zbieg okoliczności — podjął ostrożnie Nemecek. — Pan, jako Statystyk, ma z pewnością swoje własne teorie na ten temat.

— Nie tylko teorie, panie profesorze — odrzekł Statystyk, upijając ostrożnie łyk z przepelnionej szklanki.

— My tu, w najściślejszym gronie ekspertów, panie kolego, nie używamy formalnych tytułów — upomniał go dobrodusznie Marten. — Nie jesteśmy przecież na sesji plenarnej.

— O, właśnie! Jak długo ostatnie wydarzenia będą trzymane w tajemnicy przed Wysoką Radą? To cofnięcie przepustek niektórym osobom nie było najszcześniejszym posunięciem...

— Tak zdecydowała większość prezydium — odparł Nemecek. — I większość ta zdecyduje także o terminie zwołania rady w pełnym składzie.

— Myśli pan, że nastąpi to jeszcze przed zawodami? — Statystyk pojrzał na Nemecka przenikliwie.

— A czy pan sądzi, że zawody się w ogóle odbędą? — odparował Nemecek.

— Nie wiem, tak samo jak panowie. Myślę jednak, że trzeba jak najszybciej zająć publiczne stanowisko wobec ostatnich wydarzeń. Zgodnie z modelem procesu lawinowego Poissona już wkrótce cała klasa wyższa Apostezjonu będzie wiedziała, że coś się stało, a wobec braku autorytatywnej informacji pojawią się... domysły.

— Czy my wiemy, co się stało? — zapytał Marten. — Powiedział pan, kolego, że ma pan nie tylko teorie na ten temat... — urwał, ale Statystyk milczał popijając koktajl numer siedem.

— Czy wystąpi pan dzisiaj? — nie ustępował Marten.

— Tak — odparł Statystyk. — W trzecim punkcie porządku dziennego. Wczoraj w nocy przeprowadziłem pewne wstępne obliczenia, których wyniki, być może, okażą się interesujące. Panowie wybaczą, ale przerwa już się kończy, a chciałbym jeszcze przejrzeć moje materiały. — Odstawił niedopitą szklankę i oddalił się.

— Wygląda na to, że on coś przyszykował — powiedział w zamyśleniu Nemecek odprowadzając Statystyka wzrokiem.

— Nie sądzę. — Marten dopił resztę koktajlu. Poczul się zdecydowanie lepiej. — Będą to jego zwykłe, mętne rozważania o tym, co możliwe i co niemożliwe. Jest gadułą, ale nie idiotą. Musi dobrze rozpoznać teren, zanim postanowi, z kim trzymać.

Rozległ się gong i wszyscy zaczęli powoli zajmować swoje miejsca. Ciało Ekologa zostało uprzątnięte.

X

Korespondenci sygnalizują nam o pewnych niedociągnięciach zaopatrzenia, które przejściowo pojawiły się w niektórych rejonach wyspy. Jak się dowiadujemy w Radzie Ekspertów, sygnały te są wyolbrzymione. Istotnie, mogły się zdarzyć braki w pokryciu przydziałów socjalnych, ale przecież jest tajemnicą poliszynela, że przydziały te są przedmiotem nielegalnego handlu i często trafiają do rąk lovitów, którzy pasożytują na zdrowej tkance naszego społeczeństwa. Trzeba ukrócić te praktyki, wypaczają one bowiem sens naszej polityki społecznej. Przydziały socjalne utworzone zostały dla weteranów pracy i tych, którzy nie z własnej winy pozostają czasowo bez zajęcia.

Żółte punkty kredytowe uzyskiwane za pracę mają pełne pokrycie w masie towarowej, chociaż mogą się zdarzyć pewne niedobory asortymentowe w przypadku niebieskich punktów kredytowych.

Przy okazji przypominamy, że prywatny obrót walutami zagranicznymi, które popularnie nazywa się „twardymi”, jest nielegalny i karany przez prawo.

Notatka „Redakcja wyjaśnia”, zamieszczona w dzienniku „Nasz Głos”, nr 104/10843 z dnia 16 kwietnia 2044 roku

— Nie mamy wolnych pokoi. — Recepcjonista bezradnie rozłożył ręce. — Sam rozumiesz, staruszk, zawody. Wszystko zajęte. Następny, proszę!

— Chwileczkę! — Nordmann pochylił się do okrągłego otworu w szybie okienka. Chyba specjalnie wycinają te otwory tak nisko, aby człowiek musiał się schylać — pomyślał ze złością, ale zaraz opanował się. Myśl o powrocie do domu przerażała go. Nie mógł znieść obawy, że mogliby go wyciągnąć z łóżka, zaspanego, bezbronno... Cofnięcie przepustki to nie był żart ani nieporozumienie. Nie zamierzał się ukrywać, nie. To byłaby dziecinada. Chciał tylko spokojnie zastanowić się nad swoją sytuacją i dlatego postanowił spędzić tę noc w hotelu. — Chwileczkę! Czy nie dałoby się jednak... — Starał się nadać swojemu głosowi przytulne brzmienie. — Umiem się odwdziżyć. — Sięgnął po portfel.

— Powiedziałem już, że nic nie ma! — recepcjonista wzniosł oczy do góry, jakby tam szukał świadka tępoty Nordmanna. — Nie ma i koniec!

— To już trzeci hotel, w którym próbuję — skłamał i zaczęła go ogarniać złość. — Nie zostawi mnie pan przecież na ulicy! Co za porządki u was panują!

— Pan nie z wyspy? — zainteresował się nagle recepcjonista. — Znaczy, pan zagranicznik?

Nordmann nie wyjaśnił pomyłki, wyprostował się tylko i przybrał dumny wyraz twarzy. Tymczasem recepcjonista ciągnął dalej, biorąc jego milczenie za potwierdzenie:

— Mówisz pan tak dobrze po naszymu, że nie poznałem się, żeś pan zza morza. Rozumiesz pan, my naród gościnny, co nie? Jak się pan odwdzięczysz, to i ja się odwdzięczę — zaśmiał się rubasznie. — Zbliź się pan tu. — Kiwnął palcem, a Nordmann ponownie pochylił się do otworu. — Ile?

— Co ile? — zapytał zdezorientowany Nordmann.

— Jak to co? Twardych.

— Twardych? Zaraz... Ach, tak, twardych.. — Uśmiechnął się z przymusem. — Oczywiście, twardych. No... Tyle ile potrzeba. A ile trzeba? — zapytał ostrożnie.

— Na ile dni?

— Na jedną noc. Ja tylko tak... na jedną noc.

— Pięć — rzekł twardo recepcjonista i dodał głośniejszym głosem: — Plus cena pokoju, może być w złotych.

— Dobrze. — Nordmann odetchnął z ulgą. Na szczęście miał przy sobie trochę obcej waluty, którą nosił ot tak, na wszelki wypadek. Dzisiaj właśnie ten wypadek nastąpił.

— Za pokój płatne zaraz, a po twarde przyjdę, jak się przewali ta hałastra. Paszport.

— Paszport? No tak, paszport. Oczywiście... — Nordmann poczuł, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Bezsensownie zaczął szukać po kieszeniach kombinezonu. Ogarnęło go zniechęcenie. To wszystko na nic — pomyślał. — Lepiej od razu oddać się w ich ręce i mieć to już za sobą. Nie ma co tego przeciągać. I wtedy błysnęła mu zbawcza myśl. Nachylił się ponownie do otworu i szepnął konfidentycznie:

— A nie mole być bez paszportu? — i mrugnął porozumiewawczo.

— Bez paszportu? — recepcjonista zawahał się i zaczął uważnie lustrować pisarza.

— A jakżeś, pan, przez granicę przeszedł? Coś mi tu śmierdzi.

Kolejka zaczynała się niecierpliwić, ale recepcjonista zgromił ją niecierpliwym gestem. Sarkania ucichły.

— Bez paszportu... — zastanawiał się.

— Ile? — zapytał Nordmann.

— Piętnaście.

— Twardych?

— Przecież nie żółtych! — obruszył się recepcjonista.

— Piętnaście twardych! — pisarza aż zatkało. — Przecież to...

— Wiem. Piętnaście i kluczyczek albo jazda stąd! — recepcjonista zaczął się niecierpliwić. — Nie utrudniaj pan pracy!

Nordmann mógł sięgnąć po swoją kartę członka Wysokiej Rady Ekspertów Apostezjonu. Była jeszcze ważna. Pokój znalazłby się natychmiast, ale zaraz też miejsce jego pobytu stałoby się znane. A tego właśnie chciał uniknąć, przynajmniej na tę jedną noc. Toteż rzekł zrezygnowany:

— Dobrze. Niech będzie piętnaście.

— Pokój płatny z góry — zastrzegł się recepcjonista. — W razie czego — końce w wodę. Nie znam pana. Pokój dałem jakiemś naszemu łachudrze, a co on z kluczem zrobił, to już jego sprawa. Jasne?

— Jasne.

— Przyjdę do pana za jakąś godzinę. Może przynieść coś do picia? Znaczą się coś ekstra, czego nie znajdziesz pan w dystrybutorze? A może jakąś milutką dziewczynkę? Nie? Tym lepiej.

Reszta formalności została załatwiona błyskawicznie. Nordmann wpisał fikcyjne nazwisko do formularza meldunkowego i po chwili jechał windą na pierwsze piętro, trzymając w ręku klucz od pokoju.

Pokój był schludny, łazienka czysta, a telewizor działał. Nordmann zamknął za sobą starannie drzwi, rzucił klucz na stolik i podszedł do dystrybutora. Dystrybutor też działał. Nalał sobie koktajl numer osiemnaście.

Wyszedł na balkon, popijając małymi łyżkami. Napój uspokajał go i stopniowo przywracał myślom jasność. Okna pokoju wychodziły na małą zaciszną uliczkę. Wrócił do pokoju i usiadł w fotelu, który z trudem przystosował się do jego pozycji.

Zastanówmy się — pomyślał — co się właściwie stało. Cofnięto mi stałą przepustkę do pałacu, a przedtem przyszedł do mnie Wintage. Zapewne, żeby powęszyć. Pierwsze kroki skierował do słowaka. Ale przecież słowak był wyłączony. To mógł być przypadek. A jeśli nie? Wintage o tej porze nigdy nie przychodził, a zresztą zawsze uprzedzał o wizycie. Może po prostu wstąpił po drodze?

Dopił resztę koktajlu i zaczął się rozbierać.

Prysznic dobrze mi robi — pomyślał. — Jestem brudny, spocony i przestraszony. Tak, przestraszony i nawet nie wiem, czego się boję. To przecież idiotyzm! — skarcił się w duchu.

Gdy już był pod prysznicem, usłyszał brzęczyk wideofonu. Zakręcił szybko wodę, zarzucił na siebie ręcznik i podbiegł do aparatu. Po drugiej stronie nie było jednak nikogo; połączenie zostało przerwane. Połączył się z recepcją i zapytał, czy ktoś dzwonił. Usłyszał znajomy głos recepcjonisty, a po sekundzie ujrzał również jego twarz na mo-

nitorze. Obraz skakał — widocznie gdzieś na złączach było lekkie zwarcie. Z rozmowy przerywanej trzaskami zrozumiał tylko tyle, że mogło to być połączenie z miasta, ale mogła to być też pomyłka, bo centrale są przeciążone, i że recepcjonista za chwilę do niego zajrzy.

Poszedł do łazienki, spłukał resztki mydła i wytarł się do sucha. Miał ochotę zmienić ubranie, ale wyszedł z domu bez bagażu. Nie pomyślał też, wchodząc na górę, by kupić w automacie kombinezon jednorazowego użytku. Przywdział więc stare ubranie i czekał.

Wkrótce rozległo się dyskretne pukanie. Nim Nordmann zdążył się odezwać, do pokoju wszedł recepcjonista, niosąc w ręku jakąś butelkę.

— No i jak? — zagadnął. — Podoba się pokoik?

— Tak, tak... — odparł z roztargnieniem Nordmann. Wyjął pieniądze i podając je recepcjoniście powiedział: — Tutaj jest umówiona kwota. W wideofonie jest chyba jakieś zwarcie, bo ledwie co słyszeć i widać. Czy mógłby pan się tym zająć? Mam w planie kilka rozmów.

— Rozmowy miejscowe? — upewnił się recepcjonista, chowając uprawnym ruchem zwitek banknotów.

— Tak, wyłącznie miejscowe.

— Zobaczę — rzekł bez przekonania. — Może da się coś zrobić. A to — powiedział stawiając butelkę na stole — prezent od firmy.

— Co to?

— Piwo. Importowane — dodał z naciskiem. — Pomyślałem sobie, że piętnaście twardych piechotą dziś nie chodzi i coś się panu też należy, co nie? Mam tego więcej na składzie. Ćwierć twardego butelka. No, to nie przeszkadzam. Umowa stoi, jakby co, morda w kubel i ja nic nie wiem — mrugnął porozumiewawczo. — Wiesz pan, one są bardzo nerwowe przed tymi zawodami. Istne urwanie głowy. A ciekawe takie... No, ale kulturalne ludzie zawsze się dogadają, co nie?

Pisarz milczał, więc recepcjonista jeszcze raz powiedział:

— Na mnie czas. Nie przeszkadzam. A rozmowy tylko miejscowe — przypomniał surowo. — Dobranoc.

— Dobranoc.

Nordmann odczekał jeszcze chwilę, po czym zszedł na dół i kupił w dystrybutorze nowe ubranie. Z karty kredytowej ubyło mu piętnaście złotych punktów, ale to był drobniaczek. Wrócił do pokoju, wypłukał szklanekę po koktajlu i nalał do niej piwa; pieniło się obficie.

Działanie koktajlu ustępowało i znów pojawiło się to nieznośne wewnętrzne napięcie. Dlaczego cofnięto tę przepustkę? Nie zdarzyło się to nigdy. Gdyby nie Wintage i jego aluzje, być może nawet nie dowiedziałby się, że jego przepustka jest już nieważ-

na, że nie ma wstępu tam, gdzie mógł wejść o każdej porze dnia i nocy. Koledzy z rady, a właściwie — mógł to powiedzieć bez fałszywej skromności — przyjaciele, stracili nagle do niego zaufanie. Dlaczego? Czym zawinił? Co takiego zrobił, że odwrócono się do niego plecami? Był zawsze wzorem lojalności? Pisał to, co mogłoby pomnożyć potęgę Apostezjonu i dać ludziom zdrową rozrywkę nie pozbawioną elementów wychowawczych. Nie zdradził żadnej tajemnicy. Więc co?

Pozostawało jedno wyjaśnienie, ale za to najgorsze z możliwych: ktoś złamał szyfr i zapoznał się z drugą pamięcią słowaka.

Poczuł, że ogarnia go fala gorąca. Sięgnął po szklankę piwa i wypił spory haust. Było gorzkawe, ale dobre w smaku.

Jeśli oni znają zawartość drugiej pamięci słowaka, to jestem skończony. Koniec mojej kariery, koniec wszystkiego... — pomyślał. — Mogą mi nawet wytoczyć proces o zdradę i wysłać do Ośrodka Resocjalizacyjnego. Nie zniósłbym takiego upokorzenia. Już chyba śmierć byłaby lepsza. I nie można by się im dziwić. Gdyby taki Wintage albo nawet sam Nemeček prowadzili jakieś kompromitujące zapiski i gdyby wyszły one na jaw, to sam głosowałbym za usunięciem ich z rady. Wysoka Rada jest nie tylko dla najlepszych obywateli Apostezjonu, ale przede wszystkim dla tych, których lojalność jest nieposzlakowana i którym można bez reszty ufać. — Ogarnęła go złość na siebie, na swoją głupotę i brak przezorności. Taki Wintage był za sprytny, aby utrwalać jakieś swoje rozmyślenia. Jeśli w ogóle miałby co utrwalać.

Usiłował sobie przypomnieć, co w drugiej pamięci słowaka mogło być szczególnie kompromitujące, ale nie mógł zebrać rozbieganych myśli. Odstawił piwo i wziął z dystrybutora uspokajający koktajl numer siedemnaście.

Sączył powoli musujący płyn, ale odprężenie nie nadchodziło. Włączył telewizor. Trafił na jakiś program rozrywkowy: czarnoskóry facet kończył właśnie rozbieranie bladolicy blondynki, a w tle grupa roznegliżowanych chłopców zajęta była wykonywaniem ewolucji tanecznych do wtóru modnego w tym roku rytmu salto. Zaczął przerzucać kanały, ale wszędzie szły programy rozrywkowe; zawodowe i amatorskie. Włączył więc ostatni, dziesiąty kanał, na którym nadawano telegazetę. Lustrował nieuważnie doniesienia z frontu produkcyjnego, komentarze polityczne, aż wreszcie trafił na wiadomości. Wieści zza morza donosiły o licznych zamachach terrorystycznych, mordach politycznych, awariach i katastrofach. Nie zabrakło też wiadomości o pogłębiającym się kryzysie gospodarczym świata otaczającego Apostezjon. Słowem — nic nowego. Również wiadomości krajowe nie zawierały żadnej sensacji: rytmiczna produkcja, w tym produkcja nowości, które wkrótce zostaną wprowadzone do powszechnej sieci dystrybutorów, informacji o ekwiwalentach wymiany przydziałów, o zlikwidowaniu kilku melin nielegalnej produkcji żywności, wywiad z byłym temporystą, który pomyślnie przeszedł proces resocjalizacji, a także wzmianka o awarii w jakimś zakładzie chemicznym i o usuwaniu jej skutków. W dziale recenzji była pochlebną notką Wintage'a o ostatniej noweli Nordmanna.

Odetchnął z ulgą, jakby spodziewał się jakichś niekorzystnych wiadomości na własny temat. Zaraz też skarcił się w duchu za ten naiwny odruch. Jeśli włamali się do pamięci słowaka, to przecież nie po to, by jej zawartość upowszechnić w telegazecie. Dopił resztę koktajlu i zaczął nerwowo przechadzać się po pokoju. Miotają nim sprzeczne uczucia: nadzieja i depresja. Jednak powoli nadzieja zaczęła dochodzić do głosu. Jeśli nie zdjęli tej pochlebnej notki Wintage'a, to może nic się nie stało? Może cofnięto mu przepustkę przez pomyłkę? Może ten funkcjonariusz w pałacu był nowy i przez niedopatrzanie nie uznał mojej przepustki? Może nikt nie włamał się do słowaka? Może to wszystko jest tylko igraszką mojej wyobraźni? A może to tylko działanie koktajlu przynosi takie pełne otuchy przypuszczenia? — poczuł nagłe ukłucie niepokoju. Miał ochotę pojechać do siebie do domu i sprawdzić wszystko na miejscu, ale przezorność nabyta w ciągu tych wielu lat mozolnej wspinaczki po szczeblach kariery powstrzymywała go.

Podszedł do wideofonu i połączył się ze swoim domem. Z migającego obrazu wyłowił sygnał, że połączenie jest zajęte. Zajęte? Przecież nie ma mnie w domu — poczuł nowy przypływ paniki, ale opanował się zaraz. — Mogło być zajęte, bo ktoś usiłował połączyć się ze mną.

Odczekał chwilę i jeszcze raz usiłował połączyć się ze swoim domem. Tym razem trzaski głośnika i migotanie monitora trwało nieco dłużej. Po kilku sekundach jednak pojawił się jakiś skaczący obraz: była to niewątpliwie twarz mężczyzny, a z głośnika — poprzez zakłócenia — odezwał się opryskliwy głos:

— Słucham.

Wyłączył natychmiast wideofon. Są! Są już u mnie! — ta myśl łomotała mu pod czaszką. — Czy mam jeszcze jakieś szanse? Nie. To koniec. Koniec wszystkiego. Oczyma wyobraźni widział siebie w Sekcji Przesłuchań (oglądał kiedyś materiały z przesłuchań) i wstrząsnął nim dreszcz zgrozy. Zobaczył też siebie jako potencjalnego pacjenta profesora Martena. Tego samego Martena, który nie zawahał się poddać pierwszej, jeszcze eksperymentalnej operacji modelowania osobowości swego kolegi z Wysokiej Rady, gdy okazało się, że ten ostatni znalazł się na pograniczu zdrady. Nie mógł też być skierowany do ośrodka profesora Nemezcza, który programowo nie stosował metod operacyjnych. Wyjściem z Wysokiej Rady była albo śmierć, albo przejście przez salę operacyjną profesora Martena. Nordmann znał to wszystko z opowieści starszych ekspertów, a także z niektórych tajnych materiałów, które udostępniono członkom Wysokiej Rady. Wiedział tyle, że nie łudził się co do swego dalszego losu.

Wyszedł na balkon. Cicha uliczka tonęła w ciemności; jedynie gdzieś tam paląca się latarnia wyrywała z mroku stożek światła. Żadnej okoliczności łagodzącej — pomyślał. — Żadnej... Miał ochotę przełożyć nogi przez poręcz i skończyć z tym wszystkim raz na zawsze. Gdy spojrział w dół, uświadomił sobie jednak, że jest zbyt nisko. Krok taki mógłby zakończyć się kalectwem.

Cofnął się do pokoju. Odkąd serio pomyślał o samobójstwie, panika go opuściła. Wracała jasność myśli i spokój. Miał w zapasie wyjście, z którego będzie mógł skorzystać, gdy wszystkie inne zawiodą. Znowu odzyskał samokontrolę.

Rzucił się na fotel. Czy naprawdę nic już nie można zrobić? Jeśli nie ma okoliczności łagodzących, to można je przecież stworzyć. Oni nie wiedzą, że ja wiem. Nie wiedzą, że domyśliłem się sensu tego, co wokół mnie narasta. Mogę jeszcze uprzedzić uderzenie. Tak, to mogę zrobić. Ciągłe nie jest za późno. Nie będę pacjentem Martena.

Wstał i zdecydowanymi krokami podszedł do wideofonu. Wystukał na klawiszach trzycyfrowy numer. Połączenie uzyskał natychmiast i bez żadnych zakłóceń. Na monitorze pojawiła się twarz przystojnej adiutantki. Rozpoznała go od razu, ale nie uśmiechnęła się, jak to miała w zwyczaju. Przeciwnie — usta miała ściągnięte, a na twarzy malował się wyraz smutku, a może zaniepokojenia.

— Przepraszam za tak późną porę... — Odchrząknął, aby nadać głosowi czyste brzmienie. — Proszę mnie połączyć z Generałem. Mam niezwykle pilną sprawę.

— Pan wybaczy, ale nie mogę pana połączyć.

— Dlaczego? To naprawdę bardzo pilne. — Starał się mówić możliwie oficjalnie. — Jako członek Wysokiej Rady mogę kontaktować się z Generałem o każdej porze dnia i nocy. Nawet wówczas, gdy Generał śpi. Czyżby pani zapomniała o tym?

— Nie zapomniałam. — Wyraz jej twarzy nie uległ zmianie. — Ale nie mogę pana połączyć, panie Nordmann.

— Dlaczego?

— Nie zostałam upoważniona do udzielania żadnych informacji. Niech mnie pan zrozumie. — Ujrzał w jej oczach jakby współczucie, a może tylko mu się tak zdawało...

— Kto teraz zastępuje Generała?

— Pułkownik Vittolini. Połączyć?

— Tak.

Obraz adiutantki zniknął i przez kilka sekund na monitorze widniała plansza wywoływania numeru. W chwilę potem pojawiła się zaspana twarz Vittoliniego.

— To pan, panie Nordmann? Cóż mi pan ma do powiedzenia o tej porze? — zapytał szorstko.

— Pułkowniku — zaczął uroczyście. — Chcę złożyć zeznanie o przestępstwie dublichstwa.

— Nie można tego odłożyć do jutra?

— Nie. Jest to sprawa niecierpiąca zwłoki. Zeznanie muszę złożyć natychmiast. Niech pan będzie łaskaw włączyć urządzenie rejestrujące.

— Włączyłem.

— Jest godzina pierwsza trzydzieści dwie w nocy z dwudziestego drugiego na dwudziesty trzeci kwietnia. Zeznanie składa Wiktor Nordmann, rzeczywisty członek Wysokiej Rady Ekspertów na ręce pułkownika — Vittoliniego, służbowego zastępcy Generała. Zeznanie składam dobrowolnie, kierowany jedynie troską o bezpieczeństwo Apostezjonu. Niniejszym ujawniam, powodowany jedynie własnym sumieniem, przestępstwo polegające na prowadzeniu przed władzami działalności literackiej kłócącej się z powszechnie przyjętymi normami współżycia społecznego. Dzięki mojemu zeznaniu działalność ta, wyczerpująca znamiona dublerstwa, nie będzie miała żadnych szkodliwych następstw, może bowiem zostać natychmiast przerwana, a jej owoce należy unicestwić.

— Chwileczkę! — przerwał mu Vittolini już zupełnie rozbudzony. — Kto jest tym dublerem?

— Ja sam.

XI

Kto pokątnie produkuje żywność, podlega karze nie niższej niż dwa lata odosobnienia. W warunkach recydywy skierowany zostaje do ośrodka resocjalizacyjnego.

§23 ust. 1 Kodeksu Karnego Apostezjonu

Zagłębili się w park. Szli niespiesznie, bo dobrze im było razem. Daniel objął Candy. Hałasy miasta ledwie docierały tutaj przez korony starych drzew i labirynty żywopłotów. Candy przystanęła.

— Popatrz, jeszcze widać gwiazdy. — Spojrzała w górę. — Zobacz — szepnęła. — Jedna z gwiazd ruszyła i mknie przez otchłań. Czyja to gwiazda?

— To nie gwiazda, tylko jeden z satelitów komunikacyjnych — mruknął. Było mu dobrze i sam chętnie uwierzyłby, że to gwiazda, ale gdzieś w zakamarkach jego mózgu czaił się niepokój. Nic mógł pozbyć się wrażenia, że nie są sami. Zupełnie tak, jakby astronom zszedł ze swojego postumentu i postanowił nie spuszczać z nich oka, Przyciągnął Candy do siebie i mimowolnie nasłuchiwał. Do uszu jego nie dotarł najlżejszy szmer. Powietrze było nieruchome, jak zwykle przed nocnym zachmurzeniem.

— Wiem przecież, że to satelita — rzekła Candy półgłosem. — Traktujesz mnie jak idiotkę.

— Masz rację, Candy. To gwiazda. Twoja gwiazda. — Pocałował ją i wsunął ręce pod jej kombinezon. Wkrótce poczuł jej ręce wędrujące pod kombinezonem po jego nagiej skórze. Zsunął z niej odzienie, a ona po chwili zrobiła to samo z jego kombinezonem. Stali teraz nadzy w bladej poświacie nieboskłonu. Czuł przez jej chłodną skórę przyspieszone bicie serca. Musnął wargami jej szyję, ramiona, a potem niżej, coraz niżej, aż wreszcie osunął się na trawę. Ułożyła się obok niego i przywarła doń ciasno. Gdyby ktoś teraz chciał mnie załatwić, byłbym bez szans — przemknęło mu przez głowę. Fala pożądania gwałtownie opadła, a na jej miejscu pojawiło się czujne nasłuchiwanie. Próbował odblokować się, ale na próżno.

— Nic z tego, Candy — szepnął upokorzony. — Blokada.

— Ciii... — położyła mu palec na ustach.

Ubierali się w milczeniu. Potem objął ją i ruszyli dalej. Candy położyła mu głowę na ramieniu i szepnęła niepewnie:

— Może było za zimno?

Nic nie powiedział, tylko przytulił ją mocniej. Nie mógł przecież wyjaśnić, iż miał wrażenie, że astronom siedzi w krzakach i nie spuszcza z nich oka.

Szli przez chwilę w milczeniu, a potem Candy znów się odezwała:

— Ostrzegłam cię, że nie jestem dobra technicznie. Pamiętasz?

— Przestań! — przerwał jej szorstko. — To moja wina.

— Zawodówki są na pewno lepsze. Jak one to robią?

— Nic nie mów, Candy. Nic nie mów. Tak będzie lepiej.

— Późno już. Chyba wrócę do siebie. Po tym, co zrobiłeś przed barem, mogą się niepokoić o mnie.

— Kto może się niepokoić?

— Mieszkam z chłopakiem. Mamy zgodność matryc genetycznych i dostaliśmy licencję na dziecko. To dobry człowiek, ale zupełnie inny niż ty... — dodała w zamyśleniu.

— Kochasz go?

— Nie wiem, chyba nie... A zresztą, co za różnica? Przecież chodzi tylko o dziecko.

— Nie wiesz, czy go kochasz?

— A ty kochałeś już kogoś?

— No tak — poddał się. — To trudno powiedzieć. Jeśli miłość to szaleństwo, to chyba nikogo. — Zastanawiał się przez chwilę i dodał ze zdecydowaniem: — Nie, nikogo nie kochałem. Dla żadnej kobiety nie byłbym w stanie zrobić głupstwa, nie byłbym w stanie zachowywać się jak...

Candy przystanąła i oparła się o słup wygaszonej latarni. Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowana, a potem szepnęła:

— To znaczy, że dla mnie też nie byłbyś w stanie popełnić żadnego głupstwa?

— Dla ciebie? — zapytał zaskoczony i zaraz dodał: — Ty to co innego. Dla ciebie gotów byłbym wejść choćby na tę latarnię.

— To wejdź. — Odsunęła się od słupa.

— Proszę bardzo — rzucił nonszalancko i z kocią zwinnością wspiął się na sam szczyt.

— Dobranoc, Trzeci! — Pomachała mu ręką, choć nie mógł tego widzieć. — Śpij dobrze. Może się jeszcze kiedyś zobaczymy. — Puściła się biegiem w stronę majaczącej za drzewami ulicy.

— Candy! Poczekaaj! — Zeskoczył ze słupa i puścił się w pogoń. Dogonił ją bez trudu. Gdy się zrównali, przestała biec. Przez chwilę szedł obok niej w milczeniu, a potem zapytał cicho:

— Dlaczego chciałaś uciec?

— Boję się.

— Czego?

— To zaszło już za daleko. Daniel. Gdybyś nie wszedł na latarnię, tylko mnie wyśmiał, wszystko wróciłoby do normy.

— Nie chciałaś, żebym wszedł?

— Chciałam, głuptasie. Bardzo chciałam i tego właśnie się boję. Wiesz... Jestem z tym chłopakiem blisko miesiąc. Będę miała z nim dziecko. Może już je noszę w sobie.

— Jesteś bez osłony antykoncepcyjnej? — zdumiał się. — Byliśmy o krok od przestępstwa! Przecież... Gdyby nam się udało... Gdyby mnie się udało — poprawił się — skąd mogłabyś mieć pewność, że to nie ja...

— Czy to jest aż tak ważne, Trzeci — powiedziała wolno. — A zresztą, skąd wiesz, czy nie chciałabym mieć dziecka właśnie z tobą? — Spojrzała mu w oczy uważnie.

Daniel zmieszał się, ujął ją za rękę i powiedział:

— Candy, przecież to szaleństwo.

— No właśnie — zgodziła się rzeczowo. — Tego się boję. Jak wszystkiego, co jest nieznanne.

Wyszli z parku i stanęli na chodniku. Candy rozejrzała się niecierpliwie. W zasięgu wzroku nie było żadnego ekwipartu.

— To beznadziejne, żeby o tej porze ktoś tutaj wysiadł — powiedział Daniel.

— Podejdźmy bliżej centrum. Tam na pewno coś znajdzie. Odprowadzisz mnie?

— To już drugie głupstwo, które dzisiaj popełniam — zastrzegł się i podążył w ślad za nią.

Minęli dwie puste przecznice i dopiero przy trzeciej znaleźli pusty ekwipart.

— Może zepsuty? — zażartował Daniel. Candy wsiadła do pojazdu. Ręka zawisała nad klawiaturą programatora trasy. Ekwipart był sprawny i gotów do drogi.

Candy zawahała się. Spojrzała na Daniela, który stał nieruchomo na chodniku i powiedziała:

— Chyba nie będziesz tak stał? Gdzie cię podwieźć?

— Jedź, bo gotów jestem zrobić trzecie głupstwo — odburknął i odwrócił się.

— Nie wygłupiaj się! — skarciła go. — Wsiadaj! Wskoczył do pojazdu i zatrzaskał za sobą drzwi.

— Jedziemy — rzekł wesoło.

— Gdzie?

— Do mnie. Do hotelu.

— Ale...

— Teraz już cię nie puszcę — przerwał jej. — To jest właśnie to trzecie głupstwo.

Szybko zaprogramował trasę i pojazd ruszył. W milczeniu przemierzali wyludnione ulice. Było już dobrze po północy. Gdy mijali zwałiste gmaszysko. Daniel wyjrzał przez okno i powiedział:

— A jednak siedzi na swoim postumencie.

— Kto?

— Astronom. Patrz, właśnie mijamy ten pomnik.

Candy spojrzała na postument bez zainteresowania, ziewnęła i zapytała:

— Dlaczego miałyby nie siedzieć na swoim miejscu?

— Nie pamiętasz? — uśmiechnął się. — Przecież gdy go mijaliśmy, to spojrzał na nas, a potem długo odprowadzał nas wzrokiem. Jestem pewien, że gdy tylko zniknęliśmy za rogiem ulicy, zwał się ze swojego postumentu i poszedł za nami. Myślał, że ja tego nie zauważę.

— Wariat! — prychnęła i też się roześmiała. — Myślisz, że recepcjonista mnie wpuści?

— Wpuści. Na pewno.

— O tej porze? Jestem pewna, że cały hotel już śpi. Łącznie z recepcjonistą.

— Teraz, przed zawodami, ludzie późno chodzą spać.

Gdy dojechali do hotelu, okazało się, że jednak Candy miała rację. Wszyscy spali, łącznie z recepcjonistą. Otwierał im drzwi osobiście, choć mógłby to zrobić automat. Był demonstracyjnie rozespany i żuł jakieś przekleństwo. Daniel wcisnął mu coś do ręki, recepcjonista zaś obrzucił Candy niewidzącym spojrzeniem i wpuścił ich do środka.

Wjechali windą na pierwsze piętro i weszli do przestronnego pokoju umeblowanego powściągliwie, ale wygodnie.

— Rozgość się i przygotuj nam coś do picia — rzucił podchodząc do okna.

— Chyba najpierw wezmę prysznic. Mam nadzieję, że masz tutaj takie urządzenie.

— Tak. Łazienka jest za tymi drzwiami z przedpokoju. — Pokazał jej drogę i wyszedł na balkon. Okna wychodziły na cichą, zupełnie o tej porze uśpioną uliczkę. Daniel zlustrował ją uważnie, wychylił się i omiół wzrokiem parter budynku. Nie zauważył nic podejrzanego. Jedyne w sąsiednim pokoju paliło się jeszcze światło.

Wrócił do środka i włączył aparaturę stereo. Przez chwilę szukał jakiejś spokojnej muzyki. Znalazł ją wreszcie i spojrzał na zegarek: do godziny drugiej brakowało kwadransa.

— Wygląda na to, że po raz pierwszy zawiódł mnie instynkt — uświadomił sobie nagle. — Czyżbym się starzał? — Podszedł do dystrybutora i wahał się przez chwilę.

— Co pijesz?! — krzyknął.

— To, co ty — odpowiedziała mu Candy. Po chwili plusk wody ustał.

Wybrał dwa koktajle numer dwadzieścia cztery. Przecież czułem, wyraźnie czułem, że w pobliżu czai się niebezpieczeństwo. Gdybym był sam, mógłbym to z łatwością sprawdzić. Może ten włóczęga powlókł się za nami z nadzieją na jakiś łatwy łup? — myślał patrząc, jak złotawy płyn leje się do szklanek.

Candy wyszła z łazienki owinięta w ręcznik.

— Nie wzięłam zapasowego kombinezonu. Ten zużyty jest zbyt brudny, by go włożyć.

— Mam w szafie kilka kompletów, ale obawiam się, że będą trochę za duże.

— Daj mi jeden. Chyba nie myślisz, że pójdę do dystrybutora w tym ręczniku?

— Weźmiesz sobie rano.

— Daj mi teraz — upierała się. — Lubię wiedzieć, gdzie jest moje ubranie.

— Weź sobie — rzekł zdejmując kombinezon. — Ja tymczasem wezmę prysznic.

Candy otworzyła szafę, a on sklarował się do łazienki. Gdy wyszedł, leżała już w łóżku i popijała koktajl.

— Mam nadzieję, że tym razem nie będzie ci za zimno — powiedziała z przekorą i zrobiła mu miejsce. Bez słowa położył się obok niej, wyjął jej z ręki szklankę, odstawił i zaczął ją całować.

Blokada minęła.

Mieli przed sobą dużo czasu, więc Daniel nie spieszył się. Gładził ją po całym ciele, a ona, przymknawszy powieki, oddawała mu pieśczoły.

— Wiesz — odezwała się nagle nie otwierając oczu. — Czasami myślę, czy ci biedni temporyści przynajmniej w jednym nie mają racji. Słyszałam, że u nich pary pozostają w trwałych związkach i same wychowują dzieci. Czy uważasz, że to głupie i anachroniczne? — spojrzała na niego.

— Nie wiem. Nie zastanawiałem się nad tym. Czyżbyś też miała ochotę na jakiś trwalszy związek?

— Och, przestań! Zapomnij o tym! Zapomnijmy o wszystkim! — Przyciągnęła go do siebie. Daniel jednak znieruchomiał.

— Cicho! — szepnął.

— Co się stało?

Położył jej palec na ustach i wysliznął się z łóżka. Tym razem nie było to urojenie; ktoś zbliżał się do drzwi ich pokoju. Daniel szybko włożył na siebie przygotowany przez Candy kombinezon, rzucił jej ręcznik i przywołał ją gestem do siebie. Gdy podeszła, szepnął jej do ucha:

— Idź do łazienki, włóż szybko kombinezon i stań za otwartymi drzwiami. Tam jest ściana nośna i nic nie powinno ci się stać.

— Ale...

— Szybko — ponaglił ją głosem nie znoszącym sprzeciwu. W tym momencie rozległo się pukanie; najpierw ostrożne, jakby nieśmiałe, a potem coraz bardziej natarczywe.

Candy zniknęła w łazience, Daniel zaś podszedł miękko do drzwi. Nasłuchiwał przez chwilę, po czym przykucnął i otworzył drzwi na całą szerokość. Błyskawicznie zlustro-

wał sytuację i, niczym zwolniona sprężyna, wystrzelił na korytarz. Już stał za plecami przybysza, gdy ten dopiero zorientował się, że drzwi do pokoju są otwarte i ktoś za nim stoi. Daniel wepchnął go do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

— Możesz wyjść, Candy — rzucił w kierunku łazienki. — Już po strachu. Potem zwrócił się do przybysza i zapytał: — O co chodzi, staruszkę? O tabletki nasenne?

Przybyły dopiero teraz odzyskał mowę:

— Przepraszam za najście o tak niestosownej porze, ale tylko od was dochodziła muzyka, więc...

— O co chodzi? — przerwał mu Daniel.

— Oni mnie zabiją! — wybuchnął przybysz. — A ja chciałem dobrze. Wszystko im powiedziałem. Nawet podałem im numer kodu otwierający pamięć słowaka.

— Kto pana chce zabić? — zapytała przestraszona Candy.

— Kim pan jest? — dodał Daniel.

— Wiktor Nordmann, pisarz.

— Ten Nordmann? — nie ustępował Daniel.

— Ten, ten... — potwierdził Nordmann niecierpliwie. — Pomóżcie mi, błagam was! Oni mnie zabiją... Umówiłem się z pułkownikiem Vittolinim na wizję lokalną w moim mieszkaniu. Miałem tam jechać, gdy okazało się, że on przysłał już swoich ludzi. Kręcą się wokół hotelu, a teraz montują jakieś urządzenie wycelowane w okna mojego pokoju. Przecież tak nie można! Ja bym wszystko wytłumaczył...

— Chwileczkę! — przerwał mu Daniel i podbiegł do okna. Ostrożnie uchylił zasłonę i rzekł z lodowatym spokojem: — To jest działo uderowe wycelowane w nasze okna — rzucił się w stronę drzwi, pociągając za sobą Candy i Nordmanna. — Szybko na dół! Do piwnicy!

Zbiegli na dół po schodach. Na parterze musieli przebiec obok recepcji.

— Gdzie wy?! — wrzasnął recepcjonista. — Tam przejście tylko dla personelu! — Wstał z fotela, aby zagrozić im drogę, ale Daniel złapał go za twarz, i wepchnął z powrotem w fotel, który natychmiast przystosował się do skurczonej pozycji recepcjonisty. Gdy otwierali drzwi do pomieszczeń piwnicznych, budynkiem wstrząsnęło bezgłośnie uderzenie.

XII

Wystarczy uzmysłwić sobie nieskończoność wszechświata, aby dojść do nieodpartego wniosku o względności naszych codziennych kryteriów odróżniania tego, co słuszne, i tego, co błędne. Gdyby Apostezjon upadł (jest to, rzecz jasna, założenie teoretyczne), to wszystkie moje książki byłyby fałszywe. To co teraz jest prawdą, stałoby się kłamstwem, mimo wolne błędy zaś byłyby prawdą. Cały mój dorobek zmieniłby znak: plus na minus, i minus na plus. Ponieważ jednak mam słowaka, nie wiem, czy w tej teoretycznej sytuacji znalazłby się choć jeden plus. Wszystkie moje książki okazałyby się śmieciem. Ciekawe, czy te zapiski wytrzymałyby taką próbę?

z „Dziennika prywatnego Wiktora Nordmanna”, materiał nie publikowany. Archiwum Główne Służb Specjalnych, sygnatura AG/1786/29

Profesor Nemeček zjawił się w swoim ośrodku godzinę przed przybyciem zaproszonych gości. Chciał bowiem osobiście sprawdzić, czy wszystkie jego polecenia zostały należycie wykonane. Ośrodek resocjalizacyjny, prowadzony przez niego od lat, był malowniczo położony; schludne zabudowania rozrzucone były na kilku niewielkich wzgórzach. Bujna roślinność, w tym gaj młodych eukaliptusów sprowadzonych specjalnie z rezerwatu, a także pasące się tu i ówdzie oswojone sarny i jelenie, sprawiały przytulne wrażenie. Można by pomyśleć, że jest to teren wyjątkowo zadbanej państwowej farmy rolniczo-leśnej, gdyby nie wysoki mur, okalający cały rozległy teren. Mur ten jednak nie był widoczny z daleka, skrywał go bowiem starodrzew pieczołowicie zachowany przez budowniczych.

Śniadanie miało rozpocząć się około godziny dziewiątej. Wydarzenia ostatnich dni, a zwłaszcza dwa tajemnicze zgony wśród najwyższych dostojników Apostezjonu i wiążąca się z nimi śmiała hipoteza Statystyka, wymagały starannego namysłu i wspólnego zastanowienia się nad sytuacją. Nemeček wiedział z własnego doświadczenia, że takie ciche, kameralne spotkania w zaprzyjaźnionym gronie ekspertów najlepiej organizować na neutralnym gruncie. Teraz jednak było zbyt mało czasu na organizację, a przecież

ośrodek Nemezcza zapewniał konieczną w takich przypadkach dyskrecję. Nemezcze w sposób naturalny przyjął na siebie rolę gospodarza, bowiem, jako urzędujący przewodniczący Podkomisji do Spraw Obrony i Bezpieczeństwa, musiał spełniać obowiązki należące do zmarłego Generała, do czasu wyznaczenia jego następcy.

Pierwszy zjawił się profesor Marten, a zaraz po nim Genetyk, Socjopatolog i Fizjolog. Brakowało tylko Statystyka, którego udało się Nemezczkowi zaprosić mimo jego wstępnych oporów. Dynamizm Statystyka, jego dar przekonywania, a nade wszystko — interesująca teoria, jaką rozwinął ostatniej nocy, wszystko to skłoniło Nemezcza do zaproszenia go na wspólne śniadanie w starannie dobranym gronie kolegów. Zapowiadało się bowiem, że już w niedalekiej przyszłości człowiek ten może odegrać niepoślednią rolę w Wysokiej Radzie. Miał zamiar zaprosić jeszcze Ekonomistę, ale po namyśle odrzucił ten pomysł. Ekonomista był zbyt mało dyskretny, a przy tym widywano go często z Politologiem oraz Informatykiem. A przecież chodziło jedynie o luźną wymianę poglądów, która dopóty jest nie obowiązująca, dopóki nie stanie się publicznie znana. W oczekiwaniu na Statystyka Nemezcze zaproponował gościom koktajle orzeźwiające. Wszyscy wybierali niskie numery, bo pora była wczesna, a wczorajsze posiedzenie przeciągnęło się do późna. Statystyk spóźnił się. Było już kwadrans po dziewiątej, gdy doktor Smeya, bezpośredni zastępca Nemezcza w ośrodku, po raz drugi zajrzał do pokoju. Profesor Nemezcze wstał i powiedział:

— Panowie, nie będziemy już czekać na naszego kolegę Statystyka. Widocznie coś mu wypadło albo w ostatniej chwili zrezygnował ze spotkania z nami. Doktor Smeya już się niecierpliwi, bo śniadanie stygnie. Proszę do jadalni.

Wszyscy wstali i podążyli za Nemezcziem do drugiego pomieszczenia. Nemezcze rozsadził gości za stołem i dał znak Smei stojącemu w półotwartych drzwiach do kuchni.

— Zapowiada się śniadanie ręcznie przyrządzone — rzekł wesoło Genetyk. — Jeśli tak karmi pan, kolego, swoich pacjentów, to może i u mnie znalazłby pan jakąś dewiację?

Zebrani skwitowali ten żart przejmym śmiechem, Nemezcze zaś odparł:

— Niektórzy pacjenci są istotnie na indywidualnej diecie. To ci, którzy mają trudności z adaptacją do kolektywu. U pana, kolego, nie obserwuję, niestety, żadnych zaburzeń w tej sferze i nie może pan liczyć na stołowanie się u mnie.

Dwóch zwalistych techników bezpieczeństwa wniosło do jadalni półmiski z parującą potrawą. Fizjolog pociągnął nosem i powiedział:

— Węch mnie nie myli: to prawdziwa jajecznica. — Sięgnął pierwszy do najbliższego półmiska i nałożył sobie obficie. — Ostatni raz jadłem taką u Ekonomisty, ale tam porcje były raczej symboliczne.

— Mam licencję na hodowlę kilku kurek — zauważył skromnie Nemeček. — Do celów terapeutycznych. A przy okazji powstaje ten właśnie produkt uboczny, który pozwoliłem sobie zaproponować panom na śniadanie.

— Czy nie uważacie, koleczy — zaczął Socjopatolog nakładając sobie porcję jajecznicę — że powinniśmy coś zrobić dla uratowania prawdziwej, dobrej kuchni? Rozumiem, że w skali masowej jest to niemożliwe. Ale gdyby tak... — zawahał się, bo spostrzegł, że wszyscy słuchają go z uwagą, a potem szybko dodał: — Bzdury! Mówię bzdury! Wprowadziłoby to nowy wymiar nierówności społecznych, a poza tym, czyż nie zwalczamy produkcji nielegalnej żywności wśród temporystów? Powrót do starej kuchni, nawet w mikroskali, spowodowałby zwiększenie zasięgu tej plagi społecznej. Już i tak musieliśmy zalegalizować i objąć monopolem państwowym produkcję i dystrybucję wódki, piwa...

— Niech pan je, kolego — przerwał mu łagodnie Nemeček. — Zimna jajecznica nie jest już tak dobra. A poza tym... — przerwał i połknął kęs potrawy — nie jesteśmy na posiedzeniu rady. Nowe idee, nawet jeśli są nie do końca przemyślane, mogą być przecież w sposób nie obowiązujący dyskutowane w koleżeńskim gronie, prawda? — spojrział bystro na swoich gości.

— Kolego Marten — podjął Genetyk popijając sok owocowy. — Czy w pańskim ośrodku też tak dobrze karmią? Może pan przyjąłby mnie jako pacjenta?

— Nie radziłbym — mruknął Fizjolog. — Metoda profesora Martena ma nieodwracalne skutki. Skalpel kolegi Martena działa niby czarodziejska różdżka: zamienił naszego byłego kolegę Wardensona w... — przerwał i zwrócił się do Martena: — Kim właściwie został Wardenson?

— To nie ma nic do rzeczy — odparł Marten opryskliwie. — Dla pana informacji, kolego, nie operuję skalpelem. Skalpele już dawno wyszły z użycia i pan, jako fizjolog, powinien o tym wiedzieć. — Był najwyraźniej zirytowany, jakby uwagi Fizjologa wywołały w nim jakieś przykre wspomnienia. — Nie zebraliśmy się chyba po to, aby dyskutować moją metodę transformacji osobowości?

Ostre słowa Martena zwarzyły nastrój.

— Właśnie, właśnie! — rzekł prędko Nemeček. — Mamy dwa wakujące stanowiska. Dobrze byłoby zastanowić się nad ich rozsądnym obsadzeniem.

— Ze stanowiskiem Ekologa nie powinno być kłopotów — zauważył Socjopatolog. — Mają tam dobrą, fachową kadrę; choćby taki Virno. Dał się poznać jako rzutki, kompetentny, a nade wszystko przejęty sprawami ochrony środowiska człowieka.

— Szczerze mówiąc, przyszedł mi do głowy inny pomysł — rzekł Genetyk. — Mam u siebie bardzo zdolnego zastępcę, który na tym nowym stanowisku na pewno by się sprawdził. Ma wystarczające przygotowanie fachowe, a zresztą Virno nie dałby mu zrobić głupstwa — roześmiał się.

— Virno jest jeszcze zbyt młody na tak odpowiedzialne stanowisko — poparł Genetyka Marten. — Tu trzeba człowieka, któremu można bezwzględnie ufać.

— A co pan na to? — Nemecek zwrócił się do Fizjologa.

— Ta sprawa mnie nie interesuje. Może być nawet zastępca naszego kolegi Genetyka.

— Dołożył sobie drugą porcję jajecznicy. — Jak on się właściwie nazywa?

— Trondwald. Heske Trondwald — pospieszył z wyjaśnieniem Genetyk.

— Czy możemy uznać tę kandydaturę za przekonsultowaną? — Nemecek spojrział na Socjopatologa.

— Oczywiście — odparł Socjopatolog i pociągnął spory łyk soku owocowego. Mlasnął i dodał: — Znakomite! Czy to też wyrób pańskiego ośrodka?

— Tak — odparł skromnie Nemecek. — To w ramach wychowywania przez pracę. Mamy tutaj jednego takiego specjalistę, który potrafi z owoców zrobić niemal wszystko. Niestety, kończy mu się już pobyt.

W drzwiach znowu pojawił się doktor Smeya. Nemecek dał znak i Smeya wpuścił tebeków, którzy bezszelestnie sprzątnęli brudne nakrycia.

— Czy są jakieś wiadomości od Statystyka? — zwrócił się Nemecek do Smei, ale ten przecząco pokręcił głową. Za chwilę ci sami technicy pojawili się, niosąc kawę i ciasto.

— Ciekawe, że nie dał znać — mruknął Marten, nalewając sobie kawy do porcelanowej filiżanki. — Może ciągle liczy?

— Jest to bardzo prawdopodobne — podjął Genetyk. — Pamiętacie, koledzy, wczoraj w nocy był bardzo przejęty swoją hipotezą.

— Wyliczył, że śmierć Generała i Ekologa da się teoretycznie wyjaśnić jako koincydencja losowa, ale prawdopodobieństwo takiego zdarzenia jest niezmiernie małe. — Marten ukroił sobie ciasta. Kilka okruszynek spadło na obrus, więc pozbierał je starannie i wrzucił do ust. — Stwierdził też, że każdy następny śmiertelny atak serca wśród członków Wysokiej Rady zbliży to prawdopodobieństwo do zera.

— Myśli pan — zaczął Socjopatolog — że on oczekuje dalszych tego typu incydentów? Przecież wprost tego nie stwierdził.

— Ale powiedział, pamiętam dobrze, że zdarzenia te dadzą się prawdopodobnie wyjaśnić za pomocą kauzalnego modelu analizy. Problem sprowadza się jedynie do trafnego zdefiniowania ukrytej zmiennej niezależnej, która może być wspólną przyczyną tych pozornie nie związanych wydarzeń.

— Szkoda, że go nie ma — westchnął Fizjolog. — Nie znam się na statystyce i z tego, co powiedział, rozumiem jedynie tyle, że on testuje hipotezę, iż za tym wszystkim ktoś stoi. Czy tak?

— On tego nie sformułował tak ostro — zaproponował Nemecek.

— Ale gdyby w najbliższych dniach ktoś z nas nagle umarł, to jego przypuszczenia okazałyby się słuszne, prawda? — nie ustępował Fizjolog.

— Mówiąc w dużym uproszczeniu... — odrzekł z wahaniem Marten. — Nie wiemy jeszcze, czy poprawnie sformułował założenie modelu, czy włączył do niego wszystkie zmienne interweniujące, czy poprawnie zdefiniował te zmienne, nie znamy też jeszcze wyników analizy metaczynnikowej. Słowem — obracamy się w kręgu spekulacji myślowych.

— Właśnie! — podjął Nemeček. — Nie sądzę, aby kontynuowanie tej dyskusji było pożyteczne. Statystyk zobowiązał się przedstawić szczegółowy raport jeszcze dzisiaj, więc nie będziemy musieli zbyt długo czekać na wyjaśnienie naszych wątpliwości. A tymczasem proponuję, abyśmy zastanowili się nad obsadzeniem drugiego wakatu.

— Skoro uruchomiliście wczoraj Czarny Batalion i daliście dowództwo Vittoliniemu, to chyba sprawa jest już przesądzona — zauważył zgryźliwie Fizjolog.

Nemeček poruszył się niespokojnie i powiedział:

— Po pierwsze, pan, kolego, również głosował za, a po drugie — sprawa niekoniecznie jest przesądzona! Nie chcę przywoływać wczorajszej dyskusji, ale jedna rzecz jest dla mnie całkowicie jasna: nie mogliśmy w ostatniej chwili odwołać zawodów, bo wywołałoby to niepotrzebne komentarze na świecie. A Czarny Batalion — zwrócił się do Fizjologa! — nie został „uruchomiony”, jak zechciał to pan, kolego, określić, lecz tylko postawiony w stan gotowości bojowej. Byłbym ostatnim, który głosowałby za wprowadzeniem Czarnego Batalionu do akcji i jestem przekonany, że skończy się tylko na stanie gotowości. Nie możemy jednak zaniedbać niezbędnych środków ostrożności. To jest nasz obowiązek. A co do pułkownika Vittoliniego... — Nemeček przerwał, bo drzwi ponownie otworzyły się. Stał w nich doktor Smeya i dawał Nemečzkowi jakieś znaki.

Nemeček wstał, podszedł do drzwi prowadzony wzrokiem pozostałych zebranych. Smeya, najwyraźniej podenerwowany, szeptał coś Nemečzkowi do ucha. Nie trwało to długo; Nemeček odprawił Smeyę niecierpliwym gestem, wrócił ociężałym krokiem do stołu, stanął za swoim krzesłem i uchwycił się kurczowo jego oparcia, jakby nagle nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

Wiedział już, że rozlew krwi jest niemal nieunikniony. Uświadomił sobie, że musi działać natychmiast, dopóki nie jest jeszcze za późno. Los Apostezjonu, do którego się przyzwyczał i którego był współtwórcą, wisiał na włosku. Lada drgnienie mogło go zerwać. Dlatego musiał działać szybko, ale ostrożnie. Spojrzał ciężko na siedzących wokół stołu. Uzmysłowił sobie, że nie może im powiedzieć, co zamierza zrobić. Chyba tylko jeden Marten zasługiwał na zaufanie. Był w końcu członkiem ścisłego prezydium.

— Co się stało? — nie wytrzymał Socjopatolog. Kilka kropel kawy wylało się na śnieżnobiałą obrus, kiedy nieuważnie odstawił filiżankę.

— Koledzy! — Nemeček najpierw spojrzał na Socjopatologa, a później uciekł spojrzeniem w bok. — Właśnie dowiedziałem się, że dziś rano Statystyk miał ciężki atak serca.

— Żyje? — zapytał Marten.

Nemeček przecząco pokręcił głową.

XIII

WYRÓŻNIAĆ DOBRYCH, LIKWIDOWAĆ NIEPRAWIDŁOWOŚCI

tytuł artykułu wstępnego z dziennika „Nasz Głos” nr 104/10843 z dnia 16 kwietnia 2044 roku

Trent był zły i zmęczony. Nawet koktajl numer 19 nie odgonił pieczenia pod powiekami i podłego nastroju. A zażywanie koktajli powyżej numeru dwudziestego było na służbie zabronione. Trent nigdy nie pozwoliłby sobie na przekroczenie regulaminu. Nauczył się bowiem, że regulamin jest jedyną naprawdę trwałą rzeczą na tym świecie, jego przestrzeganie zaś nadaje życiu sens i harmonię. Toteż teraz, gdy szedł ze swoją ekipą na pierwsze piętro tego parszywego hotelu, nawet nie spojrzał na pobłyskujący chromami dystrybutor, choć wiedział, że jego chłopcy też marzą o chwilce bodaj wytchnienia. Rozkazał swoim chłopcom zapędzić spłoszonych gości do pokoi, co uczynili szybko i sprawnie.

Ta noc była ciężka, jedna z cięższych, jakie pamiętał. Wejścia do pokoju strzegł jakiś funkcjonariusz, zapewne ściągnięty z sąsiedniego posterunku przez recepcjonistę, który pętał się teraz obok nich, zapewniając płaczliwie, że nic nie wie. Trent odsunął funkcjonariusza i wszedł do pokoju. Jeden rzut oka wystarczył, by zrozumieć, co się tutaj stało. Po hartowanych szybach w oknach nie było śladu. Stalowe futryny zniknęły. W całym pokoju nie było ani jednego sprzętu. Nawet wykładzina podłóg i obicia ścian zostały zmiecione, jakby nigdy ich tutaj nie było. Pozostały jedynie gołe ściany z tworzywa budowlanego, odpornego na restrukturalizację. Na płaszczyźnie, którą kiedyś przykrywała podłoga, walały się zwały brudnosinego proszku. Trent przykucnął i wziął garść tego proszku. Był suchy niczym pył pustynny; łatwo przesypywał się między palcami. Otrzeptał ręce i wstał. Nie miał już żadnych wątpliwości: to był skutek działania średniego kalibru działka udarowego, które weszło do uzbrojenia przed niespełna dziesięciu laty.

Wyszedł na korytarz i rzucił się ciężko na fotel przy dystrybutorze. Fotel był miękki, wygodny, co tym wyraźniej uzmysłowiło mu, że nie spał przez całą noc. Dał znak

swoim podwładnym, że jest chwila przerwy. Otoczyli natychmiast dystrybutor, niczym osy plaster miodu. Napoje wydawał recepcjonista, zapewniając usłudźnie, że na koszt firmy. Trent poczuł, że ogarnia go senność. Tego jeszcze brakowało, bym zasnął na służbie, w obecności moich chłopców! — pomyślał i przywołał skinieniem recepcjonistę.

— Daj mi dwunastkę — powiedział.

— Już się robi, panie władzo! — Napełnił szybko szklankę i podał ją Trentowi. — Na zdrowie, panie władzo. Każdemu się należy odpocząć, co nie?

Trent odprawił go niecierpliwie i powoli zaczął sączyć napój. Gimnastyczka pewnie jeszcze śpi, choć już bez Adlera — pomyślał leniwie. — Wideo diabli wzięli. Będę musiał pamiętać, żeby wyjąć dyskietkę. A zapowiadała się taka spokojna noc...

Prawdziwe piekło rozpoczęło się, gdy po raz drugi odezwał się pułkownik Vittolini. Przede wszystkim Trent musiał zaprzestać poszukiwania uczestników bójk przed barem.

— Są teraz poważniejsze sprawy, rozumiecie. Sytuacja staje się poważna — skomentował to polecenie Vittolini, ale nie wyjaśnił, na czym ta powaga sytuacji polega.

Trent miał swoje zdanie na ten temat, ale oczywiście nie wyjawiał go nikomu. Zakłady chemiczne, mimo uspokajających doniesień telewizji, nadal się paliły. Mówili o tym chłopcy, którzy izolowali teren skażony. Zasięg izolowanego obszaru ciągle się powiększał, a ilu zostało w środku, tego nikt dokładnie nie wiedział. Sytuacja musiała być rzeczywiście poważna, skoro kumple z Sektora XIV puścili farbę, iż Czarny Batalion opuścił koszary w środku nocy i udał się w nieznanym kierunku. Czarny Batalion — to nie przelewki. A jego wymarsz w trybie alarmowym wskazywał, że dzieje się coś niezwykle groźnego. Może Czarny Batalion uruchomiono po to, żeby zahamować dezerccje, które coraz częściej zdarzały się wśród techników bezpieczeństwa izolujących skażony teren. Okazało się, że ubiory ochronne nie były najlepiej wykonane i zdarzały się ofiary śmiertelne również wśród obstawy. Trent dowiedział się o tym wszystkim w ciągu nocy i wieści o wymarszu Czarnego Batalionu uspokoiły go nieco, obawiał się bowiem — podobnie jak kumple z sąsiednich sektorów — że może zostać skierowany do obstawy skażonego rejonu. Czarny Batalion — nie było wątpliwości — nie przepuścił żadnemu dezerterowi.

Gdy więc Vittolini stwierdził, że sytuacja staje się poważna, odrzekł tylko:

— Tak jest!

— A teraz słuchajcie uważnie, sierżancie. — Głos Vittoliniego był rzeński, jakby to nie był środek nocy. — Pojedźcie do mieszkania Wiktora Nordmanna. Adres macie w swym rejestrze. Tam, w jego obecności dokonacie urzędowego przeszukania. Czy to jasne?

— Tak jest — odparł Trent i dodał ciszej: — Czy chodzi o tego Nordmanna?

— Wszyscy obywatele są równi wobec prawa — przerwał mu Vittolini. — Czyżby was tego nie uczono? Tak, to ten Nordmann.

— Ależ... — zająknął się Trent. — Przecież on jest członkiem Wysokiej Rady.

— No to co?

— Według regulaminu potrzebuję tego polecenia na piśmie.

— Czyście się wściekli, Trent? — w głosie Vittoliniego zabrzmiały złowrogie nuty.

— To jest rozkaz! Wykonać!

— Tak jest!

— Jeśli właściciela nie zastaniecie, to dokonać przeszukania bez niego. Przede wszystkim zabezpieczcie pamięć jego komputera osobistego. Musicie całą jej zawartość skopiować i dostarczyć do Kwatery Głównej. Dlatego weźcie ze sobą jakiegoś technika, który zna się na tych rzeczach. Sami nie tykajcie niczego, niech to robi fachowiec. Odpowiadacie osobiście za to, żeby zawartość pamięci w całości znalazła się w naszym archiwum. Jasne?

— Tak jest!

— Zresztą, ja sam też tam zajrzę, żeby dopilnować wszystkiego. Są pytania?

— Tak. Co będzie, jeśli właściciela nie będzie w domu albo nie będzie chciał otworzyć?

— Wyłamać drzwi. Tu chodzi o bezpieczeństwo Apostezjonu. — Vittolini rozłączył się.

Gdy Trent ze swoją ekipą przybył na miejsce, byli tam już specje z Kwatery Głównej obstawiający dom. Jako niżsi rangą podporządkowali się Trentowi. Było zastanawiające, że Vittolini właśnie jemu zlecił tak delikatne zadanie. Bądź co bądź Nordmann był członkiem rady i jeżeli już należało się nim zająć, to powinni to zrobić specje, bo tu pachniało polityką. — Czy on jest w środku? — zapytał jednego z nich.

— Chyba nie. Mielśmy rozkaz pilnować domu, więc nie wchodziliśmy. Jeżeli jest w środku, to śpi.

— Rozumiem — mruknął Trent i dał znak swoim. Zgrupowali się przy nim ciasno. Dotknął przycisku i w środku odezwał się melodyjny świergot. Nasłuchiwał przez chwilę, ale do jego uszu nie doszedł najłżejszy szmer. Dotknął przycisku jeszcze raz, znowu bez skutku. Ustąpił miejsca i dał znak jednemu ze swoich. Laser przecinał zawiasy i zamki jak masło. Po chwili drzwi wpadły do środka, a za nimi Trent ze swoją grupą. Rozbiegli się po pomieszczeniach, ale dom był pusty. Trent z technikiem podeszli do komputera. Oględziny nie trwały długo.

— To jest urządzenie standardowe — mruknął technik strzykając w bok śliną. — Są tu drobne przeróbki, ale cała pamięć, poza operacyjną, przechowywana jest w tym pudełku. Można by je wyjąć i zabrać, ale boję się, że odłączenie tego drobiazgu może spowodować samozniszczenie pamięci. Musiałbym znać klucz kodowy albo złamać szyfr. A to trochę potrwa. — Znow strzyknął śliną i poprawił na sobie kombinezon, mimo że leżał bez zarzutu.

— Nie możesz tego skopiować? Przecież mamy klucz kodowy.

— Tutaj nie — odrzekł beznamiętnie. — Trzeba by całe urządzenie przenieść do nas, łącznie z zasilaniem.

— To bierz całość — powiedział.

Tymczasem reszta ekipy zaczęła systematyczne przetrząsanie domu. Trwało to długo, bo dom był pełen zakamarków. Trent wziął z dystrybutora koktajl orzeźwiający i nadzorował robotę, gdy zjawił się sam Vittolini.

— Jest Nordmann? — zapytał już od progu.

— Nie ma — odparł Trent zrywając się do postawy poddania. Vittolini zaklął pod nosem i zaczął nerwowo przechadzać się po pokoju. Trent wodził za nim oczyma, ale nie odzywał się. Po chwili Vittolini zatrzymał się, jakby podjął jakąś decyzję i powiedział:

— Nic tu po was. Cały sektor bez dozoru. Tu wystarczy jeden człowiek, który i tak pewnie nic nie znajdzie, bo wszystko jest utaj — poklepał obły kształt komputera demontowanego przez technika. — To urządzenie zabieram do siebie. A wy wyślijcie jeden lub dwa patrole na poszukiwanie Nordmanna. Muszę go mieć jak najszybciej, rozumiano?

— Tak jest!

Trent wrócił do swojej centrali, wysłał kilku ludzi na poszukiwanie Nordmanna, ale nie miał nadziei, że reszta nocy upłynie spokojnie. Jego chłopcy dowiedzieli się bowiem od chłopców z Kwatery Głównej, że wśród ekspertów szerzy się jakaś epidemia, że dotknęła ona samego Generała, który walczy ze śmiercią albo już nie żyje. Jeśli to nawet plotki, to coś za nimi z pewnością się kryło. Teraz ten Nordmann... Czuł mętlik w głowie. Zaraz, zaraz... Jak to mówił inspektor Hurtley? „Jeśli czegoś nie rozumiecie — nie łamcie sobie głowy. Przełożony i regulamin wiedzą lepiej”. No właśnie! Odprężył się. Wstał i wyjrzał przez okno. Story w oknach Gimnastyczki były nadal zasunięte. Ciekawe, czy oni jeszcze... — naszła go myśl, ale zaraz porzucił ją. Miał kłopot z tym swoim zuchoватым młodzikiem, którego posłał za włóczęgą. Napadła go jakaś banda, ale na szczęście nic poważnego mu się nie przydarzyło; stracił jedynie ślad włóczęgi, który pewnie i tak prowadził donikąd.

Dostał nauczkę — pomyślał nie bez pewnej satysfakcji. — Przyda mu się na przyszłość. Teoretyk, mądrała, a dał się załatwić jak dziecko.

Zlustrował machinalnie monitory kontrolne. Nie dostrzegł jednak nic szczególnego: we wszystkich punktach obserwacyjnych siał deszcz, którego fale, porywane raz po raz gwałtowniejszymi podmuchami wiatru, iskrzyły się w świetle latarni. Brzask był blisko. Trójka ludzi wysłana na poszukiwanie Nordmanna nie dawała znaku życia. Nie mieli widocznie nic do zameldowania, co zresztą było do przewidzenia. Spisy gości hotelowych też nie dostarczyły żadnego punktu zaczepienia. Pisarz przepadł w trzewiach aglomeracji, ale Trent wiedział, że jego odnalezienie jest tylko kwestią czasu.

Ziewnął i przeciągnął się, aż zatrzeszczały stawy. Potrząsnął głową, aby odgonić opadające go znużenie. I wtedy właśnie nadszedł meldunek o wybuchu w hotelu. Spojrzał na monitor zlokalizowany przy tym hotelu, ale nic się nie działo. Widocznie wybuch nastąpił po drugiej stronie budynku.

Postawił na nogi tebeków, którzy jeszcze nie zdążyli wyschnąć po powrocie od Nordmanna, i ruszyli z jękiem syren w stronę hotelu.

Trent siedział wygodnie rozparty w pościgowym ekwiparcie. Jechali z maksymalną prędkością, jak zwykle zresztą w przypadkach awaryjnych. Trzymał w ręku wideocom, przez który komunikował się z technikami będącymi na miejscu. Na małym monitorze kontrolnym obraz był nieco zamglony i w jednej trzeciej przesłonięty. Pewnie znowu któryś z tych idiotów przypiął kamerę tak, że wlaźła mu pod klapę kombinezonu — pomyślał z irytacją i rzucił do mikrofonu:

— Szesnasty, bałwanie jeden, jak przypiąłeś kamerę.

Musiały być jednak jakieś zakłócenia odbioru, bo obraz nie poprawił się; przeciwnie — teraz już połowa monitora była martwa. Technik wchodził do jakiegoś mieszkania. Dość szybko mignął obraz mrocznego korytarza, ale zaraz później ekran zajaśniał pastelowym światłem. Trent mógł się domyślać, że jest to wnętrze jakiegoś pokoju, technik zaś prowadzi kamerę do łóżka, na którym leżą dwie nagie postacie. Jedną z nich była bez wątpienia Gimnastyczka. Trent zbyt dobrze znał szczegóły jej ciała, by mógł się mylić. Druga postać, mężczyzny, była trudna do zidentyfikowania przez tę cholerną zasłonę. Trent potrząsnął wideocomem, jakby to mogło coś pomóc, i powiedział na chybił trafił do mikrofonu:

— Nakryliśmy cię, Adler. Czyżbyś nie wiedział, że jest alarm? Obraz zamazał się jeszcze bardziej i teraz nie można było rozróżnić żadnego szczegółu. Chciał przybliżyć wideocom do oczu, ale nie mógł. Lekkie zazwyczaj pudełeczko teraz ciążyło mu nieznośnie w ręku. To zmęczenie. Nic takiego, to zwykłe zmęczenie — uspokajał się w duchu, ale wideocom coraz bardziej przybierał na wadze, jakby stopniowo grawitacja koncentrowała się na tym banalnym przedmiocie. Pod wpływem przeciążenia ręka wygięła mu się ku dołowi. Wideocom zaczął wysuwać się z palców, mimo iż wytężał wszystkie siły, aby go utrzymać. Zdrada! Zawracamy! — chciał krzyknąć do towarzyszących mu techników, lecz głos uwiązał mu w gardle. Wideocom wypadł mu z ręki, przebił podłogę pojazdu i z brzękiem zginął w czeluściach ziemi. Wstrząsnął nim dreszcz grozy.

— Panie władzo! Panie władzo! — poczuł delikatne szarpanie za ramię.

Zerwał się z fotela i oprzytomniał w jednej chwili. Recepcjonista stał przy nim, patrząc mu z zatroskaniem w oczy.

— Szklanka wypadła panu z ręki i trochę się pan pochlapał. O, tu! — Przykucnął i zaczął mokrą szmatką ścierać rozległą plamę na nogawce kombinezonu. Trent odepchnął go nieuważnie, aż recepcjonista stracił równowagę i wyłożył się jak długi.

Zasnąłem na służbie, w obecności swoich podwładnych! — czuł wzrastającą irytację. Krzyknął więc głośno:

— Koniec przerwy! Wy dwaj — wskazał techników — na dół! Zabezpieczyć ślady na ulicy. Ty — zwrócił się do stojącego w drzwiach funkcjonariusza — pilnuj dalej i nie wpuszczaj nikogo do środka aż do odwołania. A wy — spojrzął na trzech pozostałych — pójdziecie ze mną. Trzeba przesłuchać tego, ptaszka — wskazał na wstającego powoli recepcjonistę — i resztę personelu.

Dwaj tebecy wprawnym ruchem ujęli recepcjonistę pod pachy i poprowadzili za Trentem, który ruszył w dół po schodach. Uchwyt był tak silny, że recepcjonista prawie unosił się w powietrzu. Trzeci technik zamykał pochód. Recepcjonista, zdumiony obrotem sprawy, zamilkł, jedynie jego błagalne spojrzenia, rzucane to na jednego, to na drugiego tebeka, świadczyć mogły, że nie rozumie, dlaczego jest traktowany tak obcesowo.

Doszli do portierni. Dwaj technicy prowadzący recepcjonistę kopnięciem otworzyli drzwi i rzucili go na krzeselko. Trent dał znak trzeciemu, aby pilnował głównego wejścia do hotelu, a sam zasiadł za biurkiem recepcjonisty i spojrzął na niego przeciągle, niemal z czułością, jak kolekcjoner szacujący nowy, acz niezbyt oryginalny nabytek do swoich zbiorów.

— Nazwisko? — zapytał oschle, gdy jeden z techników zakończył ustawianie na biurku kieszonkowego magnetowidu z oczkiem kamery wycelowanym w recepcjonistę.

— Panie władzo! — zaczął recepcjonista błagalnie. — Przecież ja... — Chrząknął, bo głos mu się załamał. — Ja chcę dobrze. Możecie na mnie liczyć. — Nabierał pewności siebie. — Nie mam z tym nic wspólnego i jako lojalny obywatel, co nie?, będę...

— Nazwisko! — przerwał mu opryskliwie Trent. — Odpowiadać tylko na pytania. Nie mamy czasu na rzewne historyjki. Zrozumiano?

— Tak, panie władzo! Każdy by zrozumiał, co nie?...

— Nazwisko! — syknął po raz trzeci Trent, a jeden z techników zbliżył się do recepcjonisty, czekając na znak Trenta.

— Sudet. Leon Sudet.

— Numer identyfikacyjny?

— Seria wu-zet-ha, siedem, cztery, dwa, dwa, zero, trzy, sześć, sześć, osiem — wyrecytował.

— Kto mieszkał w tym pokoju?

— Ja zaraz... — chciał wstać, ale jeden z techników pchnął go z powrotem na krzesło. — Jest zapisane w księdze meldunkowej.

— Która to? — Trent spojrzął na plik dokumentów walających się po biurku.

— Żółta.

Trent otworzył księgę i wartował ją przez chwilę.

— Daniel Laroque. — powiedział wyraźnie do kamery. — Numer identyfikacyjny a-er-te, siedem, cztery, dwa, dwa, zero, zero, pięć. Pewnie fałszywy — dodał i zapytał:
— Numer był sprawdzany przy meldunku?

— Tak, panie władzo. Myślę, że tak. Przyjmował go mój zmiennik — dodał szybko.
— Dwa dni temu: To chyba jakaś grubsza szycha...

— Czy on był wtedy w pokoju?

— Kiedy?

— Odpowiadać! — warknął. — Wtedy, gdy to się stało.

Recepcjonista zawahał się przez moment, co Trent odnotował z należytą uwagą, i powiedział:

— Nie. Tuż przed udarem opuścili pokój. Chciałem ich zatrzymać, ale nie dało rady.

— Opuścili? To on nie był sam?

— Nie, była z nim dziewczyna.

— Meldowana?

— Panie władzo! — zaczął błagalnie. — On wdarł się z nią w nocy. Nie chciałem pozwolić na łamanie przepisów, ale wtedy on pchnął mnie. O, jeszcze tutaj mam ślad jego ręki — pokazał na policzek. — Właśnie miałem was zawiadomić, kiedy to się stało, i...

— A więc nie meldowana — podsumował Trent. — Czy był jeszcze ktoś?

Recepcjonista ponownie się zawahał i wyjąkał:

— Nie. Nikogo więcej nie było. Tylko ta dwójka.

— Sprawdzimy. I co zrobili po opuszczeniu pokoju?

— Przebiegli koło recepcji... Chciałem ich zatrzymać, ale on uderzył mnie i pobiegli do piwnicy.

— Czy są inne wyjścia z piwnicy?

— To stary i duży budynek. Ja tam nie sprawdzałem, ale myślę, że jest przynajmniej jedno, do wywozu śmieci — dodał skrupulatnie.

Trent dał znak jednemu z tebeków, który bez słowa wyszedł i zniknął za drzwiami prowadzącymi do piwnicy. Recepcjonista poruszył się niespokojnie pod uważnym spojrzeniem Trenta.

— Jeśli mówicie prawdę, to nic wam nie grozi, Sudet. Ale jeśli kręcicie... No, to będziemy mieli piękną sprawę o współnictwo. No więc, jak? Był jeszcze ktoś? Teraz sprawdzamy piwnicę, a potem sprawdzimy każdy najmniejszy szczegół waszego zeznania. Coś się nie będzie trzymało kupy i już po was — pokiwał głową ze współczuciem.

— To ja lepiej powiem całą prawdę. — Recepcjonista wytarł spoczone dłonie w bluzę kombinezonu.

— To już lepiej. Nie można było od razu?

— Była jeszcze z nimi trzecia osoba.

— Ciekawe. Kto taki?

— Facet, który wynajął wczoraj wieczorem sąsiedni pokój. Nadziany. Trent sięgnął do żółtej księgi, ale recepcjonista powiedział:

— To nic nie da. Ten facet, znaczy, nie miał rezerwacji i chciałem odesłać go do wszystkich diabłów. Że też tego nie zrobiłem — jęknął. — Ale był nadziany, ostro nadziany, choć nie wyglądał na takiego. Był tak dziwnie ubrany: żadne tam normalne kombinezony, tylko marynarka, spodnie na szelkach... Prawie jak temporysta. Że też mnie podkuśiło — zakwilił. — Mogłem go przecież spławić i byłbym czysty jak kryształ próżniowy.

— Wpuściliście go na lewo, tak?

— To zdarzyło mi się po raz pierwszy w życiu, już nigdy...

— Dobra, dobra... Za ile?

Recepcjonista milczał ze wzrokiem wbitym tępo w blat biurka.

— Za ile? — powtórzył tym samym beznamiętnym głosem Trent, technik zaś wyprostował recepcjonistę szarpnięciem za włosy.

— Piętnaście twardych.

Trent gwizdnął z podziwu i powiedział:

— Proszę, proszę! Płacił w obcej walucie. A może to był cudzoziemiec?

Recepcjonista potwierdził skinieniem głowy, po czym dodał szybko:

— Ale mówił po naszymu jak nie przymierzając pan władza. Nikt by nie poznał, że on nie nasz..

— A może to szpieg? W ładną kabałę się wpakowaliście, Sudet. Nie zazdrozczę wam. Na jakim był paszporcie?

— On nie miał paszportu.

— Nie miał paszportu? — Tym razem Trent naprawdę był zaskoczony. — Opiszcie mi go.

— Wysoki, po sześćdziesiątce, szczupły. Był wyraźnie czymś podenerwowany albo przestraszony. Znam się na tym, dlatego skusiło mnie, żeby go naciągnąć na grubszą forszę. Łysawy...

— Zaraz, zaraz! — przerwał mu Trent, bo w głowie zaczęła mu świtać pewna myśl. — Nie miał paszportu, płacił obcą walutą, był dziwnie ubrany... — Zerwał się z fotela, złapał recepcjonistę za klapy kombinezonu i wysyczał: — Słuchaj uważnie, kręta-czu. Zadam ci teraz pytanie, ale dobrze zastanów się, zanim odpowiesz. — Puścił go, a on opadł bezwładnie na krzeselko. Trent tymczasem sięgnął do kieszeni, wyjął zdjęcie Nordmanna i pokazał recepcjoniście: — To ten?

— Tak — odparł Sudet bez wahania.

— Wyprowadzić! — rzucił nerwowo do technika, który natychmiast ujął recepcjonistę pod łokieć i wyszedł z nim do hallu. Trent wyjął wideocom, nacisnął kilka klawiszy i powiedział: — Z pułkownikiem Vittolinim! Pilne!

XIV

Wszystko już było, nawet myśl o tym, że wszystko już było. Historia zatacza coraz ciśniejszą spiralę wokół swojego punktu ciężkości. Co jest tym punktem? I co się stanie, gdy do niego dojdziemy? Czyżby tu tkwiła tajemnica naszego przeznaczenia i... końca?

z „Dziennika prywatnego Wiktora Nordmanna”, materiał nie publikowany. Archiwum Główne Służb Specjalnych, sygnatura AG/1786/29

— Teraz — syknął Daniel, wychylony do połowy na ulicę. — Jeszcze pada deszcz, który szybko rozmyje nasze ślady. Nawet detektory podczerwieni nic im nie pomogą. Szybko!

Pierwsza prześliznęła się przez otwór Candy, a zaraz za nią wygramolił się Nordmann. Stanęli pod murem, czekając na Daniela, który tymczasem pieczołowicie zamykał okienko. Deszcz zacinął nieprzyjemnie. Candy skuliła się, postawiła kołnierz kombinezonu, ale niewiele to pomogło. Wewnętrzny dygot nie ustawał. Nordmann otrząpywał swoje ubranie, lecz brudne plamy pod kolanami i na łokciach pozostały. Deszcz powoli zaniżał. Chmury, początkowo jednolitą powłoką zasnuwające niebo, teraz — w miarę narastania brzasku — rozstępowały się, ukazując tu i ówdzie blade już o tej porze gwiazdy.

Ruszyli szybko, oddalając się od budynku. Pierwszy szedł Daniel, za nim — Candy, a na końcu, podbiegając co chwilę, podążał Nordmann. Kluczyli małymi uliczkami dzielnicy willowej, jeszcze zupełnie uspianej. Dopiero po przebyciu trzech przecznic znaleźli ekwipart, który jednak nie był sprawny. Po ujechaniu kilkuset metrów stanął i nie można było go ponownie uruchomić. Daniel zaklął pod nosem, ale za rogiem następnej, przecznicy znaleźli pojazd nadający się do użytku. Ruszyli z maksymalną dozwoloną prędkością.

Zaczynał się już ruch poranny, gdy wjeżdżali w centralną dzielnicę aglomeracji. Słońce, wpółwychylone zza horyzontu, przegnało resztki obłoków. Kapiące z drzew krople mieniły się refleksami światła, a chodniki schły szybko.

— Jestem głodny — powiedział Daniel. — Muszę coś zjeść, a potem koniecznie muszę się wyspać. Dzisiaj po południu mam wyznaczony trening.

— Wiecie państwo! — powiedział z ożywieniem Nordmann. — Ja zupełnie zapomniałem o głodzie. To wszystko stało się tak nagle...

— Ja też jestem głodna — powiedziała Candy. — Zatrzymajmy się gdzieś. Myślę, że ich zgubiliśmy.

— Jeśli ktokolwiek za nami jechał... — powiedział Daniel, po czym zwrócił się w kierunku Nordmanna: — A pan może jechać dalej...

— Dokąd mam jechać? — zapytał zaniepokojony.

— To już pana sprawa — odparł lakonicznie Daniel. — Ostrzegłem pan przed killerem, ja pana wyciągnąłem z hotelu i jesteśmy kwita. Choć, prawdę mówiąc — spojrział na niego sceptycznie — nie wydaje mi się, żeby musiał pan uciekać. Oni polowali na mnie. Pierwszy raz mam do czynienia z killerem i muszę przyznać, że jest to całkiem zabawne.

— Kto to jest killer? — zapytał Nordmann.

— Po jakim ty świecie chodzisz, staruszkule? — zapytał Daniel. — Nie słyszałeś o killerach?

— Nie — przyznał pisarz z rozbijającą szczerością.

— Daniel! — zawołała niespokojnie Candy. — To może być prowokacja.

— Co on mi może zrobić? — spojrział przeciągle na Nordmanna. — Przecież to i tak wszyscy wiedzą.

— Ja nie wiem — powiedział Nordmann.

— To dziwne — powiedział wolno Daniel. — Przecież mówiłeś, że jesteś Nordmannem, tym znanym pisarzem.

— Jestem, jestem! — przerwał mu niecierpliwie. — I co z tego?

— Jeśli jesteś tym, za kogo się podajesz, to powinieneś o killerach wiedzieć więcej niż my.

— Bzdury!

— Bzdury? I to mówi członek Wysokiej Rady. A może nie jesteś członkiem rady?

— Jestem — powiedział, ale zawahał się i dodał z ociąganiem: — Jeszcze wczoraj byłem. A teraz — nie wiem. Może jestem, a może nie...

— Przecież to wy zatrudniacie killerów. Przedtem byli ściśle izolowani w laboratoriach. Ale zaraz po tych rozróżkach, które miały miejsce kilka lat temu, znaleźliście im zajęcie. Czyżbyś nie wiedział o tym? Coś kręcisz, staruszkule.

— Nic nie kręcę — odparł Nordmann z determinacją. — A ci killerzy, czy jak ich tam pan nazywa, to jakaś fantastyczna plotka. To jakieś okropne oszczerstwo!

— Kto wobec tego chciał nas zabić? — zapytał spokojnie Daniel.

— Nie wiem. Skąd mogę wiedzieć, komu się pan naraził? Może to był jakiś gang lo-vittów albo temporyści?

— Uzbrojeni w działko udarowe?

Nordmann zamilkł, ale nie na długo.

— Nie twierdę — zaczął pojednawczo — że pan sam to wszystko wymyślił. Ale ktoś pana wprowadził w błąd. Jestem tego pewien. Przecież ja musiałbym coś o tym wiedzieć! I co ci rzekomi killerzy robią?

— Jak to co? Likwidują tych, których nie opłaca się sądzić.

— Bzdura! Wyssane z palca oszczerstwo. Pani oczywiście nie wierzy w te bujdy.
— Spojrzał badawczo na Candy, ale ta tylko wzruszyła ramionami i powiedziała:

— Jestem głodna! Stańmy, Daniel, przy najbliższym czynnym barze.

— W porządku — mruknął Daniel nie odwracając głowy.

Musieli przejechać ponad trzy kilometry, zanim trafili na czynny już bar. Zaparkowali tuż przy drzwiach. Daniel rozejrzał się uważnie. Była to dzielnica o niskiej zabudowie: domy, w większości bardzo stare, były mocno zaniedbane. Prawdopodobnie pamiętały czasy sprzed Wielkiej Zmiany, o czym mogła świadczyć ich archaiczna, niespotykana już dzisiaj konstrukcja betonowa, która nie byłaby w stanie oprzeć się udarowi z małego nawet działka. Popękane i brudne elewacje były upstrzone symbolami i napisami, których nikt już nie czytał.

Nordmann rozglądał się z zaciekawieniem, nigdy bowiem jeszcze w tej dzielnicy nie był.

— Myślałem — powiedział — że takiej zabudowy już nie ma. Czy w tym mieszkają ludzie?

— A gdzie mieliby mieszkać? — zapytała ostro Candy.

— Przecież...

— Idziemy! — przerwał mu Daniel, — Tutaj się rozstaniemy, staruszk.

— Dobrze — zgodził się pokornie. — Czy jeszcze kiedyś się spotkamy? Nawet nie wiem, jak się nazywacie.

— Niedługo o mnie usłyszysz — powiedział Daniel nie bez młodzieńczej chępliwości. — Interesujesz się zawodami?

— Tylko tyle, ile należy członkowi rady.

— To znaczy, że się nie interesujesz. Ale to nie ma żadnego znaczenia. Te zawody są przecież dla zwykłych ludzi, a nie dla was. Mam rację, Candy?

— Te zawody to jedna wielka bzdura — odparła.

— Chodźmy coś zjeść — powiedział Daniel pojednawczo. — Pełny żołądek łagodzi interakcje. Mam rację, studentko?

— Przestań błaznować — mruknęła poirytowana. Wysiadła z pojazdu i skierowała się w stronę baru.

— Czy mogę zjeść z wami? — zapytał ostrożnie Nordmann.

— Możesz, staruszk. Ten bar jest dla wszystkich. Ale potem rozstaniemy się. I tak zbyt długo byliśmy razem. Chyba nie chcesz, żeby killer i ciebie wziął na muszkę?

Nordmann wzruszył ramionami i wysiedli.

Wnętrze baru było nie mniej obskurne niż ulica. Odrapane dystrybutory, z których zaledwie część była czynna, miały bardzo ubogi zestaw posiłków. Zaaferowany konserwator, dłubiący coś we wnętrzu jednego z dystrybutorów, był jedyną osobą, jaką napotkali. Spojrzał na nich bez zainteresowania i wrócił do swojego zajęcia. Candy siedziała już przy jednym ze stolików i popijała z plastikowego kubka jakiś parujący napój. Gdy przysiedli się do niej, powiedziała:

— Są tylko trzy zestawy posiłków i ten mlekopodobny płyn. — Wskazała na swój kubek. — Jest gorący.

— Niedobrze, że jesteśmy jedynymi klientami — rzekł półgłosem Daniel. — Zjedzmy szybko i wynośmy się stąd.

Wstał, podszedł do dystrybutora, chwilę zastanawiał się nad wyborem, po czym nacisnął klawisze. Nordmann podążył jego śladem. Obok dystrybutora był monitor telegazety, wbudowany w ścianę. Nordmann wybrał ten sam zestaw, co Daniel i włączył monitor. Wrócili do stolika i zaczęli jeść w milczeniu.

Od czasu do czasu konserwator rzucał w ich stronę niechętnie spojrzenia. Z monitora płynął monotony głos spikera podającego najświeższe wiadomości.

Nordmann zaspokoił pierwszy apetyt i stał się weselszy.

— Noc to czas urojeń. Wszystko zatracą swoje normalne proporcje i stają się własną karykaturą. Jest w nas jakiś atawistyczny lęk przed ciemnościami. Przecież w świetle dziennym nie przestraszyłbym się tych opryszków. Może nawet bym ich nie zauważył?

Daniel jadł w milczeniu, Candy zaś, siedząca twarzą do monitora, popijała małymi łydkami napój, śledząc nieuważnie ekran.

— Zachowałem się jak mały, krnąbrny chłopiec, który zbił szybę i odruchowo zaszył się w jakąś dziurę — ciągnął Nordmann. — Czy to nie śmieszne? Jeśli ten facet nie polował na mnie, to po co ja w ogóle uciekałem? Składamy się z odruchów, nad którymi trudno nam panować. Zwłaszcza w nocy. Przez to nie stawiłem się na ważne spotkanie. Ale nic straconego. Pojadę tam natychmiast. Wszystko wyjaśnię i będzie tak, jak dawniej — wziął spory kęs jedzenia do ust i zamilkł na chwilę.

— Już nie będzie tak jak dawniej — powiedziała Candy głosem, który zmroził Nordmanna. Teraz dopiero zauważył, że ściska ona kurczowo rękę Daniela i wpatruje się rozszerzonymi oczami w monitor. Powędrował za jej wzrokiem i zobaczył na ekranie swoje zdjęcie w monstrualnym powiększeniu. Za chwilę dotarł do niego monotony głos spikera: „...poszukiwany listem gończym za poważne przestępstwa przeciwko... ktokolwiek udzieliłby pomocy, będzie oskarżony o współudział w...”. Poczul, że robi mu się słabo.

— Wynosimy się stąd — rzekł prędko Daniel. — Szybko! — Szarpnął pisarza za rękę. — Ale nie biegiem! — Powstrzymał go mocnym uchwytem za łokieć. — Idź normalnie, staruszkule. Gdy wyjdziemy, bierz ekwipart i zwiewaj. Teraz już naprawdę będziemy kwita.

— Gdzie mam pojechać?

— Nie wiem! — odparł niecierpliwie. — Choćby do temporystów.

— Do temporystów? — w głosie Nordmanna zabrzmiało przerażenie. — Przecież...

— Tylko wśród nich możesz się na jakiś czas przechować. A zresztą, rób co chcesz, tylko się od nas odczep! Tego tylko brakowało, żebyś mnie wpakował w jakąś kryminalną aferę.

— Gdzie ja ich znajdę? — zapytał błagalnie. — Kogo?

— Temporystów.

— To już twój kłopot, staruszk. Są wszędzie, trzeba tylko umieć patrzeć.

— Przeprowadził go przez wąskie drzwi i pchnął lekko w stronę ekwipartu.

Candy szła ostatnia. Obejrzała się i dostrzegła, że konserwator odprowadza ich sennym spojrzeniem.

XV

Wczoraj w centrum integracyjnym „Sielanka” odbyła się miła uroczystość. Przedstawiciel służb genetycznych wręczył stutysięczną w tym roku licencję na dziecko. Szczęśliwą, fachowo skojarzoną parą są: Windy Allison, lat 23, znana piosenkarka oraz Sergiusz Wirth, lat 24, technik budowlany. Już w czasie pierwszego spotkania para przypadła sobie do gustu. Windy Allison powiedziała naszemu reporterowi, że jest szczęśliwa, Sergiusz Wirth zaś powiedział, że tak w pracy, jak i w życiu osobistym sumiennie wypełnia to, co do niego należy. Oboje należą do Ligi Młodych Entuzjastów i przepracowali w tym roku społecznie ponad sto godzin. Będziemy śledzić losy sympatycznej pary aż do szczęśliwego rozwiązania.

wzmianka w dzienniku „Nasz Głos”, nr 105/10844 z dnia 17 kwietnia 2044 roku

— Zostaw ją. Berta! — krzyknął Wargacz. Rzucił się w jej kierunku i odepchnął ją od Almy. Berta zatoczyła się na stół, ale utrzymała się na nogach. — Uspokój się — powiedział już ciszej. — To nie są wrogowie. Wejdźcie — zwrócił się do grupki osób stojących w drzwiach. A potem podszedł do Almy i zapytał: — Wszystko w porządku?

— Uspokój tę idiotkę, bo naprawdę zrobi komuś krzywdę — powiedziała cierpko Alma, poprawiając zwichrzoną fryzurę. Berta tymczasem spoglądała zdumiona to na Wargacza, to na przybyszów. Była ich trójka. Kobieta i dwóch mężczyzn. Wszyscy ubrani byli w te dziwaczne, niepraktyczne stroje.

— Usiądź. Berta, odpręż się — powiedział podchodząc do niej i sadzając ją na łóżku. — Żadnych numerów, pamiętaj! — rzekł z naciskiem. — To nie są wrogowie.

— Przecież to temporyści! — wybuchnęła.

— No to co? Przestań kłapać dziobem! — syknął, po czym zwrócił się do przybyłych: — Ona zaraz ochłonie. Nie przejmujcie się.

— Może byś ją wyprawił, Ira? — powiedziała Alma.

— Nie — potrząsnął głową. — Sprowadziłaby tutaj kupę lovittów i byłaby jeszcze jedna niepotrzebna bitwa. Nie będzie nam przeszkadzać. Będiesz już grzeczna, Berto, prawda? — pogłodził ją po policzku, lecz ona prychnęła i odsunęła się od niego.

Odwrócił się od niej i bezradnie rozłożył ręce. — Ona musi się oswoić. Nigdy nie widziała z bliska tylu temporystów naraz. Usiądźcie, gdzie możecie — zapraszał przybyłych do środka, wyraźnie zaaferowany. Zrzucił ze stołu poszczerbione puszki, kopnął pudło pod łóżko i zaczął dokładać patyki do przygasającego piecyka. — Zrobię wam coś do picia.

— Nie przyszliśmy tutaj z towarzyską wizytą, Albert — odezwała się nowo przybyła.

— Nie nazywaj mnie Albertem! — przerwał jej opryskliwie. — Tamta przeszłość już nie wróci, nawet jako wspomnienie.

— Jak chcesz — powiedziała ze smutkiem.

— Zaraz, zaraz! — Berta znowu odzyskała mowę. — Co tu jest grane, Wargacz? Ty kumasz coś z tego? Bo ja nic. Jedna mówi do ciebie Ira, druga — Albert. Co to za ksywy? Za kogo one cię biorą? Kim ty jesteś, Wargacz?

— To ona nie wie? — zdziwiła się Alma.

— Skąd ma wiedzieć, skoro ja sam nie wiem? A ty, Berta, nie wtrącaj się, dobrze? Ciebie znam — zwrócił się do jednego ze stojących mężczyzn. — Ty jesteś Długi, prawda?

— Prawda — powiedział zagadnięty.

— A ja jestem Grimaldi — odezwał się drugi mężczyzna. — Wiele o panu słyszałem, panie... — zawahał się. — Jak właściwie mam pana nazywać? Wardenson? Dogow? A może jeszcze inaczej?

— Mów mi po prostu Ira — powiedział Wargacz i dodał: — Zdaje się, że na zewnątrz widziałem jeszcze kogoś.

— Tak — potwierdził Długi. — Zostawiliśmy tam Claire i Jorgena. Ciągnęłaś za sobą ogon, Ira. Takiego młodego szczeniaka, którego zawróciliśmy z drogi. A jeśli miałeś ogon, to możesz być przez speców namierzony. Więc oni patrzą, czy ktoś nie płącze się po okolicy.

— Wargacz! — odezwała się Berta. W jej głosie łatwo można było wyczuć determinację. — Muszę wiedzieć, co jest grane! Muszę, kumasz? Bo zwariuję!

— Nie zwariujesz, nie zwariujesz — powiedział spokojnie. — A poza tym i tak byś nie pokapowała, o co tu biega. To nie na twoją głowę.

— Trzymasz mnie tutaj za kretynkę! — wybuchnęła. — A ja rozumiem więcej, niż ci się wydaje. Od dawna wiedziałam, że ty nie jesteś zwykły lovitt. Sama ci nawijałam, że gdybyś chciał, tobyś mógł, to mógłbyś... Ech, wszystko jedno, kim mógłbyś być, Wargacz, ale nie trzymaj mnie za idiotkę! Jeśli ktoś tu świruje, to nie ja. Ja, ja zniosę wiele, tylko jednego nie zniosę: jak mnie ktoś chce zrobić w bambuko. — Wstała z łóżka i wymachując zaciśniętą pięścią przed nosem Wargacza ciągnęła dalej: — Tego na pewno nic zniosę! Albo mi powiecie, co jest grane, albo... nie wiem co. — Wyszarpnęła zza dekoltu dwa kartoniki i rzuciła na stół. — Masz tu te swoje parszywe przydziały. I tak bym poszła z tobą. Gdybyś tylko chciał, to byłabym ci wierna jak pies.

— Tak? — powiedział Wargacz patrząc na nią flegmatycznie. — To przywitaj się z naszymi gośćmi. Podaj im rękę — dodał dla ścisłości.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Słysząc było wodę miarowo kapiącą z kranu. Berta walczyła ze sobą przez chwilę, po czym ostrożnie zapytała:

— A jak podam im rękę, to powiesz, co jest grane?

— Oni ci powiedzą — odparł Wargacz.

— Prawdę?

— Tylko prawdę.

— A nie wygadasz innym, że śliniłam się z temporystami?

— Dopóki sama tego nie powiesz — skinął poważnie głową.

Berta wyciągnęła rękę do Almy, odwracając głowę do ściany. Poczowała miękkie, ciepłe dotknięcie jej dłoni. Ścisnęła ją i potrząsnęła energicznie:

— Berta.

— Alma. — Usłyszała w odpowiedzi. Potem podała rękę drugiej kobiecie i usłyszała:

— Matylda.

Dotyk męskich dłoni był mniej odpychający; gdy nie patrzyła na nich, to tak jakby witała się z porządnym lovittem.

Napięcie opadło. Nawet Matylda, która z wyraźnym obrzydzeniem patrzyła na wnętrze pomieszczenia, rozluźniła się i usiadła ostrożnie na krzeselku, które wpierw starannie przetała.

— Nie przyszliśmy tu w celach towarzyskich — powtórzyła miękko. — Przyszliśmy po ciebie.

Wargacz zachnął się, a Matylda zapytała:

— Czyżby ci jeszcze Alma nie powiedziała, że jesteś nam potrzebny?

— Powiedziała, powiedziała... — odparł niecierpliwie. — I co z tego?

— Zdaje się, że znowu robicie mnie w bambuko — wtrąciła Berta. — Była umowa czy nie?

— Ach tak, tak — powiedziała prędko Alma. — Czy ty nie potrafisz mówić normalnie?

— A jak ja mówię? — zdumiała się Berta.

— Dobrze, dobrze — rzekła pojednawczo Matylda. — Powiedz jej, Almo, o... — zawahała się i spojrzała na Wargacza. — Powiedz jej o nim.

— Widzisz, Berto — zaczęła Alma. — Ten człowiek, którego nazywasz Wargaczem, był kiedyś jednym z najpotężniejszych ludzi Apostezjonu...

— Wciskasz mi kit, kobieto! — przerwała jej Berta. — Wargacz najpotężniejszy? — zaczęła się śmiać.

— Jeśli będziesz przerywać, to niczego się nie dowiesz — skarciła ją Matylda, ale Berta nie mogła opanować śmiechu.

— Mówiłem, że to nie na jej głowę — odezwał się Wargacz. — To beznadziejne. Mówiłem ci, Almo, że jeszcze nie czas. Dlaczego nie chcecie mi uwierzyć?

— Nie masz racji, Ira — odezwał się Długi. — Ale za to masz kompleks Strefy. Strefa cię wypaliła. Już nie chcesz wiedzieć, za co przemeblowali ci głowę. Straciłeś rozped. Wlałeś między lovittów i zapomniałeś po co. A może stałeś się już jednym z nich?

— Pewnie, że on jest jednym z nas — powiedziała dumnie Berta. — Wargacz najpotężniejszy — przypomniało się jej i znowu zaczęła się śmiać.

— Spece wężą jak wściekli — odezwał się milczący do tej pory Grimaldi. — Tu chodzi nie tylko o to skażenie i nie są to zwykłe środki ostrożności przed zawodami. Podobno Czarny Batalion znowu ruszył się ze swojego legowiska.

— Skąd to wiesz? — zapytał ostro Wargacz.

— Mówili nam nasi przyjaciele — odparł ostrożnie Grimaldi.

— To może być zwykła plotka — powiedział Wargacz. — A jeśli nawet by tak było, to tym bardziej trzeba przeczekać. Dobrze wiecie, co to jest Czarny Batalion. Rozwalili nas w Strefie jak kupę glinianych skorup.

— Wzbiera duża fala — powiedział Długi — która może nas porwać, czy tego chcemy czy nie. Wszyscy to czują, tylko nie ty, bo zaszyłeś się w tej swojej śmierdzącej dziurze. Czujemy, że zbliża się czas rozstrzygnięć i nie chcemy biernie czekać na rozwój wypadków.

— A czego wy chcecie? Co zamierzacie osiągnąć i w jaki sposób? — Wargacz wstał, podszedł do piecyka i zaczął przyrządzać sobie herbatę.

— Oczekujemy, że ty nam to powiesz — rzekła Alma.

— Po to właśnie tu jesteśmy — dodał Długi. — Myślę, że twój mózg nie rozpułynał się w wódce i funkcjonuje równie sprawnie, jak zawsze. Chyba nie pozwoliłeś zniszczyć swojego największego skarbu? — zapytał z niepokojem.

— To Wargacz ma jakiś skarb? — zainteresowała się Berta.

— Tu — Długi puknął Bertę w czoło. — Tu pod czaszką ma największy skarb w Apostezjonie. Tylko od kiedy wszedł między was, przestał zupełnie z niego korzystać...

Wargacz poruszył się gniewnie i powiedział:

— Już ci mówiłem, Almo, co o tym wszystkim myślę. Chcecie wystawić się na ciosy — wasza rzecz. Ja was od tego nie powstrzymam. Długo będziecie lizać rany, jeśli nie okażą się śmiertelne...

— Sam mówiłeś przed powstaniem Strefy, że nie można biernie trwać — przypomniała mu Matylda. — Trzeba działać. Czy to nie twoje słowa?

— Może tak mówiłem, ale zmieniłem zdanie — odparł opryskliwie. — To było przed Strefą. Teraz jest inna sytuacja. Strefa była dla nich lekcją. Dla nas powinna być też. — Zaczął nerwowo przechadzać się po pokoju, grzejąc ręce o kubek z gorącą herbatą. — Jeżeli chcecie naprawdę coś zrobić — musicie dążyć do przejęcia władzy.

Wszyscy znieruchomieli, nawet Berta, która znów chciała się wtrącić i dowiedzieć wreszcie, kim naprawdę jest Wargacz. Gdy rozmawiał z temporystami, był innym człowiekiem. Był jakby wyższy, może dlatego, że nie obciągała mu szyi ta sakramencka torba. Oczy, zazwyczaj przygaszone powiekami, teraz gorzały niesamowitym blaskiem; gdy jego wzrok prześliznął się po Bercie, poczuła nagły dreszcz, ale nie wiedziała, czy to był dreszcz trwogi czy czegoś innego. Nie, to nie była trwoga. Berta pierwsza plunęła-by w twarz temu, kto ośmieliłby się nazwać ją tchórzem. Nie potrafiła jednak tego dziwnego uczucia nazwać. Trochę podobnie czuła się wtedy, gdy odkryła w pudle Wargacza obezwładniacz: jakaś omdlewająca, rozlewająca się po całym ciele rozkosz, pomieszana z lękiem i chęcią ucieczki. Patrzyła na niego jak urzeczona.

Tymczasem Wargacz ciągnął dalej:

— Tak, musicie dążyć do przejęcia władzy. Tylko taki cel usprawiedliwiłby wasze działania. Ale przecież wiecie równie dobrze jak ja, że jesteście na to za słabi. Walka o władzę — to okrutne rzemiosło, zwłaszcza gdy naprzeciwko macie takiego wroga. Reguły gry narzuca silniejszy. Tak jest zawsze. Żeby walczyć o władzę, musielibyście odrzucić waszą etykę, waszą moralność. Musielibyście upodobnić się do waszego przeciwnika. Ale wówczas przestalibyście być sobą, a na tym wam najbardziej zależy, prawda?

— Uważasz więc — powiedziała wolno Alma — że nie ma wyjścia, że nic się nie zmieni, że zawsze będziemy zepchnięci na margines, aż w końcu zdegenerujemy się zupełnie i staniemy się, na podobieństwo lovittów, gangami skaczącymi sobie wzajem do gardeł, czy tak?

— O, przepraszam — wtrąciła się Berta. — Nie zbajerujesz Wargacza. On dobrze wie, że lovitt nie skoczy lovittowi do gardła. To zresztą jego zasługa — dodała z przechwałką. — Przedtem, to fakt, musieliśmy chodzić brygadami, ale teraz? Sam powiedz, Wargacz, teraz to już się nie zdarza... Chyba że trafi się jakiś temporysta, no to my go wtedy... — przerwała, bo dostrzegła, że wszyscy się w nią wpatrują. — Znaczy, my go wtedy... Wargacz, powiedz coś, bo już sama nie wiem, co nawijać. — Zamilkła.

— Czy ty naprawdę myślisz, że powinniśmy siedzieć z założonymi rękami? — ciągnęła dalej Alma; — Czy sądzisz, Ira, że nie ma żadnego wyjścia?

— Jest — odparł, odstawiając pusty kubek. — Jest wyjście, ale wymaga czasu.

— Co masz na myśli? — zapytał Długi. — Chcesz czekać, aż to się samo rozpadnie?

— Nie. — Ira po raz pierwszy uśmiechnął się. — To się samo nie rozpadnie. Potrzebny jest żywioł społeczny, który to rozkruszy. Jest w naszym społeczeństwie taki żywioł, tylko jeszcze śpi.

— Kogo masz na myśli? — zapytał po raz wtóry Długi.

— Ich. — Ira wskazał na Bertę, która na ten widok cofnęła się pod ścianę.

— Lovittów? — zapytała z niedowierzaniem Matylda.

— Tak, lovittów. Tylko w nich drzemie dostateczna siła, ale oni nie dorośli jeszcze do tego, aby stać się panami własnego losu. Gdyby ruszyli już teraz, byłoby to straszne, tak jak straszna jest każda rewolucja bez moralności. Byłaby to jatka, wszechobejmujące zawody, w których uczestniczyć musiałby każdy, wy też, nawet gdybyście tego nie chcieli. Każdy musiałby się stać myśliwym, aby nie być tylko zwierzyną łowną. To byłoby straszne, stokroć straszniejsze niż likwidacja Strefy, bo nie byłoby miejsca, gdzie można by się schronić. Nikt nie mógłby powiedzieć, że to jego nie dotyczy. To byłoby straszne — powtórzył i potrząsnął głową. — Oni muszą dojrzeć, muszą dorosnąć, muszą odkryć transcendencję, która utrzyma ów żywioł w ryzach. Do tego potrzebny jest niekwestionowany autorytet, któremu będą ufać bez zastrzeżeń, bo jest on z innego świata, z innego porządku... Tylko wtedy ma to sens. W przeciwnym razie rozpętałyby się żywioły — straszny, ślepy, pozbawiony hamulców moralnych. Zapanowałyby chaos, z którego po jakimś czasie wykształciłby się porządek, ale nie wiem, czy byłby on lepszy od dzisiejszego. Przeciwnie — myślę, że byłby gorszy. Świat ukształtowany na modłę dzisiejszych lovittów. Jesteście sobie w stanie to wyobrazić? Dlatego mówię — jeszcze nie czas. Oni mają przed sobą jeszcze daleką drogę, ale już na nią wkroczyli.

— On mówi jak prorok! On widzi przyszłość! — szepnęła Berta do Matyldy. — Jak prorok... — powtórzyła, po czym szturchnęła Matyldę i zapytała: — Ty, co to jest trans... transen... no, wiesz, o co mi chodzi!

— Transcendencja — poprawiła ją Matylda. — Jak ci to wyjaśnić? To jest przekonanie, że na nas świat się nie kończy, że istnieje ktoś lub coś, co nie mieści się w naszej rzeczywistości, jest ponad nią.

— Kto taki, na przykład?

— Byt absolutny, Bóg.

— Bóg? Co to takiego?

— O czym mówicie? — zainteresował się Ira.

— Tłumaczę Bercie, co to takiego jest transcendencja. Rozumiesz coś z tego, Berto?

— Ja tylko tak... — Zmieszała się i potem spojrzała na nią hardo: — Co to, zapytać już nie wolno?

— Uciszcie się — powiedział Długi. — Słyszę czyjeś kroki. Wszyscy zaczęli nasłuchiwać: istotnie, ktoś szedł ostrożnie, jakby po omacku. Po chwili w drzwiach stanęła młoda dziewczyna. Ładna — oceniła Berta — i ubrana normalniej niż ci tutaj.

— Co się stało, Claire? — zapytał Długi.

— Kręcą się tu jakieś podejrzone typki. Uradziliśmy z Jorgenem, że lepiej, was ostrzec. Może ten spec nie stracił śladu?

— Dziękuję ci, Claire — powiedział Grimaldi. — Wyjdę i rozejrzę się trochę. — Zniknął za drzwiami i po chwili doleciało ich stłumione przekleństwo; widocznie potknął się o zawaaloną belkę.

— Długo jeszcze zamierzacie siedzieć w tej cuchnącej norze? — zapytała Claire.

Alma spojrzała na Wargacza, Matyldę, a potem na Długiego, który dał jej znak, że czas odejść. Odwróciła się w stronę Claire:

— Nie, niedługo — powiedziała. — Właściwie już skończyliśmy. — Claire, której wzrok dopiero teraz przystosował się do panującego w pomieszczeniu półmroku, dostrzegła Bertę i Wargacza.

— Czy to jest ten słynny facet? — zapytała. — Czy naprawdę ten śmieć był kiedyś członkiem Wysokiej Rady, a później zrobił Strefę? To naprawdę on? — Claire nic mogła ukryć zdumienia.

Wargacz wstał i skierował na nią ciężkie, ale pozbawione złości spojrzenie. Pod nieogolonym podbródkiem pulsowała mu nerwowa jakaś żyłka. Jego oczy kontrastowały silnie z resztą twarzy; zdawały się widzieć więcej, niż powinny. Claire poczuła się nie-swojo, ale wytrzymała jego spojrzenie.

— To ty? — zapytała.

— Tak, to ja.

XVI

ZA CZTERY DNI ZAWODY — GORĄCZKA PRZEDSTARTOWA ROŚNIE!

Za cztery dni rozpoczną się coroczne zawody o Wielką Nagrodę Apostezjonu. Już jutro będziemy mieli przedsmak wielkiego sportu: eliminacje dla amatorów, którzy marzą o starcie z zawodowcami. Jak się dowiadujemy, eliminacje zgromadziły rekordową liczbę uczestników; na liście startowej znajduje się przeszło pięćset nazwisk. Może wśród nich jest nowy Valdano „Wielki”, Andre „Drapieżny” lub Daniel „Nieuchwytny”? Jak zwykle, pierwszych dziesięciu na mecie uzyskuje automatycznie status zawodnika i prawo startu w prawdziwych zawodach.

Organizatorzy zapewniają dodatkowe atrakcje: w tym roku po raz pierwszy eliminacje amatorów odbędą się bez ubrań ochronnych, a przebieg wszystkich odcinków specjalnych transmitowany będzie bezpośrednio na Stadion Główny. Wszystkie najważniejsze momenty eliminacji zostaną zarejestrowane i pokazane w ogólnokrajowej sieci telewizyjnej.

Organizatorzy postarali się też o zainstalowanie dodatkowych dystrybutorów, które będą wydawać posiłki i napoje po niższych cenach. Tymczasem zawodnicy odbywają ostatnie treningi i starannie dobierają sprzęt.

Fragment artykułu z Telegazety — wydanie poranne, nr 48/5243 z dnia 17 kwietnia 2044 roku

Uległ namowom tego człowieka i zamienił swoje wygodne ubranie na kombinezon jednorazowego użytku. Na wszelki wypadek kupił jeszcze kilka kompletów i rzucał na tylne siedzenie pojazdu. W tym barwnym stroju czuł się dziwnie i nieswojo. Wyglądał teraz jak przeciętny urzędnik bankowy, konserwator dystrybutorów albo wręcz — inspektor telewizyjny. Musiał jednak przyznać, że Daniel miał rację: jego własne ubranie było zbyt charakterystyczne. Na ekstrawagancję mógł sobie pozwolić jeszcze wczoraj, ale nie teraz, gdy na ekranach wszystkich telewizorów w kraju pojawiła się jego podobizna.

Gdy się rozstali, był nawet zadowolony. Daniel miał dziwny dar przyciągania niebezpieczeństw, a przy tym zdawało się, że lekceważy je zupełnie, jakby stanowiły one nor-

malny składnik życia. Skierował ekwipart w stronę swojego domu. Droga zajęła mu ponad godzinę, bo nocne i poranne wypadki pchnęły go w odległą dzielnicę aglomeracji. Nadłożył też drogi, by ominąć centrum, gdzie mogła się zdarzyć jakaś kontrola.

Zaparkował ekwipart w sporej odległości od domu. Nie było wątpliwości: oni już tu byli i nawet nie kryli swej obecności. Przed domem stał ekwipart patrolowy, a zaraz za nim jakiś drugi pojazd, tym razem cywilny. Przed domem chodził mężczyzna w uniformie, który nosiły Służby Specjalne z Kwatery Głównej. Nordmann dobrze znał te uniformy. Z domu wynoszono przedmioty i ładowano do cywilnego ekwipartu. Nie był zaskoczony tym widokiem, a jednak jakiś instynkt przywiódł go tutaj, jakby dom mógł być w tych czasach schronieniem. Szczególną przykrość sprawił mu widok wyłamanych drzwi. Odczuł to tak, jakby ktoś bezwstydnie grzebał mu po kieszeniach. Dopiero teraz zrozumiał naprawdę, co to znaczy gwałt, mimo iż wielokrotnie opisywał go w swoich książkach: bezsilność, obrzydzenie, ale zarazem jakaś chorobliwa ciekawość, fascynacja, a nawet coś z mrocznego, upokarzającego podniecenia.

Otrząsnął się z tych rozmyślań i zaczął zastanawiać się, co dalej. Stanie tutaj nie miało żadnego sensu. W każdej chwili spece mogli zainteresować się jego ekwipartem. Ucieczka jednak też nie miała żadnego sensu. Wiedział, że może ona zakończyć się tylko w jeden sposób: złapaniem go. Znalazł się w jakimś koszmarnym wirze; został wyjęty spod prawa, choć — był o tym mocno przekonany — niewielu znalazłoby się w Apostezjonie obywateli równie lojalnych jak on. Była to potworna pomyłka, tragiczny splot okoliczności, który wyrzucił go poza nawias zdrowej części społeczeństwa. Poczuł ogarniające go drżenie. Stał się igraszką losu, ciemnych nocy, które sprzysięgły się przeciwko niemu, choć nie miał pojęcia, co mogło te moce wyzwolić. Reakcja pułkownika Vittoliniego wskazywała na to, że oni nic nie wiedzieli o słowaku. Jeśli tak, to dlaczego nikt nie chciał z nim rozmawiać? Nawet Virno, który dzięki jego poparciu zajmował eksponowane stanowisko zastępcy Głównego Ekologa? Dlaczego unieważniono jego przepustkę? I dlaczego odwiedził go Wintage, choć nie miał do niego żadnej konkretnej sprawy?

Musiał coś wiedzieć i przyszedł sprawdzić, czy mnie już zabrali — pomyślał.

Drżenie nasiliło się do tego stopnia, że uświadomił sobie, iż szczęka zębami. Muszę wziąć coś na uspokojenie, bo zupełnie się rozkleję — postanowił i uruchomił pojazd. Ruszył wolno, rozglądając się na boki. Dopiero trzy przecznice dalej znalazł dystrybutor farmaceutyczny. Wrzucił monetę, ale automat wypluł ją po chwili. Widział za szybą pastylki tonizujące, lecz były one niedostępne: dystrybutor był zepsuty. Uderzył pięścią w obłą pokrywę, jednak bez skutku. Bezsilna złość wyparła na moment to nieznośne drżenie, ale po chwili wróciło ono ze zdwojoną siłą. Ruszył dalej. W tej dzielnicy dystrybutory uliczne instalowane były rzadko, mieszkańcy bowiem korzystali ze znacznie lepszych, domowych urządzeń, przypadkowi przechodnie zaś trafiali tutaj jedynie sporadycznie.

Wjechał do następnej dzielnicy i zatrzymał się przy pierwszym napotkanym barze. Drzwi pojazdu zostawił otwarte i wszedł ostrożnie do środka, odwracając twarz od kamery zainstalowanej nad drzwiami. Bar był prawie pusty: przy trzech stolikach siedzieli jacyś ludzie, którzy nie zwrócili na niego żadnej uwagi. Jak zwykle w podrzędnych lokalach, obsługi nie było widać, co Nordmann poczytał za okoliczność sprzyjającą. Podeszedł do najbliższego dystrybutora i wziął koktajl piętasty. Pił wolno, rozkoszując się smakiem gorzkawego płynu. Drzenie ustępowało. Wiszący na przeciwległej ścianie ekran migotał obrazami z jakichś egzotycznych krajów: wykolejone pociągi, rozbite tajfunami domostwa, eksplozje na dworcach lotniczych i zdjęcia porwanych zakładników składały się na znaną do znudzenia mozaikę drugiego świata. Spiker bez cienia emocji wymieniał liczbę zabitych, wysokości okupów, siłę poszczególnych eksplozji i rodzaje użytego sprzętu, jakby odczytywał spis abonentów „Naszego Głosu”. Wiadomości skończyły się wkrótce i na ekranie ukazał się Wintage. Nordmann drgnął. Wintage, patrząc w oko kamery, zaczął mówić: „Dziś w nocy został zdemaskowany podstępny wróg naszego państwa, Wiktor Nordmann. Wszyscy wiemy, o co jest oskarżony. Toczy się intensywne śledztwo, którego ustalenia w stosownym czasie zostaną podane do publicznej wiadomości. Jeśli więc ja, krytyk literacki, który niejednokrotnie w swoich recenzjach wskazywałem, na niepokojące akcenty w pseudotwórczości zdrajcy, zabieram dzisiaj głos, to nie po to, aby roztrząsać kryminalny aspekt sprawy. Chcę poświęcić kilka słów aspektom moralnym postępowania tego przestępcy. Z racji swojego zawodu znałem go dość dobrze, choć jego megalomania, zadufanie, a nade wszystko — jakaś niepokojąca obcość w sposobie bycia, i myślenia, powstrzymywały mnie przed obdarzaniem go pełnym zaufaniem i pozostawianiem z nim w bliższej zażyłości.

Wiktor Nordmann był postacią znaną; korzystał pełnymi garściami z dobrodziejstw naszej wspólnoty. Oto w jakich warunkach żył ten podstępny wąż”. Obraz Wintage’a ustąpił miejsca zdjęciom kręconym w jego domu, zapewne jeszcze w nocy, bo za oknami było czarno. Kamera pokazywała w zbliżeniu umeblowanie salonu. Na stole Nordmann dostrzegł butelkę wódki, opróżnioną do połowy i przewróconą szklankę. Zdumiał się bardzo, dlaczego pokazują w telewizji pijatykę urządzoną u niego w domu przez speców na służbie, ale za chwilę jego zdumienie jeszcze się zwiększyło, gdyż oko kamery zostało zwrócone na ściany, na których wisiały fotografie członków Wysokiej Rady; trzy z nich: Generała, Ekologa i — jeśli dobrze mógł dostrzec z tej odległości — Statystyka były brutalnie przekreślone czerwonymi krechami. Nie miał takich zdjęć w domu, a tym bardziej — nie wieształ ich na ścianach. Tymczasem na ekranie znów pojawił się Wintage: „Oto jak żył Wiktor Nordmann. Czy był sam? To ustalili sumienne śledztwo. Już teraz jednak rysują się pewne zastanawiające zbieżności wydarzeń. Oto w Zakładach Chemicznych numer sześć nastąpiła tajemnicza, lecz groźna w skutkach awaria. Wiadomo już, że dzień przed awarią Nordmann był w rejonie zakładów i z kimś się spotykał”.

Co za bzdura! — chciał krzyknąć, ale w porę pohamował się. Przecież Wintage dobrze wie, że on, Nordmann, nie był nigdy w tym rejonie wyspy. Dopił resztkę koktajlu i patrzył w ekran jak urzeczony. Wintage ciągnął dalej, tym samym solennym, ledwie kryjącym oburzenie głosem:

„Nordmann nie wiedział, że od pewnego czasu jest pod obserwacją. (A jednak! — odetchnął pisarz jakby z poczuciem ulgi. — Więc nie miałem urojeń!) Wśliznął się na najwyższy szczebel naszej wspólnoty i tak był pewny siebie, że drwił z prawa i obowiązujących norm współżycia. A przecież u nas wszyscy, powtarzam — wszyscy są wobec prawa równi. Czy wizyta Nordmanna w rejonie zakładów była turystyczną przejażdżką? Nie bądźmy naiwni, ale wstrzymajmy się z ferowaniem wyroków do czasu zakończenia śledztwa. Fakty bowiem i tylko fakty mogą być podstawą oskarżenia i fakty te są skrupulatnie...” Ekran zamigotał i zgasł. Dopiero teraz Nordmann zauważył, że jeden z siedzących najbliżej ekranu wstał i wyłączył go, mówiąc do swoich kompanów:

— Tyle hałasu o jednego faceta. Załatwiliby go po cichu i po krzyku. Po co denerwować ludzi?

Od stolika usłyszał pomruk aprobaty, a kobieta o wyglądzie fizycznej niewykwalifikowanej, siedząca najbliżej Nordmanna, westchnęła:

— Że też nie ma kary na tych szkodników!

Nordmann podszedł do dystrybutora, nabył całą fiolkę pastylek tonizujących i opuścił bar. Nadal nikt nie zwracał nań uwagi.

Ogarnęło go uczucie dojmującej samotności. Ruszył, programując pojazd na jazdę losową. Nie wiedział, co robić. Zabrakło mu teraz towarzystwa tego energicznego, zdecydowanego mężczyzny, którego obecność rozwiewała z wątpienia. Ale to przecież właśnie Daniel powiedział, że muszą się rozstać. Widocznie bał się przebywania w towarzystwie człowieka wyjętego spod prawa. Ucieczka nie miała sensu, bo nie miał nikogo, kto mógłby mu zapewnić schronienie. Oddanie się w ręce speców też nie miało sensu, łatwo bowiem mógł przewidzieć dalszy ciąg, wobec którego śmierć nie byłaby wcale alternatywą przerażającą. Śmierć, śmierć: bezlica, niecierpliwa pani, która prawie zawsze przychodzi za wcześnie. Wyjść jej naprzeciw — to jedyne sensowne rozwiązanie — pomyślał. — Ale to ja wybiorę miejsce i termin spotkania! Poczul znów coś na kształt ulgi, jak wtedy na balkonie, gdy naszła go myśl, aby przełożyć nogi przez balustradę.

Ekwipart wjeżdżał w najuboższą dzielnicę aglomeracji.

XVII

*Warto było,
Warto było
Dać się chłopu złapać.
Teraz jużem,
Teraz jużem
Gruba jak ta szafa.
Genetyka,
Genetyka
Cosik nie pasuje.
No a bękart,
No a bękart
Życie se fartuje.
Chłopa wzieni.
Chłopa wzieni
Jać została sama.
Ale bachor,
Ale bachor
Woła na mnie mama.*

piosenka z folkloru lovittów, popularna zwłaszcza we wschodniej części aglomeracji

Pułkownik Vittolini prawie w ogóle nie spał tej nocy. A ściślej — nie zasnął już od chwili, gdy z pierwszego snu obudził go Nordmann. Jego autodonos był tak nieoczekiwanym darem losu, że Vittolini zaczął podejrzewać, iż kryje się tu jakaś pułapka. Nie wierzył bowiem w szczęśliwe zbiegi okoliczności. Dlatego wysłał najpierw Trenta. Dopiero, gdy okazało się, że jest tak, jak mówił pisarz, osobiście zajął się tą sprawą. Wprawdzie Nordmann nie stawiał się na umówione spotkanie i Vittolini początkowo sądził, że pisarza obleciał niewczesny strach, ale to nie miało już wielkiego znacze-

nia. Materiał, zapisany w pamięci domowego komputera, wystarczył. Wyciągnął więc Dziennikarza z łóżka i zasugerował mu ogólny kierunek kampanii propagandowej, cytując na poparcie co cenniejsze kawałki z prywatnych zapisków Nordmanna. Kampania miała być wszczęta tuż po pierwszym ogłoszeniu listu gończego i prowadzona aż do odwołania. To była okazja, której Vittolini nie mógł przegapić: Nordmann był dobrym materiałem na ofiarnego kozła.

Do miejsca obecnego zakwaterowania Czarnego Batalionu dotarł dobrze po wschodzie słońca. Tutaj miał otrzymać kolejną, ważną wiadomość. Wszedł do swojej kwatery, pilnowanej przez dwóch chłopców ubranych w charakterystyczne, czarne uniformy bojowe. Niedbałym gestem zwolnił ich z postawy poddania, którą na jego widok służbiście przyjęli, i rzucił się na łóżko. Postanowił zdrzemnąć się, bo fale senności powracały coraz częściej. Sen nie trwał jednak dłużej niż dwie godziny.

Obudził go brzęczyk wideocomu. Włączył tylko fonię. Z głośnika dobył się znajomy, nieco zachrypnięty głos:

— Zadanie numer trzy wykonane.

Vittolini oprzytomniał natychmiast. Teraz już nie było odwrotu: musiał iść naprzód aż do końcowego sukcesu lub ostatecznej klęski.

— Przyjeżdżaj bez zwłoki — rzucił do mikrofonu i rozłączył się. Spojrzał na zegar: dochodziła godzina ósma. Powieki piekły nieznośnie. Wziął prysznic, a potem jeden z koktajli orzeźwiających. Dla pewności wzmocnił koktajl pastylką. Musiał być teraz w dobrej formie.

Znów odezwał się wideocom. Na monitorze pojawiła się zaaferowana twarz Trenta.

— Co tam znowu? — odezwał się opryskliwie Vittolini. — Masz Nordmanna?

— Mam jego ślad. Uciekł z hotelu tuż przed udarem. Z niejakim Danielem Laroque'em. Sprawdzamy, kto to taki. Rzekomo była jeszcze z nimi jakaś dziewczyna, ale i to sprawdzimy.

— Po kolei, Trent. Po kolei. Co to za udar?

— Działko udarowe, kaliber UX 500, zogniskowane na pokój tego Laroque'a.

— UX 500? — upewnił się.

— Tak jest!

— I Nordmann był w tym pokoju?

— Tego jeszcze nie wiem. W każdym razie wynajmował sąsiedni pokój pod przybranym nazwiskiem.

— Chcę mieć Nordmanna, rozumiecie, sierżancie?

— Tak jest.

— To na pewno było działko UX 500? — upewnił się raz jeszcze Vittolini.

— Nie ma najmniejszych wątpliwości — odparł bez wahania Trent. — Wszystko szczegółowo przedstawię w raporcie.

— Wstrzymajcie się na razie z raportem, Trent — powiedział niecierpliwie.
— Napiszecie go, jak będziecie mieli Nordmanna. To teraz najważniejsze, jasne?

— Ale regulamin...

— Do aida z regulaminem! — wybuchnął Vittolini. — Macie słuchać rozkazów i nie mędrkować!

— Tak jest — powiedział Trent, ale w jego głosie nie było już tej służbistej werwy, z jaką funkcjonariusze odkrzykiwali te dwa proste słowa swoim przełożonym.

Vittolini rozłączył się i sięgnął po nie dopitą szklankę koktajlu. Meldunek Trenta wzbudził w nim podejrzenie. Działko udarowe było na wyposażeniu podległych mu służb, ale też dysponowały nim siły zbrojne. Czyżby ktoś chciał sprzątnąć Nordmanna, zanim ten przyzna się do winy? Czyżby ktoś jeszcze włączył się do gry? Odkąd Wysoka Rada oddała pod jego rozkazy Czarny Batalion, poczuł się pewniej. Było trochę dyskusji, jak zwykle wśród tych starców, ale przecież Vittolini był jedynym kandydatem, który mógłby — po śmierci Generała — poprowadzić Czarny Batalion. Coraz częstsze dezercje żołnierzy ze skażonej strefy postawiły pod znakiem zapytania zaufanie do sił zbrojnych. Ktoś musiał ich pilnować, zwłaszcza że dezercerzy opuszczali szeregi z bronią, która mogła narobić sporo szkód.

Z raportów, które regularnie docierały do pułkownika Vittoliniego, wyłaniał się jeszcze mglisty, lecz już dość alarmujący obraz. Plotka o tym, że coś się stało z niektórymi ekspertami, rozeszła się szeroko: przeniknęła już warstwę kierowniczą i nie było wątpliwości, że wkrótce dotrze do warstwy wykonawców, a stamtąd już tylko krok do temporystów i lovittów. Strefy skażonej nie udało się całkowicie izolować; uciekinierzy szerzyli fantastyczne pogłoski o setkach tysięcy zabitych. Nie była to prawda, do tej pory bowiem awaria pochłonęła tylko sto trzy osoby, ale musiał przyznać w duchu, że jej rozmiary przeszły wszelkie przewidywania. Miał być mały tajemniczy fajerwerk, a zrobiła się z tego katastrofa, której owocem była panika, wzmagana pogłoskami. Odporność wojska na te pogłoski malała z każdym dniem, zwłaszcza że trujący gaz ciągle się ulatniał, maski zaś będące w dotychczasowym użyciu nie spełniały swojego zadania. Doszło do tego, że nawet dwóch funkcjonariuszy z Czarnego Batalionu, a więc chłopców przetestowanych na wszystkie możliwe sposoby, nie wytrzymało nerwowo. Przyłapano ich na braniu z dystrybutora cywilnych kombinezonów. Vittolini kazał ich przykładowo zlikwidować, co na jakiś czas uspokoiło sytuację, ale dobrego wrażenia zostawić nie mogło. Próba dezercji z Czarnego Batalionu! Tego nie zanotowała jeszcze historia tej formacji.

Do Vittoliniego dochodziły też informacje o dużym ożywieniu wśród temporystów, a nawet lovittów. Ta ostatnia kategoria była najslabiej spenetrowana, niewielu bowiem tylko tebeków wytrzymało styl życia tych nędzników. Nie było nawet jasne, jakich tam mają prowodyrów. W raportach przewijały się dziwaczne przezwiska: „Ryży”, „Żyleta”, „Wargacz”, „Hrabia”, ale tak naprawdę nie udało się zidentyfikować żadnego z nich.

Spojrzał na zegarek: było dziesięć minut po godzinie dziewiątej. Powinien już tu być! — pomyślał z niecierpliwością. Od tego, czy wykonał zadanie bez zarzutu, zależało właściwie wszystko. Czekanie było zbyt irytujące. Wyszedł przed dom i skierował się w stronę kwater Batalionu. Przenośne, udaroodporne segmenty były rozrzucone na niewielkiej, lecz dobrze strzeżonej przestrzeni. Każdy segment był wyposażony we własne źródło zasilania, regenerację powietrza, zapasy żywności i wody na trzy miesiące. Mógł być umieszczony na dnie morza, wysoko w górach, w płonącym lesie, w bryle lodu, bez zauważalnych zmian dla jego mieszkańców. Był to sprzęt kosztowny, toteż z rzadka wykorzystywany w gospodarce cywilnej. Stanowił on bowiem podstawowe wyposażenie Czarnego Batalionu i Brygady Specjalnej, działającej poza granicami Apostezjonu.

Vittolini z prawdziwą przyjemnością patrzył na te estetyczne konstrukcje, teraz rozhermetyzowane i nie wykorzystujące nawet dziesiątej części swoich możliwości. Chłopcy, którzy akurat nie mieli służby, na jego widok przyjmowali postawę poddania. Prowadziły go ponure, uważne spojrzenia. Vittolini wiedział dlaczego. Przejął Czarny Batalion kilkadziesiąt godzin temu. Jego bystre, profesjonalne oko dostrzegło oznaki pewnego rozluźnienia dyscypliny, co zapewne było skutkiem kilkuletniego nieróbstwa. Same ćwiczenia, nawet najbardziej intensywne, nie mogą zastąpić prawdziwej akcji bojowej. Toteż natychmiast ujął Batalion w karby. Zlikwidował połowę centrum integracyjne i przepędził zawodówki. Nie lubił kobiet, drażniła go ich obcość. Wiedział, że są potrzebne, bo bez nich niemożliwa byłaby odnowa pokoleń, ale sam wolał męskie towarzystwo. Nigdy nie wystąpił o przyznanie mu licencji prokreacyjnej, choć mógłby mieć ich dowolnie dużo. Mierziła go myśl o biologicznym współnictwie z kobietą. Ale przecież nie dlatego zlikwidował połowę centrum integracyjne. Głównym powodem była chęć wzmocnienia dyscypliny w podległej mu jednostce, żywioł kobiety zaś wprowadzał do ideału porządku — jego ideału — niepotrzebny, a chyba nawet niebezpieczny pierwiastek anarchii. Toteż teraz, obserwując smukłe sylwetki chłopców, prężących się w postawie poddania, czuł, że dokonał właściwego posunięcia. Wkrótce i oni przyjmą jego punkt widzenia, zrozumieją, że mężczyznę potrafi zrozumieć tylko inny mężczyzna. Do tego wystarczy jedna akcja bojowa i kilka lub kilkanaście intymnych, nieformalnych spotkań.

Niebo było pogodne, jak zwykle o tej porze. Lekki wietrzyk muskał wierzchołki drzew; jedynie od czasu do czasu mocniejszy podmuch obejmował je całe i wówczas drzewa wyglądały jakby wstrząsane dreszczem. Podniecenia? Niepokoju? Oczekiwania? Co za bzdury! — skarcił się w duchu i ponownie spojrzał na zegarek. Była dziewiąta trzydzieści. Czas naglił, a przecież nie mógł wykonać następnego ruchu. Teraz musiał czekać, czy jego kalkulacje się sprawdzą. Byłoby niedobrze, gdyby wezwano mnie przed oblicze Wysokiej Rady, zanim dowiem się o wykonaniu trzeciego zadania — pomyślał.

Podszedł wolno do stojącego nieco z boku segmentu magazynowego. Wartownik wyprężył się w postawie poddania, ale on odprawił go niedbałym gestem. Zażył kolejną pastylkę i zajrzał do środka. W półmroku majaczyły zarysy działek udarowych, ustawionych w nienagannym porządku. Były to działka kalibru UX 500, niezawodna broń do walk w mieście. To głównie dzięki nim kilka lat temu zlikwidowano Strefę. Bez trudu, higienicznie i sprawnie. Zlikwidowano bez śladu. Któż dziś pamięta Strefę? Zwłaszcza od czasu, gdy zaczęto organizować coroczne zawody. To był jeden z nielicznych, naprawdę dobrych pomysłów tej grupki starców, którzy w innych przypadkach mieli zwyczaj komplikowania spraw najprostszyc. Tak, starcy się zużyli. Kraj dojrzał do zmiany, zasługuje na zmianę. Kraj wymaga terapii, wstrząsu, który obudziłby go ze sklerotycznego letargu i porwał do nowych zadań. Otrząsnął się z tych myśli i ponownie spojrzął na równe rzędy działek. Takie właśnie działko przemówiło dziś w nocy pod hotelem. Dlaczego go użyto, jeśli nawet chciano zlikwidować Nordmanna? Przecież pchły nie zabija się nożem; wystarczy paznokieć. A przede wszystkim, kto to zrobił? Czyżby Dziennikarz chodził w grupie, która rozgrywa jakąś własną grę? Bo tylko Dziennikarza poinformował o zeznaniu Nordmanna. W jaki sposób wysledzili go tak szybko, szybciej niż moi ludzie, którzy bądź co bądź znają swój fach?

Rozmyślania przerwały kroki nadchodzącego spieszenie funkcjonariusza..

— Pułkowniku! W kwaterze czeka gość. Mówi, że jest umówiony i że to pilne.

— A tak, tak. — Starał się nadać swojemu głosowi obojętne brzmienie. — Możecie odejść.

— Tak jest! — warknął funkcjonariusz i oddalił się.

Szybko podążył w kierunku swojej kwatery. Gdy wszedł do środka, z fotela zerwał się otyły mężczyzna, ubrany w standardowy cywilny kombinezon. Tuż pod kołnierzem widniała, znana wtajemniczonym, miniaturowa odznaka killera. Nalaną twarz przybysza rozjaśnił uśmiech:

— Wszystko jest tak, jak chciałeś. Henry.

Vittolini ściągnął brwi i powiedział:

— Kiedy mówimy o sprawach służbowych, Max, jestem dla ciebie pułkownikiem Vittolinim. Pamiętaj o tym!

— Ależ, Henry! — Twarz grubasa wyrażała zdziwienie. — Przecież jesteśmy sami!

— Tylko ja wiem, kiedy jesteśmy sami. Jasne?

— Jasne.

— Jeszcze jedno. Ktoś dziś w nocy użył działka udarowego UX 500.

— Już wiesz? — zapytał zaskoczony i zaraz poprawił się: — Pułkowniku Vittolini...

— To ty? — zapytał zdumiony. Grubas w milczeniu skinął głową.

— Czyje wykonujesz rozkazy?

— Wasze, pułkowniku, tylko wasze.

— Czy ja wydałem ci rozkaz zlikwidowania Nordmanna?

— Jakiego Nordmanna? — Grubas oniemiał na chwilę i wodził wzrokiem za chodzącym po pokoju Vittolinim. — Tego Nordmanna z rady? Nic nie rozumiem.

— Pytam po raz ostatni i dobrze się zastanów, zanim odpowiesz. To sprawa poważna. Drugi raz nie będę pytał, sam dojdę prawdy. Więc?

— Co więc?

— Kto kazał ci zlikwidować Nordmanna i dlaczego użyłeś w tym celu tego cholernego działka?! — wybuchnął.

— Ależ ja nie mam pojęcia, gdzie jest Nordmann. — Grubas był najwyraźniej oszłomiony. Otarł chusteczką pot z czoła i z karku. — Chciałem załatwić tego, co mi pod barem pokieroszował ludzi. Dobrych ludzi. Fachowców. Nie mogłem mu tego przepuścić, a przecież do świtu miałem wolny czas. Sam powiedziałeś... Znaczący, sami powiedzieliście, pułkownik, żebym się zdrzemnął przed wykonaniem trzeciego zadania. Więc wziąłem działko z magazynku i tego... — urwał i dodał ciszej, jak uczeń wyznający swoją winę i czekający przebaczenia: — Załatwiłem go.

— Nie załatwiłeś, partaczu! — Vittoliniemu zaczął wracać dobry humor. — Uciekł ci, a razem z nim ten przeklęty Nordmann. Jeśli tak samo wykonałeś mój rozkaz...

— O nie, pułkowniku! — przerwał mu grubas ponuro. — To zadanie wykonałem osobiście. Służba to służba, tu nie ma żartów ani prywatnych porachunków.

— Oczekałeś do końca?

— Nie było potrzeby. Ten środek jest niezawodny.

— Tak, wiem — przeciął. — Masz te materiały?

— Tak. — Wyciągnął z kieszeni dyskietkę i położył na stole.

— Sprawdziłeś, czy nic zostało coś w pamięci? — zapytał Vittolini, wkładając dyskietkę do podręcznego komputera.

— Na wszelki wypadek wymazałem wszystko, co tam było.

— Powinienem udzielić ci nagany za tę awanturę pod hotelem — powiedział uruchamiając komputer. — Ale spisałeś się dobrze. — Podszedł do niego i pogłodził go po policzku.

Ekran zaczął wyświetlać rzędy obliczeń statystycznych.

XVIII

Człowiek skazany jest na niewolę. Trawestując dawnego pisarza można powiedzieć, że niewola — to inni. Jeśli nie zniewoli nas drugi człowiek, to zniewoli idea, którą sami sobie wymyślimy. Jesteśmy niewolnikami, ale stajemy się nimi w pełni dopiero wtedy, gdy sobie uświadomimy wszystkie konieczne pęta. Życie stadne — to niewola, życie bez innych zaś — o paradoksie! — to najcięższa kara, to droga do szaleństwa. Jestem niewolnikiem, by nie być obłąkanym.

z „Dziennika prywatnego Wiktora Nordmanna”, materiał nie publikowany. Archiwum Główne Służb Specjalnych, sygnatura AG/1786/29

Daniel był już po rozgrzewce. Kilka godzin snu dobrze mu zrobiło. Był w wyśmienitej formie, czuł to wyraźnie. Stał u wejścia do hali, w której symulowany był tor przeszkód. Gdzieś wysoko na trybunach siedziała samotna Candy, u której zdołał odepścić przeżycia minionej nocy. Siedziała tutaj, mimo że powinna być na uniwersytecie. Najważniejsze jednak było to, że odprawiła tego chłopaka i anulowała licencję na dziecko.

Machinalnie rozluźnił wszystkie mięśnie, sprawdził kilkakrotnie różne sposoby wyjmowania noża i oddychał głęboko. Teraz koncentracja. Z wprawą odgonił wszystkie uboczne myśli kołaczące mu pod czaszką. Przymknął oczy; nadchodziło znajome, wewnętrzne uciszenie. Teraz już nie liczyło się nic poza torem przeszkód. Dał znak obsłudze. Był gotów do ostrego treningu.

Matowa zasłona zaczęła drgać, rozwiewać się, aż wkrótce zniknęła zupełnie. Przed nim rozciągał się widok pofałdowanego, gęsto zalesionego terenu. Padające niemal prostopadle promienie słoneczne z trudem docierały do bujnego poszycia. Gdzieś niedaleko musiał płynąć strumyk. Daniel bowiem usłyszał leniwe szemranie wody. Obraz był tak realistyczny, iż trudno było uwierzyć, że prawie wszystko jest tutaj holograficzną iluzją. Realne były jedynie wybrzuszenia i rozpadliny w podłodze oraz rowy z wodą, ukształtowane losowo przez komputer.

Uruchomił stoper i zbliżył się wolno do wejścia. Skoro tylko przekroczył bramkę, poczuł, że dzieje się coś niedobrego. Nim zrozumiał, jego ciało wykonało półobrót w powietrzu; plecami sięgnął twardego podłoża i to mu wystarczyło. Podwinął nogi i pociągnięty ich bezwładem wrócił do pozycji stojącej. Przed nim ziała szczelina, na dnie której dostrzegł zaostrome paliki bambusowe. Maskowanie zniknęło bez śladu, co było jedynym widocznym dowodem holograficznej ułudy. Teraz dojrzał strumyk, wijący się wśród krzaków. Kilka z nich miało świeższą zieleń, bardziej soczystą — te ominął z daleka. Tylko amator mógłby się nabrać na tak prymitywne maskowanie ruchomych piasków. Wyciął kilka krzaków i starannie zamaskował szczelinę. Było w tym coś z pantomimy, miraże krzaków bowiem zachowywały się pod ciosami jego noża jak rzeczywiste, a jednak między palcami czuł tylko powietrze. Teraz nie robiło to na nim żadnego wrażenia, lecz pierwsze treningi na holotorze były przeżyciem nie mniejszym niż prawdziwe zawody.

Spojrzał na stoper: pierwsza — dość łatwa przeszkoda zabrała mu niecałe dwie minuty. Miał przed sobą jeszcze pięćdziesiąt osiem minut na dotarcie do mety. Zrobił kilka kroków ledwie widoczną ścieżką. Żwir chrzęścił mu pod stopami, choć czuł wyraźnie, że stąpa po elastycznej, plastikowej gładzi. Przeszedł obok niewielkiego wzgórza, zwieńczonego czupryną gęstych krzewów. Na prawdziwych zawodach wyczułby obecność niebezpieczeństwa, lecz na torze treningowym było to niemożliwe; holograficzne zjawy, w odróżnieniu od żywych organizmów, nie wysyłają impulsów, które mógłby instynktownie rejestrować. Toteż na wszelki wypadek kątem oka obserwował wzgórze. Ścieżka niewielkim łukiem okrążyła część wzniesienia, później oddalała się od niego i niknęła w gąszczu. Opuścił ścieżkę i wdrapał się na czworakach na wzgórze. Jego ruchliwe palce pełniły rolę owadzich czułków, a zarazem była to dogodniejsza pozycja do kontrataku, gdyby okazało się, że zarośnięty szczyt wzgórza kryje jakieś niespodzianki. Dotarł do krzaków bezgłośnie. Gdy je rozchyłał, adrenalina lekko przyspieszyła bicie serca. W środku nie było jednak żadnej przeszkody. Przeczłogał się przez szczyt wzgórza, niby jaszczurka; krzewy były równie nieruchome, jak wówczas, gdy je z dołu obserwował. Wstał ostrożnie i poszukał szczeliny w zaroślach. Teraz już nie miał wątpliwości: w gęstwinie, tuż przy wlocie ścieżki, czatował jakiś myśliwy. Jeszcze nie wiedział o tym, że stał się zwierzyną łowną dla Daniela. Zamaskowany był dość dobrze, ale zasadził się w zbyt typowym miejscu.

Daniel zlustrował uważnie teren i wybrał drogę. Zsunął się bezszelestnie ze wzgórza i zaszedł czatującą sylwetkę od tyłu. Był to muskularny mężczyzna trzymający w pogotowiu pętlę. Daniel wymierzył precyzyjny cios w potylicę, ale w momencie, gdy go zadawał, zarejestrował kątem oka nienaturalny ruch po swojej prawej stronie. Tuż po zadaniu ciosu wykonał unik, zasłaniając się padającym przeciwnikiem. Zrobił to w samą porę, bo gdy poczuł pod plecami twardy grunt, pod prawym barkiem przeciwnika do-

strzegł nóż wbity do pół długości. A więc jest ich dwóch! — przeleciało mu przez głowę. Potoczył się w bok na wypadek, gdyby za nożem miał zjawić się jego właściciel i zerwał się na równe nogi. W kilku skokach był na miejscu, skąd wyleciał nóż, ale nie dostrzegł tam nikogo. Jedynie chwiejące się gałązki wskazywały drogę ucieczki. Spojrzał na stoper: minęło już siedem minut, a jeszcze nie doszedł do pierwszego odcinka specjalnego. Przyspieszył nieco kroku.

Po minucie bez przeszkód dotarł na brzeg małego jeziora. To był pierwszy odcinek specjalny. Wyjął z kieszeni mały kamyk i rzucił go w wodę. Plusnęło i kamyk zniknął. Daniel obserwował uważnie rozchodzące się kolistnie zmarszczki fal. Odnotował w pamięci wszystkie, nawet nieznaczące zakłócenia. W linii prostej miał do przepłynięcia pięćdziesiąt metrów, ale tylko zupełnie niedoświadczony amator popłynąłby prostym torem. Daniel wybrał tor pokrętny, ale omijający wszystkie sztuczne wiry, które — niby przyczajone kobry — czekały na swoje ofiary. Daniel w swojej karierze zawodnika tylko raz został złapany przez wir. Kosztowało go to wtedy mnóstwo punktów, a z życiem uszedł tylko dlatego, że do końca nie stracił zimnej krwi i miał trochę szczęścia. Pozwolił wirowi wsysać się aż do wlotu podwodnej studni; szeroko rozpostartymi rękami i nogami szukał oparcia w obudowie studni. Przekrój studni wynosił wprawdzie dwa metry, ale miałby kolosalnego pecha, gdyby wleciał do niej dokładnie w środku wiru. Tak się oczywiście nie stało i dzięki temu mógł dalej startować w zawodach.

Na środku jeziora wznosiła się przegroda, w której przejście znajdowało się tuż przy dnie, na głębokości siedmiu metrów. Przy tym przejściu organizatorzy zawodów ustawiali zazwyczaj jakąś dodatkową przeszkodę, aby uatrakcyjnić transmisję telewizyjną. Wszak tam właśnie czatowały chłodne oka podwodnych kamer, a publiczność stawiała zakłady, kto i w jakim stylu tę przeszkodę pokona.

Daniel sprawdził, czy nóż dobrze siedzi w pochwie, i skoczył do wody. Płynął szybko i zdecydowanie. Po kilkudziesięciu sekundach zbliżał się już do przegrody, mimo że kluczył i dokonywał nagłych zwrotów. Zaczerpnął dużo powietrza i zanurkował. Przegroda była wyraźnie widoczna w krystalicznej wodzie. Kilkoma energicznymi ruchami zbliżył się do piaszczystego dna. Zielonkawa pomroka zamazywała nieco wizerunek przegrody, lecz Daniel z łatwością dostrzegł przejście. Tuż za nim ustawiona była przeszkoda; tym razem — mechaniczna. Przypominała nieco miniaturową parabolę radioteleskopu. W środku czaszy, ustawionej z lewej strony przejścia, ział dość duży otwór. Daniel rozejrzał się uważnie po dnie. Nie opodal dostrzegł jakiegoś połamane gałęzie. Podpłynął do nich, wybrał dwa duże kawałki na w pół zbutwiałego drewna i ponownie zbliżył się do przejścia. Płuca coraz natarczywiej domagały się powietrza, ale wiedział, że spokojnie wytrzyma co najmniej trzydzieści sekund. Pchnął mocno jeden z kawałków drewna, a zaraz po nim — następny. Gdy tylko pierwszy kawałek minął przegrodę, z czaszy wyskoczyły dwie ruchliwe liny, które oplotły go ciasno i wciągnęły do środka. W trzy sekundy później wyskoczyły ponownie, ale drugi kawałek był już poza ich zasięgiem.

Wypłynął na powierzchnię, zaczerpnął powietrza i znowu zanurkował. Wybrał dość duży kawałek drewna i pchając go przed sobą niby tarczę bez kłopotów pokonał przeszkodę. Gdy wynurzył się po drugiej stronie przegrody, zerknął na siedzącą wysoko na trybunach Candy. Z tej odległości nie mógł rozpoznać wyrazu jej twarzy, ale był niemal pewien, że widzi uśmiech ulgi. Skarcił się w duchu za to niebezpieczne rozpraszanie uwagi i zlustrował uważnie powierzchnię jeziora. Drobne fale, spowodowane jego wynurzeniem, pozwoliły mu wyraźnie zlokalizować wszystkie miejsca, które powinien ominąć. Wytyczył sobie najbezpieczniejszy tor i zaczął szybko płynąć do brzegu. Gdy się doń zbliżał, nie był pewien, czy trafił na twardey grunt. Toteż ostatnie metry pozwolił się nieść wodzie tak długo, aż jego brzuch zaczął szorować po dnie. Wówczas ostrożnie zbadał dno: było twarde.

Spojrzał na stoper. Bawiłem się w wodzie blisko pięć minut — pomyślał z niezadowolaniem. — Jestem dzisiaj wolny. Za wolny.

Zaczął biec.

Do stanowisk strzeleckich dobiegł bez przeszkód. Albo komputer nie zastawił tutaj żadnych pułapek, albo też Daniel szczęśliwym zbiegiem okoliczności nie spotkał się z żadną z nich. Był bowiem w zbyt dużym niedoczasy, aby zachować wszystkie środki ostrożności. Nie przepadał za strzelaniem: na tym odcinku specjalnym zazwyczaj tracił punkty, które później musiał mozolnie odrabiać. Wolał jednak tracić punkty, niż wyeliminować się z gry. Zasady strzelania były okrutnie proste. Każdy zawodnik oddawał trzy serie po dziesięć strzałów każda. Strzelało się ze standardowej, krótkiej broni laserowej do sylwetki człowieka, która pojawiała się na sekundę. W każdej z dziesięciostrzałowych serii dziewięć razy pojawiała się normalna tarcza, a raz lustro, które odbijało promień laserowy i kierowała go na tę część ciała strzelającego zawodnika, która byłaby porażona, gdyby zawodnik stał na miejscu tarczy. Jeśli miało się pecha i celowało się w głowę sylwetki, która akurat okazała się sylwetką lustrzaną — to tak, jakby przystawiało się pistolet sobie do skroni. Pierwsze dziesięć strzałów należało oddać w pełnym świetle dziennym, drugą serię — w półmroku, a trzecią — w ciemnościach nocy. Pierwsza seria była dla wytrawnych zawodników przyjemnością; tylko zupełny nowicjusz mógł nie zauważyć lustra. Druga seria była ekscytującym hazardem. Doświadczeni zawodnicy i tutaj byli lepsi od ślepego trafu, ale wśród ryzykanckich młokosów śmierć — ta surowa egzaminatorka — oblewała wielu dobrze zapowiadających się zawodników. Trzecia seria była w zasadzie czystą loterią; tutaj zdarzały się wypadki najlepszym. W zeszłym roku na tym właśnie odcinku specjalnym wyeliminował się lider klasyfikacji najlepszych Angelo Matta. Jak wykazały przestrzeliny w normalnych tarczach — celował w lewą rękę sylwetki, ale gdy pokazało się lustro, dłoń musiała mu drgnąć, szydło laserowe bowiem przebiło mu serce. Może w ostatnim ułamku sekundy uświadomił sobie, że strzela do siebie? To już nie miało żadnego znaczenia. Któż zresztą dzisiaj pamięta Angela Mattę? Uwaga gawiedzi skierowała się na nowych bohaterów.

Daniel nie lubił strzelania, mimo że w ciemności widział niewiele gorzej niż w świetle. Nikt z zawodników — jeśli wyjąć niektórych początkujących, którzy więcej mieli w sobie z samobójców niż z rasowych zawodników i szybko zresztą się kończyli, przysparzając kłopotów nie tylko sobie, ale i innym — nikt z zawodników nie lubił strzelania, a zwłaszcza ostatniej serii. Dlatego też w gwarze sportowej ten odcinek specjalny nazywano Próbą Ciemności.

Stanowiska strzeleckie, podobnie jak reszta toru, były holograficznym mirażem. Jedynie pistolety i tarcze były prawdziwe. W odróżnieniu jednak od prawdziwych zawodów, ładunek laserowy był na tyle słaby, że nie zabijał, lecz zostawiał tylko ślady oparzelin.

Wziął do ręki pistolet i spojrzał na licznik czasu. Cyfry zmieniały się szybko, zbliżając się do zera. Miał jeszcze piętnaście sekund do rozpoczęcia pierwszej serii strzałów. Znowu miał ochotę odszukać wzrokiem Candy, ale powstrzymał się. Jeszcze dziesięć sekund. Odpędził wszystkie myśli krążące mu po głowie; świat zewnętrzny przestał dla niego istnieć. Jeszcze pięć sekund. Zaczął wolno naprowadzać pistolet na cel. Już! Palec wskazujący ledwie dostrzegalnym ruchem naciskał spust: tak, tak, tak, tak, nie, tak, tak, tak, tak, tak. Wyłowienie tarczy lustrzanej odbyło się właściwie bez udziału świadomości; dopiero po zakończeniu serii uzmysłowił sobie, że była ona tym razem piąta w kolejności. Opuścił pistolet i spojrzał na wynik. Wszystkie strzały ulokował w celu. Zebrał maksymalną liczbę punktów, bo w pierwszej serii zawsze celował w głowę. Ale pierwsza seria była dziecinnie łatwa. Miał minutę przerwy przed rozpoczęciem drugiej serii. Zapadał półmrok. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się przed siebie, aby przystosować wzrok do malejącej ilości światła. W tej serii miał zwyczaj celować w uda lewej nogi. Wprawdzie trafienie w nogę punktowane było niżej, ale za to ewentualny rykoszet nie był tak groźny.

Jeszcze pięć sekund. Naprowadził pistolet na cel: tak, tak, tak, tak, tak, tak, nie, tak, nie. Seria zakończyła się; miał jedno pudło. Wiedział, w którym momencie popełnił błąd, zanim spojrzał na tablicę wyników. Nie wytrzymał nerwowo przy ósmej tarczy. Powstrzymał się od strzału, a tymczasem tarcza lustrzana pojawiła się dopiero jako dziesiąta. To była najgorsza z sekwencji tarcz. Już po piątym strzale prawdopodobieństwo ukazania się tarczy lustrzanej tak gwałtownie rosło, że wielu zawodników instynktownie powstrzymywało się od strzału i traciło punkty.

Teraz miał przed sobą trzy minuty przerwy. Światło powoli rozpraszało się i już po minucie zapanowała ciemność. Nie była to jednak ciemność nieprzenikniona. Nad stanowiskami strzeleckimi utrzymywała się blada poświata, emitująca tyle mniej więcej fotonów, co rozgwieżdżone niebo. Koncentrował się z szeroko otwartymi oczyma. Jeszcze pięć sekund. Dłoń znieruchomiła, a pistolet był naprowadzony na cel. Świetliste igły lasera dźgały ciemność w regularnych odstępach: tak, tak, tak, tak (poczuł piekące ude-

rzenie w udo i natychmiast przeniósł celownik w to miejsce, gdzie majaczyła głowa sylwetki), tak, tak, tak, tak, tak, tak. Trafił w lustrzaną tarczę! Nie zdarzyło mu się to od roku. Gdyby stało się to na zawodach, prawdopodobnie byłby wyeliminowany z dalszej gry. Ciemności ustępowały. Odłożył pistolet i spojrzał na swoje uda. Piętnaście centymetrów powyżej kolana widniał ledwie dostrzegalny znak, mała dziurka, jak po wyrwanym gwoździu. Poruszył nogą; była w pełni sprawna.

Drugi odcinek specjalny miał już za sobą.

XIX

Kupię stare wideokasety z filmami z XX wieku, mogą być nawet w złym stanie. Sprzedam unikalny zbiór monet z drugiej połowy XX wieku. Poważne oferty pod: SAGA 903.

ogłoszenie drobne z Telegazety — wydanie wieczorne, nr 49/5244 z dnia 18 kwietnia 2044 roku

Ulica była niezbyt szeroka, zabudowana gęsto po obu stronach. Budynki, na ogół niskie — trzy lub czteropiętrowe, wyglądały na opuszczone. Przeczył temu jednak fakt, iż kręciło się tu sporo ludzi, a z wnętrza domów dochodziły odgłosy ożywionego, można by nawet powiedzieć — hałaśliwego życia. Po zaśmieconych chodnikach i jezdni biegały stadka rozwrzeszczanych dzieciaków. Domostwa były stare i zupełnie nie konserwowane. Ich konstrukcja, dziś już zupełnie zarzucona, wyraźnie odbiegała od typowej architektury aglomeracji. Drzwi frontowe znajdowały się na wysokim parterze i połączone były z chodnikiem szerokimi, na ogół kamiennymi schodami. Poniżej poziomu ulicy mieściły się sutereny; niektóre opuszczone, inne — zamieszkane, o czym świadczyły szyby w oknach.

Było późne popołudnie. Słońce wisiało jeszcze wysoko nad horyzontem, ale upał znacznie zelżał. W niektórych zakamarkach ulicy pojawiły się już pierwsze parki nastolatków, co było najlepszym dowodem, iż wieczór jest niedaleko. Od czasu do czasu jakieś stadko dzieci odkrywało parkę, otaczało ją i w niemym zainteresowaniu obserwoowało tak długo, dopóki nie zostało spłoszone w inny rejon ulicy. Pojawiły się też pierwsze grupy dziewcząt i chłopców, przygotowujące się do wyruszenia na wieczorne łowy w inne dzielnice aglomeracji. Przy stojącym na chodniku wraku dystrybutora spożywczego dłubał jakiś chłopiec, choć każde dziecko wiedziało, że od niepamiętnych czasów pozostała z tego urządzenia jedynie obudowa.

Na schodach wielu domostw siedziały kobiety w różnym wieku. Te, które były same, przypatrywały się życiu, toczącemu się na ulicy. Inne, w grupkach, rajcowały zżywieniem. Mężczyzn nie było jeszcze widać, ale od czasu do czasu z wnętrza domów dochodziły ich soczyste przekleństwa, kierowane najczęściej pod adresem hałasującej dzieciarni. Widocznie była to pora, w której mężczyźni zwyczajowo ucinali sobie poobiednią drzemkę.

Jedna z grupek gwarzących kobiet różniła się od innych. Była najliczniejsza i zwiększała się z każdą chwilą. Była to grupka mniej hałaśliwa niż inne: nie przekrzykiwano się, nie było słycać przekleństw. Przeciwnie — mówiono tam głosami ściszonymi, jakby powierzano sobie jakieś sekrety. Co chwila przystawał ktoś nowy i włączał się w ciasny krąg słuchaczy. Od czasu do czasu zebrani wybuchali krótkim, nerwowym śmiechem, który gasł jednak szybko pod wpływem gniewnych posykiwań innych. Grupka otaczała siedzącą na schodach Bertę, która mówiła coś niezbyt donośnym głosem. Żeby dobrze słyszeć, trzeba było przepchać się do pierwszego szeregu otaczających ją kobiet. Toteż od czasu do czasu obrzeża grupki falowały pod naporem tych, które chciałyby podejść bliżej, ale wobec zdecydowanego oporu pierwszego kręgu, kobiety zastygały nieruchomo, tylko te stojące najdalej wyciągały szyje, aby lepiej słyszeć.

Niebawem dołączyły dzieci, zaintrygowane niecodziennym zachowaniem się tego zgromadzenia. Zaczęły przepychać się między nogami stojących kobiet i nie bacząc na kuksańce i ciche przekleństwa, wkrótce otoczyły Bertę ciasnym wianuszkim. Ostatnie szeregi zaczęły napierać ze zdwojonym wigorem, teraz bowiem już prawie nic nie można było tutaj usłyszeć. Krucha równowaga grupy załamała się. Kłótnie i swary do reszty zagłuszyły słowa Berty, a kilka kobiet na obrzeżu rozpoczęło zwykłą bijatykę. Przez narastającą wrzawę, która przyciągnęła resztę kobiet z ulicy, a nawet wywabiła z domów kilkunastu mężczyzn, przebił się czyjś silny głos:

— Berta! Wejdz wyżej i nawijaj wszystko od początku! Byle głośno!

— Tak! Tak! — odezwały się liczne głosy. Inne — widocznie należące do nowo przybyłych — również przebijały się przez malejącą wrzawę:

— Co tu się dzieje? O czym ona mówi?

Mężczyźni, którzy nadciągnęli ostatni, uspokoili kubłami zimnej wody kilka bijących się kobiet. Zapanował pełen wyczekiwania spokój.

Berta wdrapała się na taras. Teraz wszyscy mogli ją widzieć, ona zaś — speszona tak dużym zbiegowiskiem — zaczęła mówić jeszcze ciszej niż poprzednio.

— Głośniej! Głośniej! — odezwały się nerwowe okrzyki z ostatnich rzędów.

— ...i powiedział wtedy — ciągnęła Berta głośniej — że mamy na niego czekać, że on na pewno przyjdzie, a może jest już wśród nas, jeno nie potrafimy go rozpoznać.

Ostatnie rzędy znowu zafalowały. Podniosły się okrzyki:

— O kim ona mówi? Od początku. Berta! Od początku, durna babo! Berta dostrzegła w tłumie mężczyznę, który nazwał ją durną babą i wrzasnęła w jego kierunku:

— Ty wieczny zwisie! Nawet palantem nie mogę cię nazwać, bo byłaby to obraza dla prawdziwych mężczyzn!

Odpowiedział jej chóralny śmiech. Nabrała pewności siebie i zaczęła mówić donośnie i wyraźnie:

— Nawijam o Wargaczu. Kto z nas go nie zna? Wszyscy go znają. Wiem, kim był Wargacz, zanim stał się jednym z nas. On był — zawiesiła na chwilę głos, a wszyscy z zapartym tchem czekali na to, co powie dalej — on był najpotężniejszym ekspertem Apostezjonu.

Napięcie rozładowało się w szczerym, z trzewi płynącym śmiechu. Jeden z wyrostków wskoczył na balustradę schodów i zapiał:

— A ja jestem szefem speców!

Nowy wybuch śmiechu zmieszał się z psykaniem tych kobiet, które już poprzednio wysłuchały opowieści Berty. Z pierwszych kręgów dały się słyszeć okrzyki:

— Zamknijcie mordy! Spokój! Weźcie tego błazna!

Ktoś ściągnął wyrostka z balustrady, ktoś inny powstrzymał Bertę przed zejściem ze schodów.

— Jesteście głupcy! — krzyknęła Berta, gdy tłumek trochę się uspokoił. — Głupcy! Wargacz miał rację, że musi minąć jeszcze dużo czasu, zanim będzie wam można powiedzieć prawdę. Dlatego był jednym z was, a przecież był kim innym. Dziś w nocy dowiedziałam się takich rzeczy, że mogłabym, mogłabym wam tydzień mówić i tak byście nic z tego nie pokapowali. Wargacz miał rację, a nie ci cholerni przybysze! Jeszcze nie czas, jeszcze nie czas... — Zaczęła schodzić na dół, aby wmieszać się w tłum, ale wtedy stanął obok niej barczysty mężczyzna, znany wśród lovittów jako Szczotka (prawdopodobnie ze względu na kształt starannie pielęgnowanej fryzury, choć nikt dokładnie nie wiedział, skąd się to przezwisko wzięło) i przytrzymał ją za łokieć.

— Jeśli coś wiesz, to nawijaj! Wszyscy chcemy wiedzieć — powiedział głośno, tak żeby wszyscy go słyszeli, a potem dodał szeptem: — Chyba że to tajemnica, to powiedz mi gdzieś na boku, co?

Berta wyswobodziła się z jego uchwytu i syknęła:

— Odwal się, gnojku, bo ci oczy wydrapię!

Tymczasem z tłumu rozległy się okrzyki:

— Chcemy wiedzieć. Berta! Nawijaj! Daj mu w pysk, Berta! Mów! Szczotka poprawił i tak nienaganną fryzurę i przemówił raczej do zgromadzonych pod schodami niż do Berty:

— Powiedz nam, co wiesz, bo wszyscy chcemy wiedzieć, choćby nawet wyglądało, że wstawiasz bajery. Ale jeśli chcesz nas nabić w tubkę, to dostaniesz wycisk i nawet ten twój Wargacz ci nie pomoże. Czy nie tak?

— Tak! Tak! Nawijaj! — odpowiedziały głosy z tłumu. — Co to za przybysze? Może spece? Gdzie jest Wargacz? Czy go zwinęli?

Berta popatrzyła na rozgorączkowane twarze i milczała przez chwilę, czekając, aż tłum się uspokoi. Potem zaczęła mówić niezbyt głośno, ale wyraźnie:

— Wszystko, co wam mówię, jest szczerą prawdą. To jest dziwna prawda, ja sama nie wszystko z niej kapuję. Śmiałam się dziś w nocy tak samo, jak wy przed chwilą. Ale teraz już się nie śmieję. Nadchodzi czas zamętu. Człowiek będzie się bał człowieka. Powietrze będzie zabijać, i woda, i ziemia. Ale potem cały Apostezjon będzie należał do lovittów. Niektórzy z nas padną, lecz ci, którzy przeżyją, żyć będą szczęśliwie. Nadejdzie On. Nikt go nie rozpozna. Będzie lovittem, tak jak my. Przez wszystkich wzgardzony i wyśmiany, będzie jak kamyczek, który rusza lawinę. Pójdziemy za nim wszyscy, choć Go już nic będzie. Pójdziemy za nim, bo On nam pokaże drogę do wolności i szczęścia. Nikt Go nie rozpozna i nikt — nawet Wargacz — nie wie, kiedy On przyjdzie. Może już jest wśród nas? Chociaż nie. Chyba nie... Wargacz mówił, że jeszcze nie czas, bo brak nam czegoś... czegoś... Nie wiem, jak to nazwać. Wargacz by wiedział. On wie prawie wszystko; nie wie tylko, kiedy nadejdzie nasz czas. Ale nadejdzie na pewno! Gotujcie się lovitci! Może to będzie jutro, a może za dziesięć lat. Bądźcie gotowi!

— Co z Wargaczem?! — krzyknął ktoś z tłumu. — Dlaczego go tutaj nie ma?

— Jest z tymi, którzy go znali, gdy był kim innym — powiedziała głośno. — Jest z przybyszami. — Nie chciała użyć słowa „temporyści”, bo to byłoby zbyt dużo jak na wytrzymałość jej skołowanych słuchaczy. — Oni, ci przybysze, kombinują, żeby Wargacz do nich wrócił.

Szczotka znów pojawił się przed Bertą. Teraz już cała ulica zgromadziła się wokół schodów, na których stała Berta. Nawet parki nastolatków opuściły swoje zakamarki i wmieszały się w tłum. Szczotka był teraz jeszcze bardziej elegancki niż poprzednio. Miał na sobie różową, z lekka tylko przetartą na rękawach marynarkę, na szVi fantazyjnie zawiązany różowy szalik, a z ucha zwisał mu duży, plastikowy kolczyk tego samego koloru. Szczotka był znany z tego, że zwracał uwagę nie tylko na fryzurę, lecz również na ubiór. Widocznie zdążył wpaść do domu i przebrać się do ponownego publicznego wystąpienia. Stał teraz przed Bertą bardziej pewny siebie niż poprzednio.

— Powiedz nam, Berta, kto to są ci przybysze? Czy to przypadkiem nie spece? — Starł się nadać swojemu głosowi wytworne tony.

— Zgłupiałeś? — zaperzyła się Berta. — Nie znam ich, ale to wiem, że oni namawiają Wargacza, żeby im powiedział, jak dać specom wycisk. Oni są git ludzie, tylko trochę dziwni.

— Wargacz ma im powiedzieć, jak załatwić speców?

— Tak, mówiłam przecież. Wargacz wie prawie wszystko. On był kiedyś najpotężniejszy w Apostezjonie.

Tym razem już nikt się nie śmiał. Nawet podrostki w milczeniu czekały, co Berta im powie.

Ona tymczasem ciągnęła dalej:

— A teraz jest jednym z nas. Jest lovitem. To on przewidział i przepowiedział naszą przyszłość. Dziś w nocy. Słyszałam na własne uszy. Niech mnie aids poźre, jeśli to nieprawda. Oni, ci przybysze, przyszli po niego. Chcieli go zabrać. Mówili, że tylko on może być szefem, bo jest najmądrzejszy. A wiecie, co on im na to? O, takiego! — wymownym gestem zilustrowała odpowiedź Wargacza. — Tylko my, lovitci, jesteśmy prawdziwą siłą, powiada. A ja stałam się jednym z nich, powiada, żeby im pomóc to wykapować. Nie opuszczę ich, powiada, aż nadejdzie czas, aż się ockniemy. Że niby lovitt jest jak ten facet, co zarobił blachę w czoło i leży jak drewno. Ale przecież minie trochę czasu, to wstanie, potrząśnie łbem, rozejrzy się i zacznie kumać, co się dzieje.

— Jeśli ten twój Wargacz taki cwaniak — przerwał jej Szczotka — to dlaczego od razu nie powie nam, jak załatwić tych wszystkich wszarzy? Na co tu czekać? Aż nam dupy zwiędną?

— Nic nie rozumiesz, Szczotka. Ja też nie wszystko załapuję. Ale przecież tak sobie kombinuję, że jeśli ja bym wszystko rozumiała i nawet ty, Szczotka, to czym Wargacz byłby mądrzejszy od najgłupszego z lovittów?

Odpowiedział jej chóralny śmiech, a bliżej stojące wyrostki poszturchiwały opędzającego się Szczotkę, aż wreszcie zmusiły go do zejścia z tarasu i wmieszania się w tłum. Zapanował wesoły nastrój. Któryś z mężczyzn przyniósł wódkę i zaraz w jego ślady popieszyło kilku innych. Nie wiadomo skąd zjawiały się puszki żywnościowe — zapewne kradzione, bo ich znaki identyfikacyjne były starannie zdrapane. Butelki zaczęły krążyć: najpierw wśród mężczyzn, a potem wśród kobiet. Resztki dopijały małolaty. Kobiety zaczęły dzielić żywność wedle hierarchii, odpędzając kuksańcami napraszające się bachory. Ktoś zaintonował piosenkę, ale został szybko uciszony, bo Berta, posiliwszy się nieco, znowu zaczęła mówić.

Od tłumy odłączył jeden lovitt i zaczął spieszenie się oddalać. Nikt nie zwrócił na to uwagi.

XX

Ktoś — nie pamiętam kto, a nie chce mi się sprawdzać — dokonał następującej klasyfikacji powieści: są powieści z zakończeniem szczęśliwym i nieszczęśliwym. Te dobre mają na ogół zakończenie nieszczęśliwe. Jeśli jest to powieść o miłości — to kończy się rozstaniem, a jeśli o nienawiści — to spotkaniem. Według tej klasyfikacji moje powieści są złe, ale to na szczęście tylko intelektualna igraszka.

z „Dziennika prywatnego Wiktora Nordmanna”, materiał niepublikowany. Archiwum Główne Służb Specjalnych, sygnatura AG/1786/29

— To był wypadek, Trent. To był wypadek, rozumiecie? — Vittolini spieszył się, zgodnie z oczekiwaniami bowiem wezwano go przed oblicze Wysokiej Rady. Spóźnienie mogło być odczytane jako nietakt lub — co gorsza — zmienić nastawienie tych starców i pokrzyżować precyzyjne plany. Na takie niedbalstwo nie mógł sobie pozwolić, ale nie mógł też dopuścić, żeby Trent opisał w swoim raporcie rzeczywisty przebieg wypadków w hotelu. Musiałby poinformować o tym ekspertów i zaczęłyby się niepotrzebne pytania. — Wywalił dystrybutor, czy coś takiego. Zresztą — spojrzał na stojącego w postawie poddania Trenta — wy lepiej będziecie wiedzieć, co tam wymyślić.

— Ależ pułkowniku! Regulamin nie przewiduje...

— Co wy mi tu wyjeżdżacie z regulaminem! — wybuchnął Vittolini. — Sytuacja jest szczególna, a sprawa ma wagę państwową. Zróbcie tak, jak wam powiedziałem. To rozkaz!

— Tak jest!

— Czy macie już Nordmanna?

— Jeszcze nie, ale jesteśmy już na jego tropie.

— Co wiecie o powiązaniach Nordmanna z tą dwójką, no — wiecie, o kogo chodzi.

— Tak, wiem. — Trent zerknął do notatek. — To Daniel III, zawodnik. Ma startować w najbliższych zawodach. Dużej klasy zawodnik. A ta dziewczyna — to studentka. Oboje nie notowani. Z rysopisów wynika, że Daniel może być tym facetem, który narozrabiał przed barem, a ta dziewczyna — jego zakładniczką. Nie wiemy, co ich łączy z Nordmannem, ale sprawdzimy to.

— Jak tam z dyscypliną wśród naszych podwładnych? — zapytał Vittolini znienacka.

— Dyscyplina? — Trent spojrział na niego zaskoczony. Czyżby do Vittoliniego doszła jakaś poufna informacja na temat jego oddziału? Nie przypominał sobie nic takiego, co mogłoby — nawet przy tendencyjnym nastawieniu — być uznane za uchybienie regulaminowi. Chyba że doszły go plotki o podglądaniu Gimnastyczki. A może chodzi o to, że zdrzemnął się dziś rano na służbie? Nie, to bzdury! Spojrzął więc Vittoliniemu prosto w oczy i powiedział: — Dyscyplina jest bez zarzutu.

— To dobrze, to dobrze... — rzekł nieuważnie Vittolini. — Trzeba zamknąć sprawę tego wypadku w hotelu. Chcę mieć wasz raport za godzinę z takim właśnie wnioskiem. Są jakieś pytania?

— Tak. Zgodnie z regulaminem mam prawo, pułkowniku, prosić was o danie mi takiego rozkazu na piśmie.

— Jakiego rozkazu?

— No, w sprawie treści raportu o wypadku w hotelu — wybąkał.

— Czy wyście, Trent, zwariowali? — Vittolini spojrział na niego zdumiony. — Wiecie, że mam kłopot z izolowaniem skażonego rejonu wokół tych cholernych zakładów chemicznych. Czy mam was tam posłać? Będziecie mieli trochę czasu, aby przemyśleć niektóre sprawy, a zwłaszcza waszą lojalność wobec przełożonych. Chcecie tego?

Trent milczał przestraszony. Vittolini dostrzegł, że jego słowa wywarły pożądany skutek:

— Czy rozumiecie wszystkie swoje zadania? — zapytał już spokojnym głosem.

— Tak jest!

— Odmaszerować!

Trent wykonał przepisowy zwrot i wyszedł z pomieszczenia. Vittolini spojrzął na zegarek i uruchomił wideocom.

— Czy wirolot jest gotowy?

— W każdej chwili może ruszyć — odparł flegmatycznie funkcjonariusz. Choć monitor był mały, to jednak można było bez trudu zauważyć, że jest w pełnym rynsztunku bojowym.

— Co z transportowcem?

— Silniki rozgrzane.

— Dobrze. Biercie tylko pierwszą kompanię i ruszajcie w dziesięć minut po moim odlocie. Czy wszystko jest jasne?

— Tak jest!

Vittolini rozłączył się i zażył pastylkę tonizującą. Czekająca go trudna rozgrywka. Jeszcze nigdy tak wiele nie zależało od jego zimnej krwi, przebiegłości i tego, czy wszystkie jego kalkulacje okażą się trafne i złożą się na przewidywany wynik. Na waha nie było już za późno. Sprawdził obezwładniacz, schował go do kabury, a drugi, mniej szysy, na wszelki wypadek wpuścił do obszernej kieszeni spodni.

Lot zabrał mu niecałe dziesięć minut. Poleciał adiutantowi utrzymywać wirolot w stałej gotowości startowej i wysiadł. Z lądowiska, umieszczonego na dachu Pałacu Centralnego, rozciągał się wspaniały widok na aglomerację, lecz Vittolini od razu skierował się ku windzie. Klucz cyfrowy zostawił w zamku windy, co było wbrew regulaminowi. Nie oznaczało to jednak, że ma odciętą drogę powrotu, gdyż miał zapasowy klucz cyfrowy, który otwierał wszystkie drzwi Pałacu Centralnego. To było już drugie odstępstwo od regulaminu.

Przed wejściem do sali posiedzeń spojrzął na zegarek. Do godziny piętnastej brakowało kilku sekund, a więc przybył na czas. Eksperci odprowadzali go wzrokiem na miejsce dla zaproszonych gości; jedni spoglądali na niego z przychylnością, inni — z niechęcią, jeszcze inni z chłodną obojętnością. Pułkownik Vittolini był jednak zbyt zaabsorbowany swoimi myślami, by zwracać uwagę na te spojrzenia. Mimo zażycia pastylki tonizującej, czuł wzrastające napięcie. Wytarł dyskretnie zwilgotniałe wnętrza dłoni i sprawdził, czy obezwładniacze są na miejscu. Nie zabrano mu służbowej broni, a więc starcy nadal nie podejrzewali, że lawina już ruszyła. Generał, gdyby żył, z pewnością nie dopuściłby do tego. Jego psi instynkt prawie nieomylnie wykrywał każde niebezpieczeństwo. Nie ostrzegł go jednak przed niebezpieczeństwem najbardziej brzemienne w skutki. Obraz tamtej nocnej wizyty w prywatnym apartamencie Generała, wizyty, którą złożył mógł tylko on, pułkownik Vittolini, tylko on bowiem miał dostęp do Generała o każdej porze doby, stanął mu teraz wyraźnie przed oczyma. Szmer rozsuwających się drzwi do sypialni, przytłumiony odgłos własnych kroków, gdy podchodził do łóżka, spojrzenie Generała znad jakichś raportów, które przeglądał przed zaśnięciem, najpierw nieuważne, a potem szybko tężejące w trwodze, w miarę tego jak uświadamiał sobie, że oto nadeszły ostatnie sekundy jego życia. Wszystko to przebiegło mu przez myśl. Odczekał chwilę nad sztywniejącym ciałem, aby upewnić się, że zastrzyk zadziałał, a potem wyszedł. Wiedział, że do rana nikt nie będzie Generała niepokoił, a wstrzyknięty środek ulotni się bez śladu.

Wzdrygnął się i odpędził te natrętne wspomnienia. Przewodniczący zapowiedział kolejny punkt porządku dziennego: debatę nad obsadzeniem wakujących stanowisk. Zaproponował, aby o stanowisku Statystyka decyzję podjąć później, a dziś powierzyć tymczasowo pełnienie obowiązków urzędującemu zastępcy, który i tak te obowiązki od rana pełni. Ponieważ nie było innych wniosków, eksperci jednomyślnie zaaprobowali tę decyzję. Równie szybko załatwiono sprawę powołania nowego Ekologa. Z sali padła kandydatura niejakiego Trondwalda. Wobec braku kontrkandydatów — przeszła jednomyślnie.

Zgodnie z przyjętym zwyczajem, nowo mianowany ekspert wygłaszał swoje przemówienie programowe. Z ław zaproszonych gości zerwał się drobny mężczyzna o suchej, pociągłej twarzy. W drodze na trybunę towarzyszyły mu umiarkowane, kurtuazyj-

ne oklaski, na które odpowiadał lekkimi skinieniami głowy. Z tyłu na ciemieniu prześwitywała łysina, którą raz po raz starał się przykryć kędzierzawymi włosami. Vittolini spojrział ukradkiem na zegarek. Powinni już być na stanowiskach wyjściowych — pomyślał. Trondwald czytał swoje przemówienie niedobrze, zacinając się i źle rozkładając akcenty. Widocznie nie zdążył zapoznać się z tekstem przed swoim wystąpieniem. Mówił o środkach zaradczych, które podejmie, aby opanować skażenie chemiczne, a także o inwestycjach dla ochrony środowiska. Przemówienie to niczym nie różniło się od wystąpień poprzedniego Ekologa. Jedyna różnica polegała na tym, że Trondwald nic nie wiedział o tym, kto naprawdę spowodował awarię i — w konsekwencji — rozległe skażenie.

Przewodniczący oznajmił, że do obsadzenia jest jeszcze jeden wakat: Szefa Służb Specjalnych, po czym rozejrzał się po sali i zapytał:

— Czy są jakieś kandydatury?

Ktoś z sali krzyknął:

— Niech Nemecek poprowadzi ten resort, dopóki sytuacja nie wyklaruje się!

— Nie dostrzegłem wnioskodawcy — rzekł przewodniczący. — Proszę wnioskodawcę o powtórzenie propozycji. — Rozejrzał się po sali, ale nikt nie powtórzył tego wniosku. Zaległo przykre milczenie, eksperci bowiem byli przekonani, że kandydatura na to stanowisko już została uzgodniona, a nikt nie chciał niewczesnym wnioskiem narażać się przysłemu Szefowi Służb Specjalnych. Vittolini poczuł, że robi mu się gorąco. Znow ukradkiem przetarł dłonie. Nie rozumiał tego przedłużającego się milczenia. Czyżby ci starcy w ostatniej chwili zorientowali się, o co toczy się gra? Nie, to niemożliwe! Gdyby tak było, Nemecek nie zadzwoniłby i nie składał mu oferty objęcia tego stanowiska, oferty, która była logicznym dopełnieniem zaistniałej sytuacji, zwłaszcza po oddaniu mu pod komendę Czarnego Batalionu. Nie byłoby gratulacji od Fizjologa, Socjopatologa i Genetyka. Ściągnąć go tu mogli pod byle jakim pretekstem; nie musieliby grać takiej komedii. Zerknął na Nemecka, a ten odwzajemnił mu się ciężkim, chłodnym spojrzeniem, po czym wstał ociężale i zaczął mówić:

— Jako przewodniczący Podkomisji do Spraw Ochrony i Bezpieczeństwa zgłaszam kandydaturę pułkownika Vittoliniego. Jego kompetencji zawodowych nic muszę nasświetlać, bo wszyscy je znamy. Proponuję, aby powierzyć pułkownikowi Vittolinemu stanowisko Szefa na trzy miesiące próbne, a jeśli po tym okresie Wysoka Rada nie wniesie sprzeciwu, wówczas automatycznie pułkownik Vittolini obejmie to stanowisko w trybie bezterminowym. — Nemecek skończył i usiadł nic patrząc w stronę Vittoliniego.

— Czy są inne kandydatury? — zapytał przewodniczący.

Nic było innych wniosków i kandydatura Vittoliniego przeszła jednogłośnie.

— Gratuluję panu, kolego — powiedział przewodniczący. — Od tej chwili jest pan legalnym zwierzchnikiem Służb Specjalnych Apostezjonu, a zarazem — członkiem Wysokiej Rady. Na razie na trzy miesiące, ale mam nadzieję, że po ich upływie — bezterminowo. Zgodnie z procedurą informacja o pańskim wyborze jest obecnie przesyłana do Kwatery Głównej Służb Specjalnych i do wszystkich urzędów centralnych. Jeszcze raz gratuluję, kolego, i proszę o zabranie głosu.

Ostatnie słowa przewodniczącego poderwały Vittoliniego z miejsca. Ruszył pośpiesznie w kierunku trybuny, słuchając skąpych oklasków, ale po chwili opanował się i zwolnił. Teraz miał już wszystkie atuty w ręku. Depesza o jego nominacji, którą sekretarz zebrania wysłał przed chwilą, była ostatnią wiadomością, jaka mogła opuścić to zgromadzenie bez jego wiedzy. Łączność między Pałacem Centralnym a resztą świata została przerwana.

— Szanowni koledzy! — Odchrząknął, żeby nadać głosowi czyste, zdecydowane brzmienie. — Dziękuję za zaufanie i przyrzekam, że tego zaufania nie zawiodę. Rozumiem, że wybraliście mnie, abym położył kres chaosowi, wkradającemu się do naszego kraju. — Tu i ówdzie odezwały się pojedyncze oklaski, ale zaraz ucichły, — A sytuacja, w tym gronie mogę to powiedzieć, jest poważna. Chwieje się gmach państwa, pękają podstawowe spoiwa jego konstrukcji. Liczba ludzi marginesu rośnie w zaskakującym tempie, mnożą się dezercje. Nawet w naszym gronie znaleźli się zdrajcy. Czyż można mieć pewność, że Nordmann był wypadkiem odosobnionym? Naiwne byłoby przekonanie, że działał on w pojedynkę. Poszlaki wskazują raczej na to, że udało nam się trafić na trop niezwykle groźnej, szeroko zakrojonej akcji, skierowanej przeciwko naszemu państwu. Czy nie zastanawia szanownych kolegów interesująca zbieżność różnych wydarzeń?

Ktoś z sali krzyknął:

— Jaśniej, jaśniej! Do czego pan zmierza, pułkowniku?

— Dobrze — odpowiedział. — Będę mówił jaśniej. Oto na kilka dni przed zawodami wydarza się tragiczna w skutkach awaria. Zasięg skażenia jest tak szeroki, że do izolowania terenu trzeba oddelegować wojsko. Część żołnierzy, znaczna część — dodał z naciskiem — nie wytrzymuje próby. Mnożą się dezercje, którym z największym trudem kładzie kres Czarny Batalion. Doszło do tego, że nawet w tej elitarnej jednostce wykryłem próbę dezercji.

Na sali zapanowało poruszenie. Vittolini odczekał chwilę i mówił dalej:

— Przykładnie ukarałem dezertersów i w tej chwili podległa mi jednostka jest w pełnej sprawności operacyjnej. Ale poważnie niepokoi mnie sytuacja w siłach zbrojnych. Niepokoi mnie też niezwykle poruszenie wśród ludności, a zwłaszcza wśród temporystów i lovittów, którzy są stale zasilani przez zdemoralizowany element z rejonu skażenia. Niepokoi mnie również brak zdecydowania Wysokiej Rady. Kraj potrzebuje zde-

cydowanego kierownictwa i szczególnych środków, sytuacja bowiem jest szczególna. W przeciwnym razie grozi nam katastrofa, niewyobrażalna katastrofa, która doprowadzić może do całkowitej ruiny to, co przez tyle lat i z takim mozołem budowaliśmy. Z docierających do mnie raportów wynika, że uczciwi obywatele Apostezjonu nie rozumieją naszej bezczynności, oburza ich krzywda i niesprawiedliwość, tolerowanie lovitów i groźniejszych nawet, bo wichrzycielskich temporystów. Ludzie pytają, jak to jest możliwe, aby w takim państwie jak nasze istniały bezkarnie takie ogromne, zdemoralizowane grupy ludności. Wysoka Rado! Krajowi potrzebne są działania, które należy natychmiast podjąć, jeśli pragnie się w porę zażegnać niebezpieczeństwo. Jestem gotów służyć tej sprawie, jestem gotów zaprowadzić porządek w możliwie krótkim czasie, jeśli Wysoka Rada wyposaży mnie przejściowo w odpowiednie pełnomocnictwa.

Na sali znowu zapanowało poruszenie. Tym razem jednak nie przeszło od razu, lecz przeciwnie — narastało, niby szum nadchodzącej fali morskiej. Przewodniczący ocknął się, zastukał energicznie w stojącą przed nim szklankę i zwrócił się do Vittoliniego:

— Jesteśmy wszyscy ciekawi, kolego, jakie pełnomocnictwa ma pan na myśli?

Vittolini nabrał powietrza w płuca i rzekł twardo:

— Nie żądam niczego ponadto, co jest absolutnie niezbędne do zaprowadzenia porządku. Skoro tylko wykonam nałożone na mnie obowiązki, natychmiast oddam się do dyspozycji Wysokiej Rady. Ale zanim to nastąpi, poproszę o połączenie Służb Specjalnych i wojska pod jednym dowództwem, o zawieszenie działalności ciał kolegialnych, z Wysoką Radą na czele, i przekazanie kompetencji odpowiednim szczeblom dowodzenia oraz o odwołanie zawodów.

Szum na sali przerodził się w gwar, a potem zamieszanie jeszcze bardziej wzrosło. Niektórzy eksperci klaskali z aprobatą, inni — i tych było więcej — gniewnymi okrzykami wyrażali swój protest. Przewodniczący z najwyższym trudem opanował salę i zapytał:

— Nie jest zupełnie jasne, kogo pan, kolego, ma na myśli mówiąc o jednym dowództwie. Kto miałby być tym dowódcą?

— Ja.

— Czy zdaje pan sobie sprawę, że żąda pan pełni władzy?

— Tak — odparł spokojnie Vittolini. — Czynię to z pełną świadomością ciężarów, jakie na siebie przyjmuję, powodowany troską o dobro naszej wspólnej sprawy.

Na moment na sali zapanowała cisza, ale zaraz gwar wybuchnął z nową siłą. O głos poprosił Politolog i nie czekając na pozwolenie przewodniczącego, zaczął mówić:

— Kraj nasz znajduje się na krawędzi katastrofy. Nawet w tym gronie byli zdrajcy. Czy możemy mieć pewność, że Nordmann to odosobniony przypadek? Nie! Takiej pewności mieć nie możemy. Głosuję za propozycją pułkownika Vittoliniego i tak głosować powinien każdy, kto jest szczerze przejęty misją ratowania Apostezjonu, każdy,

kto dla tego najważniejszego celu jest zdolny odłożyć na bok swoje prywatne ambicje. Zgłaszam dodatkowy wniosek, aby Wysoka Rada, dopóki nie przekaże swych kompetencji koledze Vittoliniemu, awansowała go na generała, co nada właściwą powagę jego trudnemu przedsięwzięciu.

Politolog usiadł, Vittolini zaś stał na mównicy i uważnie lustrował salę. Gwar zamarł; jedynie tu i ówdzie słychać było gorączkowe szepty. Przewodniczący chrząknął i powiedział:

— Wniosek kolegi Politologa został zarejestrowany. Czy są inne wnioski?

Na sali zapadło ciężkie milczenie. Nawet szepty ucichły.

— Czy są inne wnioski? — powtórzył przewodniczący, a głos lekko mu się załamał.

— Proszę o głos! — Profesor Nemeček wstał ociężale i, unikając wzrokiem Vittoliniego, zaczął mówić: — Przemówienie kolegi Vittoliniego zaskoczyło nas wszystkich...

Ktoś z tyłu krzyknął:

— Mów za siebie!

Nemeček odwrócił się, ale nie dostrzegł autora okrzyku. Zwrócił się więc ponownie w kierunku przewodniczącego i poprawił się:

— Przemówienie kolegi Vittoliniego zaskoczyło mnie, ale, jak słyszę, nie wszystkich członków Wysokiej Rady. Tym gorzej, bo oznacza to — zawiesił głos i długo ważył słowa — że jedność Wysokiej Rady została naruszona. A przecież owa jedność to fundament politycznej stabilizacji Apostezjonu...

— Do rzeczy! — krzyknął ktoś z tyłu sali i zaraz dołączył do niego drugi głos: — Wnioski, wnioski!

Nemeček przełknął pastylkę tonizującą, czuł bowiem narastającą irytację.

— Uważaj! — syknął ostrzegawczo siedzący obok Marten.

Nemeček jednak puścił tę uwagę mimo uszu. Pastylka nie zaczęła jeszcze działać, ale nie mógł dłużej czekać; na sali narastał gwar.

— Dobrze — rzekł z determinacją. — Przejdę wobec tego do rzeczy. Jesteśmy tu we własnym gronie i nie ma potrzeby udawać, że nie wiemy, co się dzieje. Trzech naszych kolegów zmarło w ciągu niemal kilku godzin. Statystyczne prawdopodobieństwo takiej koincydencji jest bliskie zeru. Katastrofa w zakładach chemicznych, która pociągnęła za sobą wiele ofiar śmiertelnych i zburzyła porządek publiczny — to drugi fakt. Nagłe oskarżenie kolegi Nordmanna o najcięższe zbrodnie — to fakt trzeci. Do kompletu brakowało tylko męża opatrnościowego, który sprawnie i szybko zaprowadzi porządek. Ale teraz stanął przed nami ów mąż — Nemeček spojrzał surowo na Vittoliniego — i zaoferował swoje usługi.

— Czy sugeruje pan, kolego — przerwał mu Vittolini — że ja jestem sprawcą, wszystkich nieszczęść?

— Niczego nie sugeruję! Sprawców powinno wykryć bezstronne śledztwo. Proponuję wezwać kolegę Nordmanna przed oblicze Wysokiej Rady. Jeśli bowiem został on oskarżony niesłusznie, to prawdziwi sprawcy unikną kary. A przy tym — dodał ciszej — chodzi przecież o zwykłą sprawiedliwość.

— Miejsce, pobytu Nordmanna jest nieznane — powiedział twardo Vittolini.
— Trwają intensywne poszukiwania. Dysponuję niezbitymi dowodami...

— Niech mi pan nie przerywa, pułkowniku — rzekł z naciskiem Nemecek.
— Jestem ciągle pańskim zwierzchnikiem z upoważnienia Wysokiej Rady. — Powiódł wzrokiem po sali i ciągnął dalej: — Pańskie propozycje zmierzają do zmiany systemu władzy w Apostezjonie. Jako wnioskodawca pańskiej kandydatury wycofuję swój wniosek i proponuję, aby do czasu pełnego wyświetlenia wszystkich tajemnic nie obsadzać stanowiska Szefa Służb Specjalnych Apostezjonu. — Kątem oka dostrzegł, że Vittolini mówi coś do wideocomu, więc szybko dodał: — Zgłaszam także formalnie wniosek o zawieszenie pułkownika Vittoliniego w czynnościach służbowych i umieszczenie w areszcie domowym do czasu wyjaśnienia wszystkich okoliczności ostatnich wydarzeń. Proszę o natychmiastowe głosowanie nad moim wnioskiem i wezwanie straży pałacowej. Postawmy kropkę nad i. Pułkownik Vittolini podjął próbę zamachu stanu.

— To nie była próba, kolego Nemecek — powiedział twardo Vittolini. Drzwi otworzyły się z hałasem i na salę obrad wkroczyła kompania Czarnego Batalionu w pełnym rynsztunku bojowym. Żołnierze w milczeniu zajęli miejsca pod ścianami i znieruchomieli w postawie poddania.

XXI

W ostatnich dniach daje się zauważyć niedostateczna podaż leku o nazwie Fitolax. Osoby cierpiące na dolegliwości wątroby biegają bezskutecznie od dystrybutora do dystrybutora. Czyżby znowu zawiniła czyjaś indolencja? Zwracamy się do kompetentnych czynników o zbadanie tej sprawy i wyciągnięcie konsekwencji wobec winnych zaniedbań. A tymczasem zalecamy ograniczenie spożycia koktajli, które bez osłony Fitolaxu źle działają na chorą wątrobę. Pijmy więc wodę, która nie ma żadnych skutków ubocznych, zwłaszcza jeśli jest to woda nitrowana.

fragment artykułu interwencyjnego z dziennika „Nasz Głos”, nr 103/10842 z dnia 15 kwietnia 2044 roku

Z przyjemnością pławił się w ciepłej wodzie. Była to pierwsza od ponad roku kąpiel. Gdy teraz zastanawiał się, dlaczego właściwie zgodził się z nimi pójść, to uświadomił sobie, że być może zadecydowała o tym właśnie, możliwość wzięcia porządnej kąpieli. Rozśmieszyła go ta myśl. Zaczął starannie szorować całe ciało. Na koniec nabrał powietrza w płuca, zatkał nos i zanurzył się w mętnej już wodzie. Potem opłukał ciało pod chłodnym prysznicem i wyskoczył z wanny. Włączył suszarkę i przyglądał się sceptycznie swojemu odbiciu w lustrze. Skórę miał jeszcze jędrną i gładką. Jedynie na twarzy wi-dać było ślady przebywania wśród lovittów: duże worki pod oczami, blizna nad prawą brwią, głębokie bruzdy zmarszczek wokół ust i na czole oraz kilkuniedniowy zarost, w którym dostrzegł sporo siwizny. Tak, twarz jego była znacznie starsza niż reszta ciała.

Włożył kombinezon jednorazowego użytku, przygotowany zapobiegliwie przez Almę. Jego własne ubranie suszyło się w sąsiednim pomieszczeniu. Nie pozwolił go wyrzucić, gdyż nie mógł pokazać się wśród lovittów w standardowym kombinezonie. Przyglądził zmierzwione włosy i przejechał ręką po policzku. Powinienem się ogolić — pomyślał, ale w zasięgu wzroku nie dostrzegł maszynki do golenia. Była to łazienka używana przez kobietę, zapewne przez Almę. Stał przez chwilę niezdecydowany i wtedy usłyszał delikatne pukanie.

— Tak?! — krzyknął w stronę drzwi.

— Czy wszystko w porządku? — usłyszał głos Almy.

— Tak — odparł. — Możesz wejść.

— Pospiesz się — powiedziała otwierając drzwi. — Śniadanie stygnie.

— Chciałbym się ogolić, ale nie zabrałem swojej maszynki. Zresztą i tak nic nadawała się już do użytku — roześmiał się.

— Długi zostawił gdzieś tutaj krem do golenia — zaczęła szukać w szufladkach małej stojącej szafki. — O, jest! — podała mu tubkę. Wycisnął sporą porcję kremu i przykrył nim zarost. W zetknięciu z powietrzem krem spenił się i nabrał śnieżnobiałej barwy.

— Jesteś teraz z Długim? — zapytał od niechcienia, przyglądając się uważnie swojemu odbiciu w lustrze.

— Czy czekanie na ciebie miało jakiś sens? — odpowiedziała pytaniem.

— Nie — odparł. — Oboje wiemy, że to nie miało sensu. Jestem skazany na samotność.

— Sam tego chcesz, Ira. Ufam, że wiesz, co robisz.

— Tak, masz rację. Dobrze ci z nim?

— Będziemy mieli dziecko. — Poglądziła się po brzuchu. — To już czwarty miesiąc.

— Gratuluję. A Matyllda?

— Jest z Grimaldim. To dobry człowiek, choć nieco impulsywny. Sprzecząją się często, ale chyba się kochają. Znosi się też na trwałe związki, choć... — zawiesiła głos i roześmiała się. — Zaczynam plotkować, a tam stygnie śniadanie. Pospiesz się, Ira, czekamy na ciebie.

Splukał pianę, spod której wyłoniły się gładkie policzki.

— Czy moje ubranie już wyschło? — zapytał wycierając twarz.

— Jest jeszcze wilgotne, ale po śniadaniu będziesz mógł je włożyć.

— A torba?

— Nikt jej nie ruszał — uspokoiła go. — Stoi w kącie i czeka. Chodź już wreszcie!

— Trudno cię poznać, Albercie! — zawołała Matyllda, gdy weszli do pokoju i zaraz dodała: — Wiem, nie lubisz tego imienia, ale teraz właśnie najbardziej przypominasz dawnego Alberta Wardensona.

— Było — minęło! — rzekł ze sztuczną wesołością Grimaldi. — Chyba nie zamierzasz wspominać przeszłości?

— Skąd ci to przyszło do głowy, głuptasie? — Matyllda roześmiała się. — Chyba nie jesteś zazdrosny?

— Co za bzdury! — obruszył się.

— Powiedziałaś mu już? — zapytał Długi.

— Nie, jeszcze nie — odparła Alma.

— To co tak długo robiłaś w łazience?

— Drugi zazdrośnik! — stwierdziła Alma. — Uważaj, Ira, bo naraziłeś się tym panom, a oni są bardzo pamiętliwi.

— O czym Alma miała mi powiedzieć? — zapytał czujnie Ira.

— Dzieje się coś dziwnego — powiedział Długi.

— To już słyszałem.

— Popatrz — wskazał na duży ekran telewizora, zawieszony na ścianie. Głos był wyłączony, a na ekranie widać było orkiestrę grającą muzykę klasyczną. Długi przerzucił kanały; na wszystkich był identyczny przekaz. Włączył telegazetę. Zamiast zwykłych rządków liter, tu i ówdzie przetkanych krzykliwym tytułem, na ekranie pojawił się duży napis: „List gończy”, a pęd nim zdjęcie starszego mężczyzny w staromodnych okularach.

— Włącz fonię — rzekł prędko Ira, przełykając nieuważnie jedzenie.

Długi wykonał polecenie i z głośnika popłynął słodki głos spikerki: „...poważne przestępstwa. Widziano go ostatnio w towarzystwie Daniela Laroque’a (na ekranie pojawiło się zdjęcie młodego przystojnego mężczyzny), znanego zawodnika, oraz Candidy Moreno (obok zdjęcia młodego mężczyzny pojawiła się fotografia równie młodej kobiety, patrzącej zalotnie w obiektyw), studentki tutejszego uniwersytetu. Ktokolwiek widziałby podejrzanego Wiktora Nordmanna lub którąkolwiek z towarzyszących mu osób zobowiązany jest do...” Długi wyłączył fonię i zaczęli jeść w milczeniu...

— Czy chodzi o tego znanego Nordmanna? — zapytał Ira.

— Tak — potwierdziła Alma. — Chodzi o tego pisarza. Musiał im nieźle zajść za skórę, skoro poszukują go z takim hałasem. Za tobą nie rozesłali przecież żadnych listów gończych.

— Bo nie byłem dla nich groźny. Moje poprzednie wcielenie zostało kompletnie usunięte z pamięci.

— Co nie znaczy, że przestali cię szukać — zauważyła Matylda.

— Co o tym wszystkim myślisz? — zapytał Grimaldi.

— Nie wiem — zaczął ostrożnie. — Coś niewątpliwie się stało. Ci muzycy w czarnych garniturach kojarzą mi się ze śmiercią. A co pokazują w telewizji satelitarnej?

— Mówią o jakichś ruchach wojsk, o możliwości odwołania zawodów, o prawdopodobieństwie daleko posuniętych zmian w Radzie Ekspertów. Ale sami niewiele wiedzą. Są to tylko przypuszczenia.

— Ludzie mówią, że katastrofa tego zakładu chemicznego pociągnęła za sobą wiele ofiar śmiertelnych — wtrąciła milcząca do tej pory Claire. — Może to dlatego?

— Nie sądzę — Ira potrząsnął głową. — Wygląda na to, że umarł ktoś ważny. I jeśli tego jeszcze nie ogłosili, to znaczy, że walka o jego miejsce ciągle trwa.

— Powiedziałeś, że ktoś ważny mógł umrzeć — powiedział wolno Długi. — A może... został zabity? Dlaczego tak wściekle szukają Nordmanna? Może chciał zrobić to, co ty zamierzałeś, tylko udało mu się uniknąć sali operacyjnej profesora Martena?

— Jest to bardzo prawdopodobne — stwierdził Ira — ale pewności nie ma.

— Nigdy nie będziemy mieć pewności — wtrącił opryskliwie Grimaldi. — Jaką masz pewność, że uda ci się zrobić ludzi z lovittów?

— Żadnej — spokojnie odrzekł Ira. — Ale tylko oni stwarzają nadzieję na trwałą zmianę. Najpierw jednak sami muszą się zmienić.

— Najpierw trzeba zmienić warunki, które prowadzą do takiej degeneracji — rzekł Długi.

— Nie wracajmy do tej dyskusji — wtrąciła szybko Alma.

— Jak chcesz — Ira zgodził się bez przekonania.

— W każdym bądź razie musimy odszukać tego Nordmanna; on potrzebuje pomocy — powiedziała Matylda.

— Może jeszcze coś zjesz? — zapytała troskliwie Alma. — To są wyłącznie naturalne produkty.

— Wiem, Dziękuję. Almo, ale już nie jestem głodny — Ira spojrzał na nią ciepło.

— Czy myślisz, że moje ubranie już wyschło?

— Zaraz sprawdzę — Alma wstała i wyszła.

— Mieliliśmy rację, że coś się szykuje — powiedział zaczepnie Grimaldi. — Teraz już chyba nic masz wątpliwości, że trzeba działać?

— Mam i nic na to nie poradzę. Chcecie powtórzyć Strefę, ale to już nie wystarczy. Trzeba patrzeć dalej. Coś niewątpliwie się dzieje, ale to mogą być wewnętrzne rozgrywki wśród Ekspertów. Nic lekceważcie ich. Oni mają nie tylko siłę, ale i najwyższe wskaźniki inteligencji, a także brak skrupułów.

— Co nam mogą zrobić? — nie ustępował Grimaldi. — Wszystkich nie posadzą ani nie zabiją.

— Byliby głupcami, gdyby próbowali to zrobić, a przecież głupcami nie są. Wystarczy, jeśli napuszczą lovittów na was. Widzieliście Bertę. Inni są podobni do niej i jest ich dużo, dużo więcej niż was.

— Dlaczego więc do tej pory eksperci nie spuścili lovittów ze smyczy?

— Nie wiem. — Spojrzał ciężko na Grimaldiego. — Przypuszczam, że wy, temporyści, jesteście tolerowani dlatego, żeby lovitci mieli kogo nienawidzić. Jesteście ich naturalnymi przeciwnikami, bo też żyjecie na marginesie, bo zajmujecie tę samą niszę społeczną.

— A kim ty jesteś, Ira? — zapytała Matylda ze smutkiem.

— Nikim — odparł i dopił zimną już herbatę.

— Masz tu swoje ubranie — powiedziała Alma podając mu odzież ułożoną w schludną kostkę. — Naprawdę chcesz, chodzić w tych łachmanach?

— Przyzwyczailem się. Dziękuję ci, Almo. Dziękuję wam wszystkim. Ta kąpiel dobrze mi zrobiła; czuję się młodszy i silniejszy. Co zamierzacie zrobić?

— Życ — powiedziała Alma. — Patrzeć, co się dzieje, i trwać. Przecież kiedyś nazywano nas trwaczami, prawda? A ty?

— Wracam do lovittów. Oni teraz potrzebują mnie bardziej niż kiedykolwiek. Ale jeszcze o tym nie wiedzą — roześmiał się.

— Może weźmiesz trochę jedzenia? — zapytała Matylda. — Wy tam nie macie dobrej kuchni.

— Chętnie. — Wziął teczkę i zaczął do niej ładować suchy chleb.

— Poczekaj! — powstrzymała go Claire. — Przygotuję ci ładne kanapki. Ale oczyść najpierw tę swoją straszną torbę.

— A, tak, tak... — Ira zmieszał się nieco i wysypał na stół zawartość torby. Wśród skrawków różnych śmieci był obrazek, obezwładniacz i nie dojedzona, standardowa puszka żywnościowa. Ira oczyścił starannie obrazek i pieczołowicie schował do torby. Spojrzał na obezwładniacz i po krótkim wahaniu pchnął go w kierunku Długiego:

— Weź to, może ci się przyda.

— Tobie jest bardziej potrzebny — odparł Długi. — Mnie nic nie grozi, a ty idziesz między lovittów.

— Tym ich nie zmienię — powiedział Ira w zamyśleniu, a potem dodał stanowczo: — Nie, to naprawdę nie jest mi potrzebne. Jeśli i ty tego nie chcesz, to wyrzucę na śmietnik.

— Jeśli tak, to dziękuję — mruknął Długi i wziął obezwładniacz do ręki. — Jest prawie całkowicie naładowany. Skąd to masz?

— Znalazłem.

— W porządku. Nie musisz mówić.

— Tu masz jedzenie — Claire podała mu zawiniątko. — Powinno wystarczyć ci na kilka dni. Jak zgłodniejesz, to wracaj.

— Dziękuję. — Ira włożył zawiniątko do torby i pieczołowicie ją zamknął. — Czuję się, jakbym ruszał na piknik. Gdzie tu się można przebrać?

— W łazience.

Wziął ubranie i zamknął się w łazience. Przebrał się szybko i wrócił do pokoju.

— Gdybyś był brudniejszy, to bałabym się podejść do ciebie na ulicy — odezwała się na jego widok Matylda.

— Jak do ciebie trafić? — zapytał Długi i zaraz dodał rzeczowo: — Oczywiście, gdyby to było konieczne.

— Pytajcie o Wargacza albo o Bertę na Pięćdziesiątej Drugiej ulicy. Ale nie chodźcie tam w pojedynkę, a tym bardziej po zmroku. Najbezpieczniej będzie, jeśli na skraju getta dacie jakiemuś wyrostkowi list do Wargacza i dobry napiwek. Trwajcie! — rzucił im na pożegnanie i wyszedł.

W pokoju zapanowało milczenie, które po chwili przerwała Claire:

— Przeklamowaliście go albo wódka wyjadła mu mózg. Ten facet ma przetrącony kręgosłup i dobrze, że sobie poszedł. Wszędzie widzi tylko trudności, każdy pomysł torpeduje. Nie lubię takich typów, co szukają dziury w całym.

— Upraszczasz, Claire — powiedziała Alma. — Jesteś młoda i spóźniłaś się do Strefy.

— Swoje przeszłam — odparła twardo. — Sama o tym dobrze wiesz.

— Cicho! — przerwał im Długi i włączył fonię. U góry ekranu pulsował krwistoczerwony napis: „Komunikat specjalny”, a nieco niżej ukazała się zaaferowana twarz spikera: „W związku z obserwowanym ostatnio poważnym rozprężeniem dyscypliny społecznej zagrażającym podstawom ładu społecznego oraz w celu zapewnienia bezpieczeństwa osobistego wszystkim obywatelom postanowiono na okres przejściowy wprowadzić:

1. zakaz zgromadzeń i zebrań,
2. zakaz zbiegowisk ulicznych,
3. zakaz przebywania na ulicach od zmroku do świtu.

Wysoka Rada Ekspertów jednomyślnie postanowiła zlecić wykonanie tych decyzji generałowi Vittoliniemu. Winni zaistniałej sytuacji zostaną pociągnięci do odpowiedzialności.

Jednocześnie informujemy o zgonie kilku członków Wysokiej Rady. W sprawie tej zostanie wydany komunikat specjalny w terminie późniejszym. Informujemy też, że jutrzejsze eliminacje do zawodów, a także same zawody zostają odroczone do odwołania”.

Twarc spikera zniknęła z ekranu i na jej miejscu pojawił się znów obraz orkiestry grającej muzykę klasyczną.

— Może go jeszcze dogonię — powiedział Długi i wybiegł z pokoju.

XXII

*Ktoś powiedział,
Ktoś usłyszał,
Kogoś zamknęli,
I... cisza.*

napis na murze domu nr 153 przy Czterdziestej Czwartej ulicy, przebijający spod niedbałego zamazania

Zbliżał się do trzeciego odcinka specjalnego. Czekąco go zadanie, które zawsze wykonywał bezbłędnie, choć wielu innych zawodników miało tutaj pewne kłopoty. Na holorze nie było oczywiście prawdziwych pojazdów wyścigowych ani — tym bardziej — okrężnej trasy. Wszystko załatwiał symulator. Daniel podchodził do niego ostrożnie, przygotowany na kolejne niespodzianki komputerowej ruletki. Tym razem jednak nic szczególnego się nie stało, jeśli nie liczyć jadowitego węża ukrytego w trawie obok ścieżki. Dostrzegł go prawie natychmiast i łatwo unieszkodliwił. Droga do symulatora była wolna.

Usiadł w fotelu, włączył antybezwładnościowe zabezpieczenia, które chroniły kierowcę w przypadku karambolu, gdyż łagodziły nadmierne przeciążenia, i dał sygnał, że jest gotów. Do startu pozostało mu dziesięć sekund. Zaczęło się odliczanie. Przed nim, na symulacji toru ustawily się już trzy ruchome przeszkody, szczelnie blokujące przejazd. Wiedział też, że skoro tylko ruszy, będzie miał za plecami trzytonowy pojazd, który w gwarze zawodniczej nazywali odkurzaczem. Odkurzacz wsysał do swoich trzewi kolejne pojazdy, zamykające stawkę wyścigową. Zawodnicy i pojazdy wychodzili z tego cało, ale ci, którzy pozwolili się wessać, zarabiali nie tylko sporo punktów karnych, praktycznie eliminujących ich z gry, lecz przede wszystkim przeżyć musieli spore upokorzenie. Stawali się oni bowiem przedmiotem powszechnych szyderstw, a ich akcje na giełdzie zakładów gwałtownie spadały. Toteż wielu zawodników wolało ryzykować zderzenie z przeszkodą, byle tylko uniknąć najgorszego — połknięcia przez odkurzacz. W ten sposób niewinny wyścig zamieniał się w morderczą walkę, pełną karamboli, wypadnięć z trasy, a nierzadko — również wypadków śmiertelnych.

Ruszył. Po kilku sekundach zbliżył się do uciekających przeszkód na odległość dwóch, trzech metrów i czekał, aż zaczną różnicować prędkość ucieczki. Obserwował w lusterku sunący za nim odkurzacz, ale znajdował się on ciągle w bezpiecznej odległości. Pierwsza faza wymijania przeszkód w dużym stopniu zależała od szczęśliwego trafu: jeśli zawodnik ustawił się za tą przeszkodą, która zaczęła przyspieszać, miał łatwiejsze zadanie. Jeśli natomiast wybrał tę, która zaczęła zwalniać, musiał błyskawicznie zmieniać tor jazdy, co w wyścigowym tłoku nie było łatwe.

Daniel sunął czujnie tuż za środkową przeszkodą. Po kilkuset metrach, gdy osiągnęli już prędkość blisko dwustu kilometrów na godzinę, dostrzegł, że lewa przeszkoda zaczyna zostawać, prawa zaś wysuwa się do przodu. Nieznacznym ruchem kierownicy zmienił tor jazdy. Żeby wykonać ten manewr, musiał zbliżyć się do przeszkody na odległość mniejszą niż metr, a więc poza granice własnego refleksu. Gdyby w ciągu tych krytycznych ułamków sekundy przeszkoda zaczęła nagle zwalniać, wpakowałby się na nią nie wiedząc nawet kiedy i byłby to dla niego koniec wyścigu. A jednak manewr ten był konieczny, jeśli chciał się zmieścić między przeszkodą a rywalem, który na prawdziwych zawodach szukałby za nią swojej szansy. Daniel wykonał ten manewr bez udziału świadomości. Teraz już bezpiecznie gonił przeszkodę uciekającą szybciej niż pozostałe.

Prawa przeszkoda nie nabrała jednak dostatecznie dużej prędkości, aby mógł wyminać przeszkodę środkową. Oceniał, że luka była zbyt mała; gdyby w nią wskoczył, przeszkody zmiażdżyłyby go i to też byłby koniec wyścigu. Zerknął w lusterko. Odkurzacz był ciągle w bezpiecznej odległości. Tymczasem przeszkoda środkowa zaczęła gwałtownie przyspieszać. Nacisnął więc lekko na hamulec i przeskoczył na środkowy tor w momencie, gdy środkowa przeszkoda go wyprzedziła. Zaraz potem wcisnął się w lukę, która powstała na lewym torze i przyspieszył. Na prędkościomierzu miał już dwieście osiemdziesiąt pięć kilometrów i lewą przeszkodę za plecami. Przynajmniej na razie mógł nie zwracać uwagi na odkurzacz.

Przyspieszył znacznie, ale środkowa przeszkoda również nabrała dużej prędkości. Wskazówka prędkościomierza przekroczyła liczbę 300. Zbliżał się do wirażu, który mógł pokonać z prędkością nie większą niż dwieście sześćdziesiąt pięć. Dostosował więc swoją prędkość, a tymczasem środkowa przeszkoda wysunęła się wyraźnie do przodu. Było to prowokujące zaproszenie dla mniej doświadczonych ryzykantów, luka bowiem między jego pojazdem a przeszkodą była dostatecznie duża, aby się w nią swobodnie wcisnąć. Na prawdziwych zawodach Daniel prawdopodobnie zwolniłby jeszcze bardziej, by stworzyć sobie miejsce dla manewru wyprzedzania rozbitych pojazdów. Zawsze bowiem znajdowali się ryzykanci, którzy próbowali pokonać prawa fizyki. Tym razem jednak był sam na sam z przeszkodami, więc mógł sobie pozwolić na utrzymanie maksymalnej bezpiecznej prędkości.

Wziął wiraż gładko i na prostej całkowicie otworzył przepustnicę. Przyspieszenia nie były symulowane, gdyż w prawdziwym wyścigu też ich się nie czuło z powodu zabezpieczeń antybezwładnościowych. Wskazówka prędkościomierza sięgnęła liczby 350 i na takiej prędkości zdołał wyprzedzić najszybszą, środkową przeszkodę. Przeskoczył na środkowy tor i teraz walczył już tylko z czasem.

Do mety dojechał bez punktów karnych i w przyzwoitym czasie: dziesięć minut, sześćnaście sekund i pięćdziesiąt osiem setnych. W czasie zawodów czas byłby gorszy o kilka sekund, ale i tak nie było powodów do narzekania. Czas treningowy poniżej dziesięciu minut i dwudziestu sekund osiągnęli tylko najlepsi, a kroniki odnotowały tylko jeden przejazd w czasie poniżej dziesięciu minut. Dokonał tego nieżyjący już Angelo Matta, ale nawet on sam przyznawał, że trafił na niezwykle, korzystny układ przeszkód.

Spojrzał na stoper. Do następnego odcinka specjalnego musiał dotrzeć przed upływem sześciu minut i dwudziestu ośmiu sekund. Całe zawody zorganizowane były z sekundową precyzją, takie bowiem były wymagania telewizyjnego przekazu. Daniel wyskoczył z symulatora i zaczął biec. Jeśli nie zajdą żadne nieprzewidziane wypadki — pomyślał — to mam w zapasie około czterech minut. Mógłbym urządzić zasadzkę na któregoś z rywali. Gdybym go wyeliminował z zawodów, uzyskałbym pięćdziesiąt metrów dystansu w biegu finałowym i nie musiałbym się przedzierać przez tych najostrożniejszych, którzy mogą być groźni. Ale jeśli uwikłam się w walkę — mogę spóźnić się na odcinek specjalny i stracę więcej niż potencjalnie mógłbym zyskać. Pięćdziesiąt metrów zyskałem na facecie, którego wyeliminowałem zaraz na początku. Mam nadzieję, że komputer zaliczy go mnie, a nie temu, który uciekł. Jeśli będzie inaczej, to złożę protest. Wtedy usłyszał za sobą jakiś szmer i instynktownie rzucił się na pobocze ścieżki. W momencie, gdy sylwetka rywala spadała na miejsce, które przed chwilą zajmował, stał już mocno na nogach, a w ręku trzymał nóż. Wystarczył tylko nieznaczny ruch dłoni, by nóż wyleciał mu z ręki i zagłębił się pod pachą napastnika. Po celnym ciosie holograficzna zjawa zaczęła rozpraszać się w powietrzu. Daniel podniósł nóż ze ścieżki i schował go do pochwy. Wyeliminował z walki już drugiego przeciwnika.

Biegł swobodnie, ale czujnie. Traktował ten bieg jako rozgrzewkę przed następnym odcinkiem specjalnym, toteż nie forsował zbytnio tempa. Musiał zachować świeżość, czekały go bowiem trzy walki wręcz w stylu dowolnym. Nie wiedział, jakich przeciwników wybierze mu los: pięściarzy, zapaśników, judoków, karateków czy zwykłych nożowników. W tym sensie walki treningowe były trudniejsze niż walki rzeczywiste, zawodnicy bowiem znali wzajemnie swoje preferowane style walki. Na treningu zaś była to czysta loteria.

Wyszedł na ring ubrany tylko w krótkie spodenki, wykonane z elastycznego tworzywa absorbującego ciosy. Był to dozwolony sposób ochrony męskości, wywalczony zresztą przez samych zawodników dwa lata temu. Pod stopami czuł twardą matę, a w dłoni

— obły kształt rękojeści noża. Spojrzał na tablicę wyników. Była wyzerowana, jak zwykle przed walką. Jedynie licznik czasu — żwawo odmierzał ostatnie sekundy przed rozpoczęciem walki. Nieznacznymi ruchami rozluźnił mięśnie i zaczął swój zwykły seans koncentracji. Wszystkie uboczne myśli pierzchnęły, percepcja zmysłowa wyostriżyła się, a adrenalina zaczęła dokarmiać serce. Jego przeciwnik był mniej więcej o pół głowy wyższy i prawdopodobnie trochę cięższy, ale w walce dowolnej niewielkie różnice wagi nie miały znaczenia. Długie, czarne włosy miał spięte przepaską, a krótko przystrzyżona broda unosiła się miarowo w takt głębokich oddechów. Wyglądało na to, iż przeciwnik musiał bardzo się spieszyć, by zdążyć na początek walki. Daniel postanowił to wykorzystać i skoro tylko zabrzmiał sygnał rozpoczęcia, dwoma skokami znalazł się przy nim i zaatakował piętą z pełnego obrotu. Trafił jednak w próżnię i w ostatniej chwili zdołał zrobić unik; ręka uzbrojona w nóż przeleciała tuż koło jego szyi. Widział wszystko dokładnie; jak na zwolnionym filmie, toteż i teraz dostrzegł, że przeciwnik spoczywa całym ciężarem ciała na lewej nodze. Podciął tę nogę i rywal, pozbawiony oparcia, runął na matę. Nim zdołał podkulić nogi i wyjść z opresji zgrabnym przewrotem, Daniel siedział na nim okrakiem i przystawił mu nóż do szyi. Walka była zakończona. Spojrzał na tablicę wyników: upłynęło zaledwie czterdzieści siedem sekund. Zyskał więc dwie minuty i trzynaście sekund odpoczynku przed następną walką, ale wcale nie czuł się zmęczony.

Następnym przeciwnikiem był skośnooki, krępy, krótko przystrzyżony mężczyzna. Musiał przed chwilą stoczyć ciężką walkę, bo z trudem uspokajał oddech, miał rozbity łuk brwiowy, a przez pierś biegła czerwona krecha, zasklepiona tymczasowo plastrem w aerozolu. Był to zapewne ślad noża poprzedniego przeciwnika. Komputer programował sparringpartnerów z zachowaniem najdrobniejszych pozorów. Tym razem walka trwała trzy pełne minuty. Przeciwnik umiejętnie unikał prawie wszystkich ciosów i sam kilka razy groźnie zaatakował. Pod koniec drugiej minuty Daniel znalazł się w poważnych opałach i z najwyższym trudem udało mu się z nich wywinąć. Musiał włożyć maksimum wysiłku, aby tę walkę wygrać na punkty. Toteż z ulgą odebrał sygnał obwieszczający koniec starcia i z prawdziwym respektem odprowadzał wzrokiem swojego rywala, mimo że była to tylko holograficzna złuda.

Zaczęło się odliczanie przed trzecią i ostatnią walką. Na ringu pojawił się zwalisty, brodaty mężczyzna, przewyższający Daniela przynajmniej o głowę. Sylwetką przypominał nieco legendarnego Angela Mattę, ale przecież Matta nie nosił brody. Daniel odegnał wspomnienie poprzedniej walki. Tamto już się nie liczyło, ważny był pojedynek, od którego dzieliły go już tylko sekundy. Przymknął na moment powieki: spokój, spokój, wygrać, wygrać... W poprzedniej walce stracił zbyt dużo świeżości, by ryzykować natychmiastowy atak. Postanowił więc liczyć z kontry.

Po rozpoczęciu walki Daniel skierował się w kierunku środka ringu. Brodacz ruszył szybciej, ale widząc ospałość Daniela, czujnie zwolnił. Gdy dystans skrócił się dostatecznie, brodacz wyprowadził prawy sierpowy; może nie po to, żeby Daniela trafić, ile raczej żeby zorientować się, w jakim stylu Daniel odpowie na tę zaczepkę. Daniel wykonał unik, złapał za rękę przeciwnika i pociągnął za sobą, padając na plecy. Chciał przerzucić brodacza przez siebie i wykorzystując siłę bezwładu, wylądować na jego piersi, ale przeciwnik nie dał się nabrać na ten manewr. Za chwilę znów stali na nogach i okrążali się czujnie. Daniel dostrzegł, że nogi brodacza są bliżej niż reszta wychylonego do tyłu ciała. Nawet nowicjusz poznałby, że jest to przygotowanie ataku. Przeciwnik ciągle nie sięgał po nóż. Albo nic był zbyt dobry w posługiwaniu się tym narzędziem, albo też chciał wygrać z Danielem gołymi rękami. Również nóż Daniela spoczywał w pochwie. Daniel bowiem przyjął to milczące wyzwanie i postanowił sięgnąć po nóż dopiero wówczas, gdy uczyni to jego przeciwnik. Mógł sobie pozwolić na taką ekstrawagancję; w końcu był to tylko trening. Przeciwnik zaatakował lewym prostym i prawym sierpowym, który wyprowadził tak szybko, że Daniel nie zdołał wykonać uniku. Choć siły ciosu nie odczuł, to lewy policzek i nasada nosa zapiekła go, jakby na moment przyłożył twarz do rozpalonej płyty. Zerknął na tablicę wyników: cios był bardzo silny i mógłby mieć po nim spore kłopoty z utrzymaniem równowagi. Odskoczył więc od przeciwnika i przez kilka sekund wykonywał tylko uniki. Gdyby cios był prawdziwy, musiałby przeznaczyć te kilka sekund na regenerację. Brodacz atakował ciągle, lecz Daniel nie dał się trafić. Gdy pieczenie ustało, ruszył do kontrataku. Trafił piętą w żołądek przeciwnika i gdy ten odruchowo zginał się, usiłował wyprowadzić cios na szczękę. Nie trafił, a tymczasem rywal natarł na niego bykiem. Daniel zszedł z linii ataku i w momencie, gdy rozpędzony brodacz trafiał w pustkę, podbił mu nogę. Siła bezwładności była tak duża, że brodacz wyleciał z ringu.

Walka była skończona.

XXIII

Ludzie zabobonni wierzą w rzeczy, w które nie wierzą.

aforyzm z „Dodatku Kulturalnego” dziennika „Nasz Głos” nr 106/10845 z dnia 18 kwietnia 2044 roku

Wargacz przystanął i oddychał głęboko. Szedł bardzo szybko, czasami nawet podbiegał i teraz uświadomił sobie, że właściwie uciekał, choć nie byłby w stanie powiedzieć, co go do tej ucieczki zmusiło. Uciekł od swoich przyjaciół, z którymi wiele go łączyło, by dołączyć do lovittów, owych okrutnych dzieci. Rozmowa z temporystami pozostawiła osad goryczy; byli tacy sami, jak wówczas, gdy jeszcze był jednym z nich. Zresztą, może właśnie na tym polegała ich siła, że niezależnie od okoliczności, trwali w niezmienionej postaci, i z pokolenia na pokolenie karmili się nadzieją na lepszą przyszłość?

Usiadł na trawie. Nie było mnie przez rok — pomyślał — a życie toczyło się dalej. Doszli nowi ludzie, utworzyły się nowe związki. Alma będzie miała dziecko. To dziecko mogło być moje. Mógłbym żyć tak jak oni i trwać, i płodzić dzieci, aby przedłużyć trwanie. A teraz jestem sam. Nawet nie mam własnej meliny. Sam, zupełnie sam, zawieszony między bezruchem temporystów i groźnym żywiołem lovittów, społecznych bękartów, którzy obezwładnieni są jedynie nieświadomością własnej siły. Cóż będzie, jeśli tamy runą i żywioł ten ruszy jak lawina, zanim nauczy się rozróżniać dobro od zła? Czy w ogóle możliwa jest moralność na tak zdegenerowanym podłożu? Poczul zwątpienie, dojmującą aż do bólu samotność. Ciężką samotność, jaką musieli w dawnych czasach odczuwać rozbitkowie na bezludnych wyspach albo dziś astronauty, wyrzuceni w kokonie technicznych protez w otchłan kosmosu.

Wydał się sobie nagle śmiesznym, naiwnym dziwakiem, który nigdzie nie pasuje: przegranym facetem, który nękany jest wybujałą ambicją i mrocznymi obsesjami. Wszystko było bez sensu: zorganizowanie Strefy, która w konsekwencji zapełniła mogiły i ośrodki resocjalizacyjne, ucieczka od temporystów i przyłączenie się do lovittów, a nawet to ostatnie spotkanie, boleśnie szarpiące blizny, o których istnieniu już

zapomniał. Poczłł chłód wypełzający gdzieś z głębi trzewi i skraplający się na skroni. Przetarł zwilgotniałe czoło. Dookoła nie było nikogo, ani człowieka, ani zwierzęcia. Czerwonopomarańczowa kula słońca wisiała nisko mul horyzontem. Po przeciwnej stronie nieboskłonu czałł się zmierzch, a drzewa kłaniały mu się długimi, pokornymi cieniami. Jego duszę wypełniła bojaźń i drzenie.

Sięgnął do torby i wydobył z niej obrazek. Zdmuchnął okruchy chleba, które przyłgnęły do ramki, a potem oparł obrazek o pień najbliższego drzewa. Rudziejące kosmyki traw przysłoniły dolną część wizerunku, więc podłożył polny kamień pod ramkę. Spoglądała na niego twarz Człowieka, który zginął okrutną śmiercią. Zginął za tych, którzy mu tę śmierć zadali i za wszystkich późniejszych oprawców. Był niewinny i z łatwością mógł uniknąć męczarni. Wystarczyło, by zaprzeczył sobie i stał się taki jak inni. Ale przyjął na siebie świadomie ofiarę i sam stał się ofiarą. Wargacz nie rozumiał tego, mimo że wielokrotnie usiłował zgłębić tę zagadkę. Człowiek z obrazka nie był pierwszym ani ostatnim, który poniósł śmierć z własnego wyboru. Były śmierci bardziej męczeńskie i bardziej spektakularne, a jednak żadna z nich nie stała się podstawą nowego porządku moralnego. Dlaczego?

Przymknął oczy i pogrzyzył się w kontemplacji. Drzenie powoli ustępowało, a na jego miejsce zaczął napływać falami spokój i ukojenie. Depresja minęła.

Odczekał jeszcze chwilę, a potem wstał, schował obrazek do torby i ruszył dalej.

Wkrótce rozległe błonia skończyły się i wyszedł na ruchliwą ulicę. Odgłosy wielkomiejskiego ruchu, dotychczas tłumione bujną roślinnością, buchnęły z nagłą siłą. Wargacz przystanął. Wygląd ulicy był właściwie normalny, a jednak wyczuwało się jakąś nerwowość i podniecenie. Od czasu do czasu jękliwy głos syreny przerywał jednostajny szum ekwipartów, chodniki były bardziej puste niż zwykle o tej porze. Nieliczni przechodnie omijali go z daleka. Z najbliższej przecznicy wyłonił się pieszy patrol tebeków. Wargacz znalazł lukę w kolumnach pojazdów i przeszedł szybko na drugą stronę jezdni. Trzy przecznice dalej zaczynał się teren lovittów, jedno z wielu takich skupisk rozsianych nieregularnie na terenie całej wyspy. Postanowił iść na skróty, aby jak najszybciej znaleźć się na miejscu. Również i jemu udzieliła się nerwowość ulicy.

Gdy wchodził między znajome domostwa, już z daleka słyszał ożywiony gwar. Przed jednym z domów stał duży tłum i najwyraźniej weselił się. Wargacz nie przypominał sobie, aby o tej porze lovitci obchodzili jakieś święto. Rozepchnął ostatnie szeregi i zagłębił się w tłum. Tu i ówdzie dostrzegł kompletnie już pijanych wyrostków, którym alkohol najszybciej uderzył do głowy. Za murkiem odgradzającym zejście do piwnicy kilka par zawzięcie kopulowało, ale nikt nie zwracał na to uwagi, nawet dzieciarnia, która nie miała zwyczaju przegapiać takich widoków. Głowy wszystkich zwrócone były w stronę niewielkiego tarasu, na którym dostrzegł Bertę i kilka innych znajomych postaci.

Nagle ktoś obok niego krzyknął donośnie:

— Wargacz! Jest Wargacz!

Ktoś inny złapał go za rękę i poprowadził w kierunku tarasu. Ciżba rozstępowała się bez oporu, a nawet z pewną niespotykaną u tych ludzi skwapliwością. Wargacz rozpoznawał znajome twarze, ale dostrzegał także wielu nieznanym. Musieli to być lovitci z odleglejszych wspólnot. Ci szczególnie byli ciekawi wyglądu Wargacza, toteż wyciągali szyje, by zobaczyć jak najwięcej.

Reakcja tłumu zaniepokoiła go mocno. Gdy wszedł na taras, jego niepokój wzmógł się, wszyscy bowiem oddali mu pełen respektu ukłon i to wobec tłumu innych lovitów. A wśród oddających mu hołd była nie tylko Berta, ale również Ryży, nie koronowany szef wspólnoty. Żyleta — szef sąsiedniej wspólnoty oraz stojący dyskretnie na drugim planie, ale pełen godności Szczotka.

— Co to za komedie? — zwrócił się do Berty. — Czy wyście wszyscy powariowali?

— Oni już wszystko wiedzą. Wargacz — powiedziała Berta. — Wszystko im powiedziałam.

— Masz u mnie przechłapanie. Berta — warknął. — Do ciężkiego aidsa, co im napłotaś, babo?

— Nic, Wargacz — odparła pokornie. — Tylko prawdę, tylko to, co widziałam i słyszałam. Chciałam to powiedzieć, tylko moim przyjaciółkom i sama nie wiem, jak to się stało... — spojrzała na kłębiący się wokół tarasu tłum.

— Co im powiedziałaś?

— Chyba nie chcesz mieć przed nami żadnych tajemnic? — zapytał Ryży, przysuwając się nieco. W jego postawie nie było już tyle respektu, co na początku. — A może Berta to wszystko wymyśliła i wystawiła mnie, Żyletę, nas wszystkich do wiatru, co? — jego wargi zaczęły drgać jak u psa sposobiącego się do ataku.

Gwar powoli zamierał, jakby zgromadzeni wyczuwali napięcie emanujące z tarasu. Berta zbladła, a w jej oczach Wargacz wyczytał przerażenie. Wiedział, że jeżeli zaprzeczy, to skaże Bertę na okrutną śmierć, bo tylko w ten sposób szefowie wspólnot unikną ośmieszenia i nie wystawią swojego autorytetu na szwank. Zarazem na pośmiewisko zostanie wystawiony on, Wargacz, i dużo czasu upłynie, zanim odzyska swoją dotychczasową pozycję. Jeśli nie zaprzeczy, to może wywołać groźny żywioł, nad którym nikt już nie zapanuje, który poniesie go jak potężna fala, ku nieznanemu przeznaczeniu. Poczul, że cierpnie mu skóra. Wtedy przypomniał sobie wizerunek tej twarzy z obrazka anonimowego artysty w który potrafił zamknąć w plątaninie kresek cierpienie i ból, ale także nadzieję.

— No? — naparł już groźnie Żyleta. — Czy Berta wpuściła nas w maliny, czy też...

— Odsuń się — przerwał mu Wargacz i podszedł do Berty. — Mówiłem ci, że to nie na twoją głowę, ale stało się i już nie można tego odwrócić. A teraz powiedz mi, ile z tego, co zdołałaś zrozumieć i zapamiętać, powtórzyłaś innym?

— Wszystko — powiedziała cicho.

— Wszystko? Czy powiedziałaś im też kim by li przybysze?

— Miałam pietra, Wargacz. Ty to zrozumiesz. I ty im to powiesz.

— A więc to wszystko prawda? — zapytał Ryży, a w jego głosie znów zabrzmiały nuty pojednania i respektu. — Ty byłeś najpotężniejszy na Apostezjonie?

— Tak, ale tamta przeszłość nie wróci — powiedział prędko. — Czy pokapowaliście coś z tego, co Berta nawijała?

— To może ja powiem — Szczotka przysunął się do Wargacza. — Ja wszystko pamiętam. Mam dobrą głowę do pamiętania — dodał z godnością i na wszelki wypadek poprawił fryzurę.

— Smaruj wroty, Szczotka! — przerwał mu opryskliwie Ryży. — Ale to już! My tu mamy ważne sprawy do obgadania. — Popatrzył chwilę na wycofującego się tyłem Szczotkę i odwrócił się z przymilnym uśmiechem w stronę Wargacza: — Berta mówiła, że lovitci będą panami tej ziemi, że przyszłość będzie straszna, ale nie dla nas, lovitów, że mamy czekać na kogoś, kto przyjdzie i nas wyzwoli. — Mówił coraz bardziej gorączkowo i coraz ciszej, jakby zwierzał się Wargaczowi z ogromnej tajemnicy. — Powiedziała też, że mamy czekać w pogotowiu na jego przyjście i że to ty jesteś przysłany, aby nas przygotować. To wszystko prawda?

Wargacz wahał się przez moment, a potem w milczeniu skinął głową. Nie mógł wydobyc z siebie słowa, poraziła go bowiem myśl, że Berta bezwiednie odkryła schemat, który wypełnił się kilkadziesiąt wieków temu.

— Popatrz na tych ludzi. — Ryży dumnie potoczył wzrokiem po tłumie, który czekał na dalszy rozwój wydarzeń. — Oni są już gotowi na każde skinienie. Twoje skinienie. Nie ma co czekać, bo przechlapiemy okazję i drugi raz nam tak nie zafartuje. Wiem co mówię — ściszył głos do szeptu.

— O co ci chodzi? — zapytał ostro Wargacz.

— Tu, niedaleko — ciągnął Ryży półgłosem, odprowadzając Wargacza trochę na bok — jest bank, kumasz? Jakbyśmy ich poprowadzili, to w try-miga bank jest nasz. A dolę podzielimy sprawiedliwie: dla ciebie połowa, dla mnie ćwiartka, a reszta dla nich, co? Z punktu bylibyśmy trochę bardziej wyzwoleni. A potem drugi bank, a potem...

— Głupi jesteś, Ryży. Głupszy niż myślałem. Czeka cię długa droga, zanim pokapujesz, o co tu biega. A może nie będziesz w stanie pokapować i wtedy zginiesz.

— Grozisz mi? — w oczach lovitka błysnęła nienawiść, a ręka odruchowo sięgnęła po nóż.

— To na nic, Ryży — rzekł spokojnie Wargacz. — Załatwię cię na oczach tłumu i staniesz się pośmiewiskiem. Nawet dziecko napluje ci w twarz i nikt się za tobą nie ujmie. Chcesz tego?

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem, a później Wargacz wzruszył ramionami, podszedł do balustrady tarasu i krzyknął w stronę tłumu:

— To wszystko, co mówiła Berta, to prawda!

Odpowiedział mu triumfalny okrzyk kilkuset gardzieli. Tymczasem Wargacz mówił dalej:

— Berta powiedziała wam prawdę, ale nie była to prawda cała. Nadejdą inne czasy, może już niedługo. A wy nie jesteście do tego przygotowani; jesteście stadem niewolników, lotnym piaskiem, na którym nie wyrasta nic. Życie bez przeszłości i bez przyszłości. Wasze życie składa się z głodu, strachu i nienawiści. Skoro nic do was nie należy, uważacie, że wszystko, co wpadnie wam w ręce, jest wasze. Myślicie, że rację ma ten, kto jest silniejszy. Dlatego jesteście niewolnikami. Czy chcecie być niewolnikami?

— Nie! — ryknęło kilkaset gardzieli.

— Wolność to rzecz trudna. Trudniejsza niż niewola. Jesteście niewolnikami, bo myślicie jak niewolnicy. Przyszłość należy do was, jeśli zaczniecie myśleć inaczej, jeśli w ogóle zaczniecie myśleć! Zapamiętajcie więc sobie kilka prostych grepsów. Powtarzajcie je sobie w kółko, bez przerwy, tak długo, aż nie będziecie potrafili myśleć inaczej. Musicie się pozbyć strachu, głodu i nienawiści. Nie ten ma rację, kto jest silniejszy, ale ten, kto jest dobry. Nie ten jest dobry, kto zabiera innym, ale ten, kto innym daje. Żeby móc dawać, musi mieć coś, co do niego należy, a zatem — musi pracować.

W tłumie rozległo się kilka gwizdów. Wargacz przerwał na moment i spojrzał w kierunku, z którego rozległy się gwizdy:

— Odezwali się niewolnicy broniący swoich łańcuchów!

Odpowiedział mu śmiech. Dalej panował nad tłumem.

— Musicie pracować dla siebie, nie dla innych. Tak, jak czynią to temporyści, których nienawidzicie, bo są inni. Jesteście jak uwięzione zwierzęta, które gryzą pręty klatki, ale łaszą się do strażnika, bo jest wyposażony w kij i ochłap mięsa. Musicie się zmienić, żeby wyjść z klatki. Słuchajcie więc mnie, lovitci, bo nadszedł dla was czas próby. Słuchajcie mnie i powtarzajcie za mną. Wolność!

— Wolność! — jak echo odpowiedział tłum.

— Miłość.

— Miłość! — odpowiedzieli zgromadzeni.

— Odwaga!

— Odwaga! — w odpowiedzi tłumowi wyraźnie dominowały głosy męskie.

— Własność!

— Własność! — natężenie odpowiedzi było słabsze niż poprzednio.

— Praca!

— Praca! — podchwyciło niepewnie kilka głosów, reszta tłumy zaś milczała.

— Jeśli postaracie się cokolwiek z tego zrozumieć — ciągnął dalej Wargacz — to mamy szansę na lepszą przyszłość. Będzie to trudna droga, wielu będzie wątpiących, wielu odwróci się od nas, ale zwycięstwo będzie nasze. Jestem gotów poprowadzić was do tego zwycięstwa. Jestem gotów na wszystko. A wy? Czy jesteście gotowi na wszystko?

— Tak! — ryknął tłum w odpowiedzi.

I wtedy na obrzeżach tłumu zaczął się niepokój, który wkrótce przerodził się w panikę. Spośród domostw bowiem zaczęły wysuwać się milczące postacie tebeków w rynsztunkach bojowych. Było ich coraz więcej i niebawem cały teren został otoczony. W jednym miejscu kordon został przerwany i tłum rzucił się do ucieczki. Wargacz stał nieporuszony na tarasie, a z jego czoła płynęły strużki potu. Ryży gdzieś zniknął, podobnie jak Żyleta i Szczotka. Jedyne Berta przysunęła się do Wargacza i ujęła go kurzowo za rękę. Wargacz jednak odepchnął ją lekko i wycedził:

— Uciekaj! Ale już!

— Nie, Wargacz. Chyba że razem z tobą.

Tymczasem zza domów wyjechały transportowe ekwiparty, do których zaczęto ładować pierwszych lovittów. Wargacz bez ruchu czekał na swoją kolej.

XXIV

Zadaję sobie często pytanie, dlaczego utopie wprowadzone w życie obracają się w swoje przeciwieństwo? Tam gdzie miało być wyzwolenie — rośnie niewola, tam gdzie miało być braterstwo — wyrasta przemoc, tam gdzie miała być sprawiedliwość — pleni się zbrodnia, odwaga zaś zamienia się w strach. Dlaczego? Nie znajduję na to pytanie odpowiedzi.

z „Dziennika prywatnego Wiktora Nordmanna”, materiał nie publikowany. Archiwum Główne Służb Specjalnych, sygnatura AG/1786/29

Trent nie spał długo; ot, tyle, żeby wypędzić spod powiek nieznośne pieczenie i żeby nie przysypiać na każdym fotelu. Nie rozbierał się nawet, tylko wyciągnął na chwilę w fotelu w Centrum Dyspozycyjnym Sektora IV. Faktem jest, że ustawił fotel w pozycji wypoczynkowej i włączył na cztery godziny izolację od świata zewnętrznego. Zanurzony w przytulnym kokonie spał jak niemowlę, mimo że w Centrum Dyspozycyjnym ruch był nadzwyczajny. Nie zdołał jednak przespać całych czterech godzin, jego jednostka bowiem wysłaną postawiła do spacyfikowania jakiegoś zbiegowiska w jednej z tych zakazanych dzielnic, gdzie rodzi się występki, a nawet zbrodnia. Resztki snu kołatały się jeszcze po zakamarkach mózgu, więc wziął pastylkę orzeźwiającą i popił mocnym koktajlem. Już po kilkunastu sekundach otrzeźwiał; jedynie stawy bolały go nieco, ale złożył to na karb sennego odrętwienia.

Wiedział już, podobnie jak reszta mieszkańców Apostezjonu, że to nie są ćwiczenia. Doniesienia ze środowisk lovittów były wprawdzie skąpe, ale zastanawiająco zgodne. Wszystkie mówiły o niezwykłym poruszeniu tych środowisk przestępczych. Lovitci gromadzili się w watahy większe niż zazwyczaj, choć na razie nie notowano nigdzie przypadków atakowania spokojnych obywateli. Zresztą spokojni obywatele po ostatnich zarządzeniach woleli nie wychylać nosa ze swoich domostw. Ulice były prawie puste, jeśli nie liczyć tych zakazanych dzielnic. Uniwersytety ogłosiły ferie, z czego cieszyli się studenci, a w zakładach pracy trwała praca wytężona bardziej niż kiedykolwiek. To wszystko Trent rozumiał. Rozumiał też, dlaczego należy likwidować zbyt duże zbiego-

wiska. Jak mawiał nieoceniony inspektor Hurtlej: mała grupa — to mały kłopot, większa grupa — to większy kłopot, a tłum — to już prawdziwe niebezpieczeństwo. Toteż teraz, gdy dowiedział się, że w jednej z dzielnic ponad pięciuset lovittów już od kilku godzin nie rozchodzi się, tylko rajcuje nie wiadomo o czym, wiedział, co ma robić. Wyzaczył sprawnie kompanię techników bezpieczeństwa, którzy zaprowadzić mieli porządek i izolować prowodyrów. Wysłał więc swoich chłopców do roboty, bo było to jasne i oczywiste. Wiele lat treningu i zawodowej rutyny nauczyło go reagować na tłum w taki sposób, w jaki strażak reaguje na widok otwartych płomieni pojawiających się poza paleniskiem.

Ale przecież działy się tutaj rzeczy, których nie mógł zrozumieć, choć bardzo się starał. Nie mógł zrozumieć na przykład, dlaczego ci z Czarnego Batalionu przyprowadzili kilkunastu ekspertów oraz sztab sił zbrojnych w komplecie. Przecież to nie mogli być zdrajcy jak ów Nordmann. Dlaczego więc Trent musiał ich izolować, jakby byli jakimś temporystami albo — nie przymierzając — lovittami? Przeciągnął się, aż zatrzeszczały mu stawy; przez ciało przebiegł dreszcz, który zabrał ze sobą resztki sennej gnuśności. Poprawił uniform i założył czapkę. Teraz najbardziej nawet surowy przełożony nie mógłby dopatrzeć się w jego stroju najmniejszego odstępstwa od regulaminu. Na wszelki wypadek przejrzał się w służbowym lustrze. Tak, wszystko było w porządku — stwierdził z zadowoleniem. Ze zwierciadła spoglądała na niego zdecydowana, męska twarz, a oczy, tak — oczy rzucały twarde, nieustępliwe spojrzenie, takie właśnie, jakim obdarzali swe ofiary nieustraszeni zdobywcy kosmosu z jego ulubionego serialu wideo. Mrugnął porozumiewawczo do tego znajomego, marsowego oblicza, a potem wyjrzał przez okno. Zasłony u Gimnastyczki były nadal szczelnie zasunięte, choć wiedział na pewno, że Adlera tam nie ma. Wyjechał bowiem niedawno na czele kompanii likwidować zbiegowisko lovittów.

Zasiadł przed pulpitem sterowniczym i rozpoczął rutynową kontrolę swojego odcinka. Zapadał szybko mrok i kamery obserwacyjne, jedna po drugiej, przestawiały się automatycznie na pracę w podczerwieni. Wszędzie panował spokój. Ostatnie zarządzenia wymiotły dzielnice centralne Apostezjonu. Przez pole widzenia kamer z rzadka jedynie przemykał wóz patrolowy. Centrum było spokojne, ale Trent wiedział, że jest to spokój pozorny. Z obszaru katastrofy ekologicznej dochodziły coraz bardziej alarmujące wieści. Część wojska zbuntowała się i przyłączyła do ludności cywilnej, która chciała opuścić skażony teren. Wywiązały się zbrojne starcia, w których padło już więcej ofiar niż z powodu toksycznego skażenia. Tylko zdecydowana postawa Czarnego Batalionu zapobiegła rozprzestrzenianiu się groźnej anarchii, z której nie wiadomo co mogłoby wynikać. Trent nie przypuszczał, żeby to była główna przyczyna wprowadzenia w życie ostrych przepisów bezpieczeństwa.

Z zamyślenia wyrwał go brzęczyk wideocomu.

— Co jest? — rzucił niecierpliwie do mikrofonu.

— Rozpędziłem ich na cztery wiatry! — Na ekranie pojawiła się zawadiacka twarz Adlera. — Mam tutaj paru obwiesiów. Co z nimi zrobić?

— Poczekaj! — powiedział prędko. — Zaraz tam będę.

Zjechał windą do obszernych podziemi budynku, gdzie mieściły się izolatki.

Kilku tebeków otaczało grupkę osób, o których już na pierwszy rzut oka można było powiedzieć, że to lovitci. Trent podszedł do nich tak blisko, że technicy musieli się rozstąpić. Lustrował ich uważnie, tak właśnie, jak główny bohater jego ulubionego serialu. Ich ciała wydzielały słodkomdłący zapach. Ubrania, dziwaczne, jak zwykle wśród lovitów, były w nieładzie większym niż zazwyczaj. Widocznie Adler nie miał czasu na drobne grzeczności i brał ich jak popadło. Była wśród nich jedna kobieta. Byłaby nawet ładna, gdyby ją odszorować i normalnie ubrać — pomyślał Trent obchodząc lovitów dookoła.

Lustrował ich jeszcze przez chwilę w milczeniu, po czym podszedł do kobiety, podniósł jej podbródek i zapytał pieszczotliwie:

— Jak cię nazywają, ptaszynko?

Ledwie zdołał cofnąć dłoń, bo usiłowała go ugryźć.

— To nie ptaszynka, ale jakaś pirania! — rzekł z udanym przestraczem. — Zawtórował mu szczery śmiech tebeków.

— A to co za dziwo! — zdumiał się, podchodząc do mężczyzny ubranego w krzykliwie kolorowe ciuchy i noszącego wymyślną fryzurę. On jeden z całej grupy kwitów miał włosy starannie ułożone, mimo iż jego ubranie nosiło ślady walki.

— Kim jesteś, synu? — zapytał czule i zburzył mu misterną konstrukcję włosów. Odpowiedziało mu ciężkie spojrzenie. — Nie chcesz mówić? To niedobrze... — zafrasował się.

— To Szczotka — podpowiedział jeden z techników, przebrany za lovitę. — Zwą go Szczotka, ale to gnojek.

— Rozumiem — rzekł uroczyście Trent i zbliżył się do kolejnego mężczyzny, którego twarz była pokaleczona: z rozbitego łuku brwiowego zwisały sople teraz już zakrzepłej krwi, na skroni i pod lewym okiem widniały siniaki, a prawy policzek i wargi miał opuchnięte.

— Co mu się stało? — zapytał Trent ze współczuciem. — Upadł, czy co?

— Hardy był — wyjaśnił Adler. — Nie uciekał, tylko patrzył, A patrzył tak, że musiałem mu dać kilka razy w pysk, żeby wiedział, że to nie żarty.

— Źle mu z oczu patrzyło, czyli stawiał opór. — Trent pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Właśnie — przytaknął Adler. — Był arogancki i utrudniał wykonywanie czynności służbowych.

— Potrzebne ci to było, ptaszku? — Trent ciągle był pełen współczucia. — Pewnie zapomniałeś, jak się nazywałeś?

Poturbowany mężczyzna nawet na niego nie spojrział. Jego wzrok błądził gdzieś po przeciwległej ścianie, jakby tam był ekran, na którym szło interesujące wideo.

— Zapomniał — stwierdził ze smutkiem Trent. — A może on jest głuchy?

— Na pewno nie — rzekł jeden z rozbawionych tebeków, ten sam, który poprzednio udzielał wyjaśnień. — Nazywają go Wargacz. To jeden z hersztów tej bandy.

— Ciekawe — zainteresował się Trent. — Bardzo ciekawe.

— To on podburzał tę zgraję — ciągnął dalej technik, przebrany za lovitta. — Sam słyszałem. A ona — wskazał na kobietę — jemu pomagała. To Berta.

— Złóżysz szczegółowy raport — powiedział Trent już normalnym, rzeczowym tonem. — Zapakować ich do izolatki, a tego — wskazał na Wargacza — umieścić osobno. Ją też — wymierzył palec w Bertę. — Później sobie z nimi pogawędzę. Wykonać!

Technicy stanęli w postawie poddania, a później szybko zabrali się do wykonywania rozkazów.

— Chwileczkę! — Trent sobie coś przypomniał.

Technicy zamarli w bezruchu, oczekując dalszych rozkazów.

— Przeszukaliście ich?

— Tak jest! — odparł Adler.

— Znaleźliście coś?

— Nic, tylko to — Adler skinął na jednego z techników, który podał Trentowi mocno zniszczoną torbę. Trent ujął ją ostrożnie, z wyraźnym obrzydzeniem na twarzy i wysypał zawartość na stół. Nie było tego dużo: jakaś żywność i obrazek. Trent obejrzał go ze wszystkich stron, podważył ostrożnie tył i wyjął obrazek z ram. W środku nie było niczego interesującego, rzucił więc obrazek na stół i dał znak technikom, którzy odprawdzili lovittów do izolatek.

— Sprzątnijcie te śmieci — powiedział do Adlera — i przyjdź do mnie potem. Będę na gorze. Gotów jestem się założyć, że stary znowu będzie się pieklił o tego Nordmanna.

Adler przechylił stół i wysypał rzeczy na podłogę. Potem włączył odkurzacz. W podłodze otworzyły się gardziele odkurzacza, chciwie wsysające śmieci. Przy jednym z otworów obrazek zaczepił się i Adler musiał wcisnąć go obcasem. Tymczasem Trent ciągnął dalej:

— Cwana sztuka z tego Nordmanna. Zaszły się i chce gdzieś przeczekać najgorsze. Nikt go nie widział, nie zarejestrowała żadna z naszych kamer. Ty! A może ktoś go... tego? — przejechał palcem po szyi. — Wtedy moglibyśmy go szukać do usranej śmierci. Co o tym myślisz?

Adler wzruszył ramionami i wyłączył odkurzacz.

— Ty tu jesteś szefem — powiedział, a w jego głosie Trent wyczuł złośliwą satysfakcję. — Ja tylko wykonuję rozkazy.

— Dobra, dobra — rzekł pojednawczo. — Jak było u Gimnastyczki?

— Daj spokój! — zachnął się Adler. — Nim co do czego przyszło, musiałem się zwi-
jać. Gówienna służba!

— Nie narzekaj, nie narzekaj — ostrzegł go Trent. — Mogłoby być gorzej. Tutaj jest
spokój-cisza, a tam — ściszył głos — przy tych zakładach chemicznych podobno jest
całkiem gorąco. Słyszałeś coś?

— Tyle co wszyscy — burknął Adler. — Idę zobaczyć, czy dobrze porozmieszczali
tych obwiesiów.

— Dobra. A potem zajrzyj do mnie. — Trent odwrócił się i skierował do windy.

Jazda na sto dwudzieste piętro trwała kilkanaście sekund. Gdy podszedł do pulpi-
tu sterowniczego, dostrzegł natychmiast doniesienie, które musiało dotrzeć podczas
jego nieobecności. Meldunek z jednego z peryferyjnych posterunków zawierał infor-
macje, które przyprawiły Trenta o przyspieszone bicie serca: Daniel Laroque i towarzy-
sząca mu dziewczyna znajdowali się w ośrodku treningowym. O Nordmannie nie było
wprawdzie ani słowa, ale Trent przypuszczał, że zapewne jest on gdzieś w pobliżu tej
dwójki. Może uda się go złapać, zanim pułkownik, a właściwie generał Vittolini znowu
o niego zapyta.

— Kosma, Pinto, Snowhill do mnie! — krzyknął. Po chwili trzech tebeków stanęło
przed nim w postawie poddania.

— Kosma! Gnaj do wirolotu. Ma być za minutę gotowy do startu.

— Tak jest! — krzyknął jeden z przybyłych i zniknął za drzwiami.

— Snowhill, weź obezwładniacz.

— Mam przy sobie!

— Nie ten, durniu! Tymczasowy, tymczasowy, jasne!

— Tak jest!

— A ty, Pinto, będziesz nas ubezpieczał. Jasne?

— Tak jest!

Trent tymczasem włączył wideocom, wywołał Adlera i powiedział:

— Wracaj szybko! Będziesz mnie zastępował.

— Już jadę — odpowiedział Adler. — Co się stało?

— Wybieram się złować ptaszka. Dużego ptaszka. Koniec.

— Koniec — potwierdził Adler i mały ekran wideocomu zmatowiał.

— Idziemy — rzucił Trent za siebie i nie oglądając się ruszył do wyjścia na platfor-
mę startową. Skakał po dwa stopnie po żelaznych schodach. Za sobą słyszał tupot kro-
ków obstawy. Gdy wyszedł na dach, który pełnił zarazem funkcję lądowiska wirolotów,
naparły na niego silne podmuchy wiatru. Przytrzymując czapkę podbiegł do wirolotu
i wskoczył do środka. Pinto i Snowhill zajmowali pospiesznie miejsca w tyle kabiny.

— Gdzie lecimy, szefie? — zapytał dziarsko Kosma.

— Ośrodek treningowy na Sto Czterdziestej Pierwszej ulicy. To musi być gdzieś blisko skrzyżowania z Dwunastą aleją.

Kosma wystukał trasę lotu na klawiaturze i wirolot lekko uniósł się w powietrze. Kilka minut później byli na miejscu.

Trent, prowadzony przez miejscowego posterunkowego, wszedł pierwszy do sali treningowej. Snowhill i Pinto podążali czujnie za nim, Kosma zaś utrzymywał wirolot w stanie gotowości startowej.

— Gdzie oni są? — zapytał Trent.

Wówczas zza pleców posterunkowego wyłonił się pracownik obsługi sali i powiedział:

— To ja was zawiadomiłem. Znam dobrze Daniela, bo zawsze trenuje tu przed zawodami, a ją też łatwo poznałem...

— Dobrze, dobrze! — przerwał mu niecierpliwie Trent. — Będziesz nagrodzony, ale dopiero jak ich ujmemy. Gdzie oni są?

— Dziewczyna siedzi na trybunie, a on kończy trening. Właśnie rozpoczął bieg finałowy.

— Najpierw dziewczynę — zdecydował Trent.

— Tedy — powiedział pracownik obsługi.

Trent skinął na swoją obstawę i podążył za nim. Na końcu szedł zaaferowany posterunkowy.

Dostrzegli ją od razu, co było łatwe, na tej trybunie bowiem siedziała tylko ona. Nie zwracała na nich żadnej uwagi, gdyż wpatrzona była w holotor. Trent przesunął się bezgłośnie między rzędami foteli; z przeciwległej strony posuwał się Snowhill. Dopiero gdy usiedli obok niej, zauważyła ich obecność. Poruszyła się niespokojnie, ale Trent przytrzymał ją za łokieć i powiedział z naciskiem:

— Spokojnie, mała, tylko spokojnie. Jesteś zatrzymana do wyjaśnienia. Wszystko, co od tej chwili powiesz, może być wykorzystane przeciwko tobie, więc mów tylko prawdę, dziecińko. Prawda cię obroni — zarechotał.

— Co się dzieje? Dlaczego chcecie mnie aresztować?

— Nie jesteś aresztowana. Jak będziesz grzeczna, to jeszcze dzisiaj wrócisz do domku, do swojego ciepłego łóżeczka i zapomnimy o tobie. A teraz pójdziesz z tym kawalerem, który siedzi obok ciebie, a my tu jeszcze chwilę pobędziemy. — Spojrzał na holotor.

— Czy jego też chcecie aresztować?

— Tobie nic do tego, dziecińko — powiedział Trent i skinął na Snowhilla, który ujął ją mocno za ramię i pociągnął za sobą.

— Daniel! Ra... — krzyknęła dziewczyna, ale nie zdołała dokończyć, Snowhill bowiem zatkał jej usta, a Pinto, z drugiego rzędu, wprawnie ją obezwładnił.

— Powiedziałem, dziecińko, że masz być grzeczna, a ty mnie nie słuchasz. Niedobrze, to bardzo niedobrze. Brać ją! I wracać szybko!

Snowhill i Pinto wyprowadzili ją z trybuny, a do Trenta przysiadł się posterunkowy.

— Tego też weźmiecie? — wskazał wzrokiem na holotor.

— Mhm — mruknął Trent, patrząc w zamyśleniu na biegnące sylwetki.

— Z nim będzie trudniejsza przeprawa — powiedział posterunkowy.

— Damy sobie radę.

— Czy wyłączyć holotor? — zapytał usłużnie pracownik obsługi, który tymczasem przysiadł się z drugiej strony Trenta.

— Nie. Mamy czas. Niech dokończy trening. To chyba nie potrwa długo?

— Najwyżej pięć minut, może sześć. On właśnie rozpoczął ostatni odcinek specjalny, czyli bieg finałowy.

— Który to?

— Ten w brązowych spodenkach.

— Nie wygląda na wielkoluda — mruknął Trent.

— Ale on jest dobry, naprawdę dobry. Uważajcie.

— A ta reszta, co z nim biegnie — to też zawodnicy?

— Nie — roześmiał się pracownik obsługi. — To dzieci naszego komputera.

— Jakie to zmyślne — powiedział Trent z podziwem. Pierwszy raz widział holotor w działaniu. — Nawet ja miałbym kłopoty z odróżnieniem złudy od rzeczywistości.

— Nasza technika jest wspaniała — powiedział pracownik obsługi.

— Albo nasze zmysły są tak nędzne, że pozwalają się beczelnie oszukiwać — zareplikował Trent zgryźliwie. — O! Pięknie załatwił tego brodacza. Ale jeszcze ma trzech przed sobą. Stawiam dwa żółciaki, że nie zdąży ich przejść.

— Przyjmuję — powiedział Pinto, który zdążył już wrócić.

— A ja stawiam żółciaka, że wykończy go pierwszy z tej trójki z przodu — dorzucił Snowhill.

— Przyjmuję — mruknął Trent.

Tor biegu finałowego przypominał wyschnięte koryto górskiej rzeki. Bieżnia, najeżona najrozmaitszymi przeszkodami naturalnymi, wiła się wśród stromych zboczy. Sylwetki biegaczy wyraźnie odcinały się od zielonorudawego tła. Zawodnicy z gracją przeskakiwali zwalone pnie i rozpadliny, omijali większe doły i miejsca zasadzek, które trudno było niewprawnemu oku rozróżnić od naturalnego tła. Zawodnicy trzymali się od siebie w bezpiecznej odległości, wykluczającej nagły, bezpośredni atak. Tak więc tylko przy wyprzedzaniu, ze względu na wąskość toru, możliwe było bezpośrednie starcie dwóch biegaczy. Zawodnicy wypuszczani byli na tor co pięć sekund w kolejności losowej. Punkty zdobywało się nie tylko za czas biegu, ale także za liczbę wyminiętych zawodników lub zawodników, których próbę wyprzedzenia udało się odeprzeć na dystansie trzech kilometrów. Dopiero suma punktów z walki i czasu przebiegu pozwalała ustalić zwycięzcę i kolejność na mecie.

To był morderczy bieg.

Nic więc dziwnego, że w jego trakcie namiętności kibiców sięgały zenitu. Na prawdziwych zawodach tutaj wyładowywały się największe emocje; widownia wyła, gwizdała, hałasowała na najbardziej osobliwych instrumentach, by dodać odwagi swoim faworytom i onieśmielić konkurentów. Wszystko to zlewało się w gigantyczną kakofonię dźwięków, która przypominała raczej odgłosy starodawnego pola bitwy niż współczesne zawody sportowe. Jednak tutaj, na holotorze, bieg finałowy toczył się w zupełnej ciszy, co sprawiało niesamowite wrażenie; zawodnicy nie byli obiektami nienawiści jednych i uwielbienia drugich, lecz tylko maszynami do niszczenia konkurentów i połykania przestrzeni. Przypominało to zresztą pantomimę, której każdy uczestnik był zarazem i czarnym, i białym charakterem.

Zawodnik biegnący jako drugi zaczął zbliżać się do pierwszego, najwyraźniej z zamiarem wyprzedzenia go. Moment ten wykorzystał Daniel, który również zaczął zbliżać się do biegnącego przed nim konkurenta.

— Nie przejdzie — szepnął Snowhill.

— Przejdzie — powiedział półgłosem Trent. — Zobaczysz, że przejdzie.

Między pierwszą parą zawodników wywiązała się krótka walka. Atak drugiego został odparty. Zbliżali się do dużej rozpadliny, przez którą przerzucone było zwalone drzewo. Aby ją przebyć, musieli przebiec po pniu. Pierwsza dwójka pokonała tę przeszkodę w równych odstępach, ale kiedy zawodnik wbiegł na kłodę, Daniel zbliżył się do niego i zręcznym ciosem strącił w przepaść. Zawodnik zdołał złapać się kłody, ale był wyeliminowany z gry, za Danielem bowiem biegli następni.

— Mówiłem, że go przejdzie? — rzekł z triumfem Trent i klepnął się po udzie.
— Jesteś mi winien żółciaka, Snowhill.

— W porządku, szefie.

— Mnie też — dodał Pinto.

— OK, OK — zgodził się poirytowany Snowhill. — Bieg się jeszcze nie zakończył.

— Myślisz, że on przejdzie tych dwóch? — zapytał Trent. — Nie zdąży. Mówię ci, że nie zdąży. Zostało już tylko pięćset metrów.

— Zobaczymy — powiedział Snowhill.

Tymczasem Daniel biegł czujnie za pierwszą parą, zachowując bezpieczną odległość. Drugi zawodnik ponownie zbliżył się do pierwszego, który trzymał nóż w ręku i biegł, spoglądając na bok. Zbliżali się do przewężenia, za którym tor się rozszerzał nieco, ale zawodnicy, podobnie jak bardziej wytrawni kibice wiedzieli, że na takich rozszerzeniach najczęściej lokowane są zasadzki. Toteż tylko ryzykanci zbaczali z wąskiej, ale bezpiecznej ścieżki, licząc na łut szczęścia. Tuż za przewężeniem pierwsza para zawodników znów wdała się w walkę. Daniel błyskawicznie przyspieszył i starał się wyminąć ich, dopóki byli zajęci sobą. Biegł czujnie i miękko; tak miękko, że z trybun zda-

wało się, iż ledwie muska stopami nawierzchnię toru. Trent zacisnął pięści, a Snowhill zamarł w bezruchu. Również Pinto i posterunkowy z napięciem wpatrywali się w manewr Daniela. Jedyne pracownik obsługi, żując jakieś źdźbło, patrzył na bieg z obojętnością, a nawet z pewnym rodzajem znudzenia.

Daniel tymczasem zrównał się z walczącymi zawodnikami, ale biegł obok ścieżki, będąc w ten sposób poza zasięgiem ich ciosów. Gdy zaczął ich wyprzedzać, grunt zaczął się zapadać. I tu widzowie mogli ocenić klasę Daniela. Skoro tytko wyczuł zasadzkę, skoczył naprzód, wykorzystując bezładność rozpędzonego ciała, opadł miękko na ręce na drugim brzegu zamaskowanej rozpadliny i po zgrabnym przewrocie ponownie stanął na nogach. Wskoczył na ścieżkę i rozpoczął finisz. Przed nim była już tylko meta.

— Niech go aids porwie! — rzekł z podziwem Trent. — On jest naprawdę dobry. Gdyby nie odwołali zawodów, to stawiałbym na niego. Idziemy.

— Jesteś mi winien dwa żółciaki, szefie — przypomniał Pinto.

— Dobra, dobra! Później się policzymy. Teraz musimy usidlić tego ptaszka. Jeśli będzie stawiał opór, to strzelisz mu w tyłek. Na ile masz nastawiony obezwładniacz?

— Na pół godziny — odparł Pinto.

— Za długo — pokiwał z dezaprobatą Trent. — Wiesz przecież, że to ma jakieś skutki uboczne. Uśpiemy go na pół godziny, a może stracić całą formę. Szkoda by było. On jest... No, nieważne... Nastaw na pięć minut. Tyle nam wystarczy.

— Tak jest! — odkrzyknął Pinto i przekalibrował obezwładniacz.

Zeszli do podziemi, gdzie były szatnie zawodników i gabinety odnowy biologicznej. Pracownik obsługi wskazał im szatnię Daniela i tam właśnie Trent postanowił się na niego zasadzić.

Nie czekali długo. Po chwili usłyszeli zbliżające się kroki. Pinto schował się za drzwiami, z obezwładniaczem gotowym do strzału, Snowhill zaś ubezpieczał Trenta.

Gdy tylko Daniel wszedł do szatni, Pinto zatrzasnął drzwi i stanął w rozkroku, trzymając Daniela na muszce. Trent zaś powiedział:

— Zawodnik z ciebie dobry, chłopcze, ale obywatel — nie za bardzo. Nie rób głupstw i chodź grzecznie z nami. Chcemy wyjaśnić kilka spraw.

Po przekroczeniu progu Daniel stężał, co nie uszło uwagi Trenta, ale po jego słowach rozluźnił się i powiedział:

— Trudno... Dałem się podejść jak dziecko, ale to przez ten trening. Nie wiem, o co wam chodzi, ale zapewne macie do mnie jakąś sprawę, bo inaczej nie trudzilibyście się.

— Załóż rączki na kark — rzekł słodko Pinto i dodał ostrzegawczo: — Nie wykonuj żadnych gwałtownych ruchów, bo jestem nerwowy i mogę niechcący nacisnąć spust.

Daniel wykonał rozkaz.

— Masz rację, chłopcze — powiedział Trent. — Mamy do ciebie sprawę. Paskudnie się wplątałeś, aż mi ciebie żal. Musisz pójść z nami. Może wszystko wyjaśni się po twojej myśli i wtedy będziesz wolny. Tylko spokojnie! — rzucił ostrzegawczo, Daniel bowiem wykonał krok w jego kierunku.

— Nie jestem samobójcą! — obruszył się Daniel. — To jakieś nieporozumienie, które wkrótce się wyjaśni. Czy... — zawahał się. — Czy dziewczynę też macie?

— A, dziewczynę... — rzucił niedbale Trent. — Tak, mamy ją. Czeka na ciebie niecierpliwie pod dobrą opieką.

— Chcę być z wami szczerzy — powiedział Daniel.

— Oo! — Trent nastawił uszu.

— Cokolwiek macie do mnie — ona z tym nie ma nic wspólnego. Znamy się zaledwie kilkanaście godzin. To zwykła pomyłka, a dla was — strata czasu.

— Zobaczymy — odrzekł filozoficznie Trent. — Idziemy.

— Nie chcę wam sprawiać kłopotu, chłopcy, bo jakoś przypadliście mi do gustu — powiedział niemal wesoło Daniel. — Dlatego radzę wam, lepiej od razu mnie zwiążcie, żebym nie zrobił jakiegoś głupstwa, które nie będzie się wam podobało.

— Jak chcesz — Trent wrzucił ramionami i skinął na Snowhilla, który wyjął zza pasa kajdanki. Daniel podał mu ręce i w chwili, gdy kajdanki miały zatrzaskać się na jego przegubach, stało się coś dziwnego: Snowhill przeleciał nad Danielem, który upadając pociągnął go za sobą. Nim Snowhill zdążył fuknąć pełnego koziołka Daniel był już za nim, założył mu dźwignię na prawą rękę, z której wypadły kajdanki, i schował się za jego ciałem.

— Przykro mi, chłopcy — powiedział Daniel — że nie związałeś mnie wcześniej. Mówiłem, że będą kłopoty. Wypuście nas razem, to nie zrobię waszemu przyjacielowi krzywdy — Umowa stoi?

— Strzelaj — syknął Trent.

Pinto stał ciągle oniemiały, patrząc na wykrzywioną z bólu twarz Snowhilla.

— Strzelaj, do stu aidsów! — krzyknął Trent.

Pinto nacisnął spust. Krótka igła wyładowania przeszła udo Snowhilla, który natychmiast osunął się na podłogę: nie czuł już bólu w wyłamywanej ze stawu ręki. W sekundę później drugie wyładowanie przeszło odsłonięty bark Daniela. I on natychmiast osunął się na podłogę.

— Zawołaj posterunkowego i tego drugiego — powiedział Trent. — Pomogą nam ich wynieść. Ruszaj!

— Tak jest!

Trent pochylił się nad Danielem i zatrzaskał kajdanki na jego rękach, a po chwili wahania wyjął zza pasa drugie kajdanki i założył je na nogi Daniela. Sprawdził starannie zapięcia i mruknął pod nosem:

— On jest naprawdę dobry.

XXV

Odwołanie zawodów okazało się smutną koniecznością i wszyscy przyjęliśmy tę decyzję ze zrozumieniem, dosłownie wszyscy; i zawodnicy, i najbardziej nawet zagorzali kibice. Valdano „Wielki” powiedział naszemu reporterowi, że „rozumie powody”, dla których odwołano zawody, a Borys Schultz, najbardziej oddany zawodom kibic „w pełni popiera ostatnie decyzje”. Telewizja przygotowała specjalny program, na który składają się najlepsze fragmenty poprzednich zawodów, zawodnicy zaś samorzutnie postanowili przeznaczyć tantiemy z tego programu na pomoc ofiarom zbrodniczego sabotażu w Zakładach Chemicznych nr 3. Przygotowywany program będzie uczcą dla prawdziwych koneserów sportu. A więc przeżyjmy to jeszcze raz!

z artykułu wstępnego dziennika „Nasz Głos”, nr 108/10847 z dnia 20 kwietnia 2044 roku

Był głodny, ale bał się wstąpić do baru. Musiał więc zadowolić się suchym prowiantem z najbliższego dystrybutora spożywczego. Żuł powoli jedzenie i popijał słabym koktajlem. I jedno, i drugie zalaływało stęchlizną. Widocznie w tej dzielnicy z rzadka korzystano z ulicznych dystrybutorów spożywczych i zmagazynowane w nich zapasy traciły świeżość.

Był nie tylko głodny; również zmęczenie dawało mu się porządnie we znaki. Ostatniej nocy spał mało, przez większą bowiem część drogi musiał ręcznie prowadzić ekwipart. Wolał unikać głównych, czyli skomputeryzowanych tras komunikacyjnych, na których można było posłużyć się automatycznym pilotem. Przebył ponad tysiąc kilometrów bocznymi drogami, a co gorsza bezskutecznie.

Na jednym z posiedzeń Wysokiej Rady Generał mówił o kłopotach z opanowaniem kontrabandy. Szczególnie skarżył się wówczas na sytuację w niewielkich miejscowościach portowych rozsianych na zachodnim wybrzeżu wyspy. Nordmann doszedł do wniosku, że skoro w tym rejonie kontrabanda istnieje, to zapewne przerzuca się nie tylko towar, lecz również ludzi. Miał przy sobie jeszcze pewną sumę twardych, które — miał nadzieję — otworzą mu drogę ucieczki z wyspy. Nie miał już bowiem najmniej-

szych wątpliwości, że cokolwiek stało się na Apostezjonie i ktokolwiek za tym stoi, jemu wyznaczono rolę kozła ofiarnego, który miał zogniskować na sobie winę za wszystkie dotychczasowe niepowodzenia i zarazem stanowić miał proste i zrozumiałe dla wszystkich wyjaśnienie przyczyn owych niepowodzeń. Rola ta zupełnie mu nie odpowiadała, ale uświadomił sobie, że gdyby teraz popełnił samobójstwo, to nie zburzyłby narzuconej mu roli, lecz — przeciwnie — uwiarygodniłby ją przez swoją śmierć. Jakże łatwo byłoby zinterpretować jego samobójstwo jako ucieczkę przed odpowiedzialnością i słusznym gniewem ludu. Postanowił bronić się, a jedyną drogę obrony widział w opuszczeniu wyspy.

Gdy przybył na zachodnie wybrzeże, sprawa okazała się bardziej skomplikowana, niż mu się wydawało. Okazało się bowiem, że pieniądze, nawet twarde, to nie wszystko. Trzeba mieć także dojścia do właściwych ludzi i poręczenia, których Nordmannowi zabrakło. Przez cały wieczór włóczył się po najbardziej podejrzanych portowych spelunkach, ale nikt nic chciał z nim rozmawiać, a dwa razy musiał ratować się ucieczką, gdyż rozpoznano go i chciano dostarczyć do najbliższego posterunku. Dalsze przebywanie w tym rejonie uznał za zbyt niebezpieczne i postanowił wrócić do centralnej aglomeracji, gdzie łatwiej można było się ukryć. Jakże brakowało mu teraz towarzystwa tego energicznego młodego człowieka, którego poglądy były wprawdzie dość dziwaczne, ale który zdawał się zawsze wiedzieć, co należy zrobić. Daniel. I ta dziewczyna. Jak ona miała na imię? Przestał jeść i usiłował sobie przypomnieć, ale na próżno. Rozstał się z nimi zaledwie wczoraj, a zdawało się, że minęły lata. Gdzie oni teraz są? Przepadli gdzieś w trzewiach aglomeracji i nie było nadziei na ich odnalezienie. Daniel na pewno wiedziałby, jak zorganizować ucieczkę. Na pewno! Wyglądał na takiego, któremu żadne tajniki życia nie są obce.

Nordmann posilił się nieco, ale skoro tylko zaspokoił pierwszy głód, przestał jeść. Nie miał apetytu, a przy tym nie przywykł do tak podłego jedzenia. Najchętniej przespałby się kilka godzin, a potem zastanowił się, co robić dalej, ale nie mógł przecież zasnąć w ekwiparcie, a tym bardziej — na ławce w parku. Zgarnąłby go pierwszy lepszy patrol, których bez liku kręciło się dzisiaj po ulicach. Wyrzucił opakowanie z resztkami jadła i ruszył przed siebie. Ekwipart niespiesznie sunął, jak zwykle w czasie jazdy bez celu.

Nie wiedział, jak długo jechał. Ocknął się, gdy ekwipart nagle stanął. Wówczas dopiero uświadomił sobie, że zasnął w czasie jazdy. Rozejrzał się z niepokojem: stał w długiej kolumnie pojazdów, przejeżdżających kolejno przez prowizoryczny punkt kontrolny. Za nim już hamowały następne wozy. W pierwszym odruchu chciał zawrócić, ale było już za późno; z pewnością jego odjazd zostałby zauważony. Ulica była dość wąska, w samym centrum. Przejeżdżał tu wielokrotnie i znał te okolice doskonale. Zatrzymał się niedaleko jakiegoś pomnika, który stał przed frontem dużego, starego gmachu,

mieszczącego obecnie archiwa Służb Specjalnych. Za pomnikiem była druga, znacznie mniejsza ulica, a zaraz za nią rozpoczynał się rozległy park, w którym od czasu do czasu zwykł był zażywać świeżego powietrza.

Wymknął się niepostrzeżenie z ekwipartu i skrył się w obszernych fałdach spizowej szaty, w którą nieznanemu artyście przyoblekł pomnikową postać. Na szczęście była to postać siedząca, więc ukrycie się nic było trudne. Wyrzął ostrożnie na ulicę: jego zniknięcie pozostało nic zauważone. Już chciał zeskoczyć z postumentu, gdy jednostajny szum wielkowiejskiego ruchu rozdarły syreny. Zbliżał się duży konwój wojskowy. Nordmann przywarł do pomnika. Ostre kanty fałd uwierały go mocno, lecz bał się zmienić pozycję.

Powierzchnia pomnika była chropowata, tu i ówdzie pokryta nalotami siarczanu miedzi, zwanego dawniej patyną. Nordmann wiedział, że jest to związek trujący i starał się nie dotykać miejsc pokrytych nalotami. Kolumna wozów bojowych była długa i posuwała się naprzód z majestatyczną powolnością. Gdzie oni jadą? — zastanawiał się. — I dlaczego jest ich tak dużo? Tam, na zachodnim wybrzeżu ostatnie zarządzenia władz nie wyglądały tak groźnie; jedyną zmianą, jaką można było zaobserwować, była nieco większa nerwowość ludzi i nieco bardziej agresywne zachowanie się portowych lovittów.

Wyrzął ostrożnie zza kolana postaci. Koniec kolumny nie był jeszcze widoczny, mimo że jej czoło minęło go kilka dobrach chwil temu. Był unieruchomiony na pomniku i źle się czuł w tej idiotycznej sytuacji. On, Nordmann, pierwszy pisarz Apostezjonu, musiał kryć się jak ostatni z temporystów. Ogarnęła go fala złości i żalu. Miał ochotę wyskoczyć na ulicę i naubliżyć tym ciężkim, bojowym maszynom, przetaczającym się kilkanaście metrów od niego. Zaczynam się rozklejać! — stwierdził i sięgnął po pastylkę uspokajającą. Połknął ją bez popicia i poczuł, że zatrzymuje mu się w gardle. Zebrał trochę śliny i przełknął: pastylka poszła dalej. Wkrótce też odczuł jej kojące działanie.

Zaczął się przyglądać pomnikowi. Mijał go wielokrotnie i zawsze był przekonany, że przedstawia on jakąś kobietę. Tymczasem teraz widział wyraźnie, że twarz postaci ma rysy męskie, a to, co mężczyzna ów trzymał w dłoni, wspartej na kolanach, nie było pękiem kwiatów, lecz starodawnymi instrumentami astronomicznymi. Był to zatem pomnik jakiegoś astronoma: może Bruna, może Keplera, a może Kopernika? Zresztą, jakie to dzisiaj ma znaczenie? — pomyślał leniwie. — Dzisiaj inne pomniki zajmują centralne place aglomeracji, sławiące nie ludzi, lecz czyny, nie jednostkę, ale zbiorowy wysiłek. I to jest słuszne, bo czymże jest człowiek bez kolektywu? Takim wyrzutkiem jak ja, który chronić się musi w objęciach człowieka ze spizu, bo żaden żywy człowiek nie przyjdzie mu z pomocą. Poczuł wzbierającą w nim falę żalu, ale zgniótł to uczucie, zanim na dobre go opanowało. Znów powróciło wspomnienie Daniela. On by wiedział, co teraz zrobić. Zaraz, zaraz! Czyż właśnie Daniel nie radził mu, by szukał schronienia wśród

temporystów? Wśród temporystów? Tych pogardzanych powszechnie dziwaków, którzy chcieliby zatrzymać czas? Tych wyrzutek społecznych, którzy drwią sobie z prawa, żyją w ciemnocie i zabobonie, reprodukują się jak zwierzęta, gorzej nawet, bo na chybił trafił, a przecież wśród zwierząt funkcjonują jednak mechanizmy selekcji? Którzy nielegalnie produkują niezdrową żywność i dają ją nawet małym dzieciom, którzy wychowują dzieci po amatorsku, indywidualnie, bez oglądania się na istotne potrzeby społeczności. Nic dziwnego, że dzieci te wyrastają później na takich samych dziwaków i egoistów, jak ich rodzice. To przecież te ciemne, nieoświecone masy, mimo naszych wieloletnich wysiłków, nie potrafiły wznieść się na poziom wysublimowanej miłości, godnej nowoczesnego człowieka. Przecież oni nadal wiążą miłość z procesem rozrodczym, ulegając instynktom, które oświecona część naszego społeczeństwa już dawno potrafiła przezwyciężyć. Przecież nawet najmniejsze dziecko wie, że miłość to jedno, a reprodukcja — to drugie. Można kochać każdego, ale reprodukcja to proces skomplikowany, który bez pomocy fachowców prowadzi do skutków równie opłakanych, jak pokątne, amatorskie wychowywanie nowych pokoleń. Niejednokrotnie w swoich powieściach opisywał dramaty, na jakie naraża ludzi lekceważenie obowiązującego prawa, a także pewnych elementarnych norm cywilizacyjnych, choć — prawdę mówiąc — w owych nieszczęsnych prywatnych zapiskach również i ten temat niepokoił go pod wpływem chwilowego nastroju czy zwątpienia, które na szczęście zawsze mijało.

Z zamyślenia wyrwała go cisza. Kolumna przetoczyła się; najwyraźniej zmierzała w stronę Pałacu Centralnego. Nordmann zsunął się z postumentu i skierował w stronę parku.

Przeszedł już niemal cały park, gdy usłyszał dźwięk nadlatującego wirolotu. Instynktownie przypadł do najbliższego pnia drzewa. Maszyna przeleciała nad nim i znikła wkrótce za drzewami. Nordmann wiedział już, co ma robić. Postanowił złapać pierwszy wolny ekwipart i poszukać Daniela. Wszak mówił on coś o tym, że będzie trenował. A sal treningowych nie było w aglomeracji tak wiele. Poszukiwania Daniela wiązały się z pewnym ryzykiem, ale nie mniej ryzykowne było wałęsanie się bez celu.

Podjęte postanowienie nappełniło go otuchą. Przeszedł szybkim krokiem trawnik oddzielający go od ulicy, a później skierował się do najbliższego skrzyżowania. Nigdzie nie było wolnego ekwipartu, ale za to dostrzegł zbliżający się z oddali patrol. Skręcił pospiesznie w małą przecznicę i zaczął biec. Po chwili jednak zwolnił kroku, bo płuca natrączywie domagały się powietrza, a serce biło jak oszalałe. Oddychał głęboko, rozglądając się po okolicy. Nigdy tutaj nie był, mimo że od miejsca jego zwyczajowych spacerów nie było daleko. Była to dzielnica niskich szeregowych zabudowań, w jakich mieszkały niższe warstwy albo wręcz — fizyczni niewykwalifikowani. Zastanawiające jednak było to, że domy były na ogół porządnie utrzymane, a uliczka czysta. W zasięgu wzroku nie było żadnego ekwipartu, a — co jeszcze dziwniejsze — przy drzwiach jednego

z domostw dostrzegł grupkę małych dzieci, pozbawionych dozoru wychowawcy. Dzieci zajęte były jakąś skomplikowaną zabawą, której sensu nie rozumiał ani nawet nie starał się pojąć.

Przyspieszył kroku. Gdy je mijał, dzieci przerwały zabawę i przyglądały mu się z ciekawością. Uśmiechnął się do nich z zakłopotaniem, a one odpowiedziały mu uśmiechem i powróciły do swoich zajęć. Nordmann chciał ruszyć dalej i zmartwiało: z za zakrętu wyłonił się patrol. Wszedł już zbyt głęboko w uliczkę, aby mógł zawrócić. Wiedział, że nie byłby w stanie przebiec nawet pięćdziesięciu kroków. Obejrzał się; dzieci już nie było. Widocznie schroniły się w domu, przed którym się bawiły. Nogi same poniosły go do drzwi, za którymi najprawdopodobniej były dzieci. Zastukał mocno. Drzwi otworzyły się natychmiast, jakby ktoś stał za nimi i czekał na jego przybycie. Nie namyślając się przestąpił próg. Drzwi zamknęły się za nim. Stał w mrocznym korytarzu, a obok siebie wyczuwał obecność drugiego człowieka. Słyszał jego oddech, ale go nie widział, gdyż oczy nie przystosowały się jeszcze do panujących tu ciemności.

— Nic wyglądasz na lovitta — usłyszał męski głos.

— Bo nim nie jestem — rzekł obracając się w stronę, z której dochodził głos.

— Dlaczego uciekasz, pokorny? — usłyszał znów ten sam spokojny głos. — Masz jakieś kłopoty ze specami?

— Nie uciekam! — zaprzeczył skwapliwie. — Widziałem tutaj gromadkę miłych dzieciaków. Chciałem... Chciałem... — Nie wiedział, co dalej powiedzieć.

— Jeśli nic uciekasz, to jesteś kapusiem, a może nawet specem — stwierdził głos. Z mroku powoli wyłaniały się kontury mężczyzny.

— Nie, nie! — zaprzeczył gwałtownie.

— A więc uciekasz, pokorny.

— Nie jestem żaden pokorny ani nie uciekam. Po prostu spacerowałem tędy i...

— Miłego spaceru. — Mężczyzna chwycił za klamkę i zaczął otwierać drzwi.

— Nie! — Nordmann chwycił go za rękę. — Proszę. Tylko chwilę. Czy mógłbym... Czy mógłbym chwilę odpocząć? Poczuję się słabo. To ten upał. Gdybym dostał szklankę wody od razu poczułbym się lepiej. Ja zapłacę, ja...

— W moim domu za wodę nie bierze się pieniędzy — skarcił go mężczyzna.

Teraz Nordmann był w stanie rozróżnić nawet szczegóły ubioru. Ogarnął go niepokój: mężczyzna wprawdzie nie patrzył nań z wrogością, ale ubrany był w sposób nie pozostawiający najmniejszych wątpliwości.

Rozmawiał z temporystą.

Mężczyzna wahał się przez chwilę, wyjrzał przez wizjer w drzwiach, a potem mruknął:

— Chodź, pokorny, dam ci szklankę wody.

Nordmann szedł posłusznie za nim dość długim korytarzem. Podeszli do jakichś drzwi i mężczyzna przystanął.

— Wspominałeś, pokorny, jakieś dzieci. Tu nie ma żadnych dzieci. I nigdy nie było.

— Ja tylko tak — starał się bagatelizować. — A zresztą, może mi się tylko zdawało?

— Na pewno — stwierdził krótko mężczyzna. — Wejdz.

Przepuścił go przodem i zapalił światło, bo okna były szczelnie zasłonięte. Nordmann wszedł do niewielkiego pokoju, w którym obok skromnych sprzętów dostrzegł prymitywny dystrybutor żywnościowy. Wtedy usłyszał za sobą okrzyk zdumienia.

— Czy ty... — mężczyzna przyglądał mu się uważnie. — Tak, nie ma wątpliwości. Ty jesteś... Chwileczkę! — przekręcił klucz i schował go do kieszeni. — Ty jesteś ten facet, którego cała służba specjalna Apostezjonu poszukuje od dwóch dni! Nazywasz się Nordmann!

Nordmann opadł ciężko na krzesło; było mu już wszystko jedno.

XXVI

Dawno, dawno temu, za siedmioma morzami, a może całkiem blisko...

zwyczajowy sposób rozpoczynania dewiacyjnej socjalizacji dzieci wśród temporystów. Z: „Analiza praktyk wychowawczych w grupach marginesu”, zbiorowe, Wydawnictwo Uniwersyteckie. Apostezjon 2042 wyd. II poprawione

W zasadzie powinien być zadowolony, osiągnął bowiem to, co zaplanował: większość rady miał po swojej stronie. Czarny Batalion był mu ślepo posłuszny, kontrolował środki masowego przekazu. A jednak nie wszystko poszło po jego myśli. Część członków rady skupiła się wokół Nemezcza, który ze starczym uporem odmawiał swojego poparcia dla jedynej koncepcji, która otwierała przed Apostezjonem nowe perspektywy. Musiał go aresztować, a także tych, którzy się do niego przyłączyli. Znalazł się wśród nich również Marten, co było dla Vittoliniego sporym zaskoczeniem. Zawsze bowiem traktował Martena jako trzeźwego pragmatyka. Chętnie wysłałby tych zadzierzystych dziadków na zasłużoną emeryturę, ale musiał ich ukarać, choćby symbolicznie, aby ich nielojalna postawa nic stała się niebezpiecznym precedensem.

Obmyślał właśnie sposób rozwiązania tego kłopotliwego problemu, gdy do gabinetu wpadł wzburzony Politolog, któremu Vittolini powierzył tymczasowo przewodnictwo nowej rady.

— Generale! — rzekł prędko. — W stronę Pałacu Centralnego zmierza duża kolumna wojska w pełnym rynsztunku bojowym. Czy pan ich wezwał?

— Jak to? — Vittolini zerwał się z fotela. — Jaka kolumna wojska? Nie wzywałem żadnych posiłków! To musi być jakaś plotka!

— Generale, to nie plotka. Proszę spojrzeć! — Dotknął jednego z licznych przycisków znajdujących się na konsolecie obszernego biurka, zajmowanego teraz przez Vittoliniego. Część ściany naprzeciwko biurka rozsunęła się, ukazując rząd monitorów, na które przesyłane były obrazy z kamer obserwacyjnych zainstalowanych w newralgicznych punktach aglomeracji.

— Widzę, że pan lepiej czuje się w tym gabinecie niż ja — zauważył kąśliwie Vittolini.

— Generale! — Politolog wykonał gest zakłopotania. — Po prostu pana poprzednik często korzystał z moich nieformalnych ocen sytuacji i to wszystko. Proszę spojrzeć na monitor czterdziesty, to jest ta tajemnicza kolumna wojska.

— Widzę! — rzekł opryskliwie Vittolini, po czym włączył gabinetowy wideocom. — Poruczniku! Do mnie!

Za chwile w drzwiach stanął adiutant w postawie poddania.

— Sprawdzić, co to za wojsko — rzekł Vittolini, pokazując na obraz na czterdziestym monitorze. — Wezwać w trybie alarmowym cały Czarny Batalion do ochrony Pałacu Centralnego. Jeśli dowódca tej tajemniczej jednostki nie poda hasła i nie zareaguje na rozkaz zatrzymania się, uderzyć na nich tutaj — wskazał na monitor dwudziesty pierwszy, na którym widniał obraz sennego skrzyżowania dwóch arterii komunikacyjnych. — Uderzenie wykona Piąta Brygada Miejska, której koszary znajdują się tuż koło tego skrzyżowania. Wykonać!

— Tak jest! — adiutant odwrócił się na pięcie i zniknął za drzwiami.

— Czy pan coś z tego rozumie? — zapytał Vittolini.

— Nie wszystko — odparł ostrożnie Politolog.

— Przecież to nie może być jedna z naszych zbuntowanych jednostek z południa. Nie zdążyłaby tak szybko przybyć do aglomeracji centralnej, a gdyby nawet, to jej ruch nie mógłby pozostać nie zauważony!

— To prawda.

— To chyba jakieś nieporozumienie, które niebawem się wyjaśni.

— Mam nadzieję. Czy... — Politolog zawahał się. — Czy w stolicy zdarzyły się jakieś przypadki niesubordynacji w wojsku?

— Nie! — odparł ostro Vittolini. — Skąd to panu przyszło do głowy?

— A czy grupa Nemezka jest dobrze izolowana?

— Oczywiście! Pilnuje ich mój zaufany człowiek.

— W takich historycznych chwilach zaufanie jest dość kruchą podstawą działania.

— Co pan ma na myśli?

— Te zbuntowane oddziały na południu powołują się na jakieś rozkazy Nemezka, a przecież nie mógł on wydać żadnych rozkazów po tym, jak pan przejął władzę. Chyba że...

— Chyba że co?

— Chyba że istnieje jakiś przeciek, jakiś kanał łączności, o którym nie mamy pojęcia.

Vittolini spojrział na niego przeciągle i włączył wideocom. Wystukał na nim kod wywoławczy Sektora IV. Ekran zamigotał i po chwili pojawiła się na nim twarz Adlera.

— Wszystko w porządku? — zapytał Vittolini.

— Tak jest!

— Gdzie Trent?

— Na dole, z więźniami.

— Co on tam robi?

— Nie wiem. Chyba chce wydobyć od nich jakieś informacje.

— Macie już Nordmanna?

— Jeszcze nie, ale Trent ujął tych, którzy ostatni go widzieli.

— I co?

— Ślad znowu się urywa, ale to tylko kwestia czasu.

— Wezwijcie Trenta na górę i niech się natychmiast ze mną skontaktuje. I chcę mieć w końcu tego Nordmanna!

— Tak jest!

Vittolini rozłączył się i zlustrował monitory. Na monitorze czterdziestym widać już było tylko tył kolumny, a na monitorze trzydziestym dziewiątym — jej czoło, jeszcze w oddali, ale już wyraźnie widoczne.

— Generale — powiedział cicho Politolog — myśli pan, że to — wskazał wzrokiem na kolumnę — może być... Nordmann?

— Nie sądzę! — odparł szorstko. — Nordmann to pętaś, a przy tym nie miał żadnych kontaktów z wojskiem. Nie, to na pewno nie on! O! — ożywił się. — Niech pan zobaczy! Już ustawiają zapórę!

Na monitorze dwudziestym pierwszym puste do tej pory skrzyżowanie zaczęło stopniowo wypełniać się antyudarowymi pojazdami pancernymi. Vittolini zbliżył się do monitorów; nie mógł opanować podniecenia.

— Jeśli to rebelianci — powiedział — to tutaj dostaną nauczkę.

— A co będzie, jeśli przejdą?

— Przez Piątą Brygadę Miejską? — Vittolini spojrzał na niego zaskoczony. — Mało prawdopodobne. Przecież to elitarna jednostka. Nawet jeśli przejdą, to z takimi stratami, że przestaną być groźni. Moi chłopcy z Czarnej Batalionu, choć nie wprawieni w walkach z wojskiem, z łatwością dokończą dzieła.

— Co będzie — głos Politologa był cichy, ale dobitny — jeśli przejdą nie zaatakowaliśmy?

— Dlaczego Piąta Brygada miałaby ich przepuścić? Przecież to by oznaczało...

— No właśnie! Wygrywa ten, Generale, kto umie przewidywać najgorsze i zapobiegać mu w porę.

Vittolini rzucił się do wideocomu:

— Przygotować łączność rezerwową z Centrum Dyspozycyjnym Sektora IV. Tam będzie moje zapasowe stanowisko dowodzenia.

— Tak jest! — odparł funkcjonariusz z ekranu.

— Przygotować też środki ewakuacji Wysokiej Rady. Ewakuacją powietrzem. W Centrum Dyspozycyjnym Sektora IV zgromadzić natychmiast żywność na tydzień dla czterdziestu osób!

— Czy opuszczamy Pałac Centralny? — zapytał funkcjonariusz.

— Wykonać!

— Tak jest!

Drugi wideocom sygnalizował połączenie. Adiutant zaanonsował Trenta.

— Łączyć! — rzucił krótko Vittolini.

Obraz adiutanta zniknął, a na jego miejscu pojawił się obraz Trenta, który — skoro tylko uzyskał połączenie — przyjął regulaminową postawę poddania i wyrecytował jednym tchem:

— Sierżant Trent melduje się na rozkaz!

— Zostawcie te formalności, Trent — powiedział ze znużeniem Vittolini. — Macie Nordmanna?

— Nie. Ta dwójka chyba istotnie nic nie wie. Spotkali się z nim przypadkowo i równie przypadkowo rozstali.

— Ale wiedzieli, że on jest poszukiwany?

— Tak.

— I pozwolili mu spokojnie odejść, a więc są współnikami.

— Tak jest!

— Jak eksperci?

— Jeden z nich chce koniecznie rozmawiać z panem generałem. Mówi, że ma ważną wiadomość do przekazania.

— Który to?

— Marten.

— Daj go.

— Tak jest! — Trent skinął na kogoś poza kadrem i po chwili na ekranie pojawiła się twarz profesora Martena.

— Co mi pan ma do powiedzenia? — zapytał sucho Vittolini.

— Chcę dowiedzieć się, co pan zamierza z nami zrobić?

— Pan przyłączył się do tych, którzy w decydującej chwili zawiedli. Naraził pan na ogromne ryzyko bezpieczeństwo naszego państwa. Mogła wybuchnąć wojna domowa, a pan i panu podobni byliby za nią odpowiedzialni.

— Jest pan pewien, Generale, że wojny domowej nie będzie?

— Tak. Wszystko jest pod moją kontrolą. Ale wasz zbrodniczy zamiar musi być przykładnie ukarany. Chyba nie ma pan żadnych złudzeń? A zresztą, na moim miejscu postąpiłby pan tak samo.

— Zapewne. A jednak... — Marten zawiesił głos i zamilkł.

— Nie mam czasu na zagadki — rzekł prędko Vittolini. — Jeśli chce mi pan coś powiedzieć, to teraz, bo później już może nie będzie okazji.

— Pan jeszcze nie wygrał — odparł spokojnie Marten. — Choć nie przeczę, że ma pan szansę? Mógłbym panu pomóc, gdyby...

— Co za bzdury! — przerwał mu Vittolini. — Czy zdaje pan sobie sprawę ze swojego położenia?

— Tak, ale obawiam się, że pan, Generale, niezupełnie zdaje sobie sprawę ze swojego położenia.

— O co chodzi? Proszę nie wystawiać mojej cierpliwości na próbę!

— Chodzi o moje osobiste bezpieczeństwo.

— Tylko tyle? — zapytał z ironią Vittolini.

— Nie, nie tylko. Chodzi także i o moją dotychczasową pozycję, Pan mi zagwarantuje jedno i drugie, a ja panu pomogę wygrać. Układ jest chyba uczciwy.

— Dobrze! — Vittolini roześmiał się nieszczerze. — Nie sądzi pan chyba, że uwierzę panu na słowo?

— Nie, nie sądzę. Ale myślę, że dobrym potwierdzeniem prawdziwości moich słów będą, a może już są, fakty. Pierwsza ze zmobilizowanych jednostek powinna znajdować się już niedaleko. Być może nawet obserwuje ją pan na swoich monitorach. Następne będą tu za kilka godzin i wtedy dopiero okaże się, czy pan wygrał. To jest jeden problem. Ale jest również druga sprawa. Otóż wiem, jak mógłby pan ująć osobę, na której w swoim czasie bardzo panu zależało, osobę, której poszukiwały, a może nadal poszukują, wszystkie pańskie służby. Co pan na to?

— Chwileczkę, profesorze! — rzekł prędko Vittolini. — Proszę mi dać Trenta.

Obraz zmienił się i na ekranie ukazał się Trent.

— Słuchajcie, Trent. Słuchajcie uważnie. Wsadzicie profesora Martena do wirolotu i dostarczycie go jak najszybciej do mnie. Rozumiecie? Jak najszybciej!

— Tak jest! — Ekran zamigotał i zgasł.

Vittolini wziął z dystrybutora wzmocniony koktajl. Usiadł w fotelu i obserwował monitory. Nie zidentyfikowana jednostka, nie odpowiadająca nawet na sygnały alarmowe, zbliżała się powoli do zapory ustawionej przez Piątą Brygadę Miejską.

— Wygląda na to — zaczął milczący do tej pory Politolog — że grupa Nemezka do brze przygotowała się do rozwoju wypadków.

— Tak to wygląda — potwierdził Vittolini. — Proszę zostawić mnie samego.

— Jak pan sobie życzy, Generale. Tylko jedno pytanie, jeśli pan pozwoli.

— Słucham.

— Dlaczego wybrał pan Centrum Dyspozycyjne Sektora IV? Sektor XXI byłby dogodniejszy, jak sądzę, bo jest blisko portu, a nie w samym środku tego zamętu.

— Chyba nie myśli pan o ewakuacji z wyspy? — zapytał ostro Vittolini.

— Skądże znowu! — zaprzeczył skwapliwie Politolog.

— Wybrałem Sektor IV, bo Centrum Dyspozycyjne góruje nad otoczeniem. Gdyby łączność wizyjna zawiodła, można prowadzić obserwacje wzrokowe.

— Rozumiem — Politolog skłonił się lekko i opuścił gabinet.

Vittolini tymczasem połączył się z adiutantem.

— Wezwać Maxa!

— Tak jest!

Po chwili do gabinetu wszedł Max i stanął w niedbalej, wyczekującej postawie przy drzwiach. Odznaka killera nie była już schowana pod kołnierzem i wyraźnie odbijała się od tła jego szarego kombinezonu.

— Będziesz musiał wyświadczyć mi przysługę, Max — powiedział Vittolini, a w jego głosie zabrzmiały nuty znużenia.

— Tu, w gabinecie?

— Daj spokój! Nie w głowie mi teraz rozrywki. Mam dla ciebie robotę. Myślę, że wykonasz ją z przyjemnością.

— Trzeba kogoś... — killer wykonał znaczący gest po szyi.

Vittolini potwierdził skinieniem głowy i powiedział:

— Grupa więźniów podejmie próbę ucieczki zbiorowej. I ty wtedy ze swoimi chłopcami wejdiesz do akcji. Ale uważaj! Wśród uciekających będzie również ten, który już raz utarł ci nosa. Myślę, że drugi raz mu się to nie uda.

Oczy killera błysnęły, ale zaraz przykrył je ciężkimi powiekami.

— Tym razem mi się nie wymknie — stwierdził ponuro.

— Nikt nie powinien wyjść żywy z tej ucieczki. Rozumiesz?

— Zrobi się. A tego gagatka załatwię, zanim zdąży zipnąć.

— Przygotuj się, abyś mógł ruszyć w każdej chwili.

— Tak jest! — odpowiedział, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Vittolini w zamyśleniu obserwował monitory. Obie jednostki były już prawdopodobnie w zasięgu wzajemnego rażenia, ale nie zidentyfikowana jednostka nie użyła jeszcze broni, a Piąta Brygada mogła jej użyć dopiero wówczas, gdy wszystkie inne sposoby zawiodą. Czy rzeczywiście jej użyje? — ta myśl natarczywie kołatała mu się pod czaszką. Jeśli Marten wiedział, że nie zidentyfikowana jednostka wejdzie do centrum miasta, to musiał przynajmniej być świadkiem wydania jej rozkazu. Ale jak? W jaki sposób? Rozkazy mógł wydać tylko Nemecek albo — w jego zastępstwie — ktoś z prezydium rady. Marten należy do prezydium, ale przecież był on ściśle izolowany, podobnie jak Nemecek i cała reszta tych głupców, którzy się nie podporządkowali.

Nie zidentyfikowana jednostka zatrzymała się przed stanowiskami Piątej Brygady i sformowała szyk bojowy. Zamiary buntowników były jasne — nawet dla Vittoliniego,

który nie miał zbyt ścisłych kontaktów z wojskiem. Na sztabie, zdominowanym przez kobiety, też nie mógł zbyt wiele polegać, gdyż ostatnie wydarzenia wpędziły sztabówki w prawdziwą histerię. Dlatego musiał je izolować. Zresztą nie cierpiał kobiet imających się męskich zawodów i dlatego postanowił objąć osobiście dowodzenie, dopóki nie zdoła zastąpić kobiecego personelu prawdziwymi żołnierzami...

Włączył wideocom:

— Czy te dwie jednostki kontaktują się? — zapytał adiutanta. — Macie ich na podsłuchu?

— Nie, Generale. Zachowują ciszę radiową.

— Rozumiem. — Rozłączył się.

Jeden z wozów bojowych nie zidentyfikowanej jednostki wysunął się przed szyk, a w tym samym czasie wóz dowódcy Piątej Brygady wyjechał mu naprzeciw. Vittolini maksymalnie powiększył obraz. Włazy w obu wozach były otwarte. Pojazdy zatrzymały się w pół drogi. Wskoczyły z nich postacie w uniformach polowych. O czymś rozmawiali i Vittolini dałby wiele, aby wiedzieć o czym. Rozmowa nie trwała długo. Wozy wróciły na swoje miejsca i nie zidentyfikowana jednostka ruszyła. Vittolini z napięciem obserwował monitor. Nagle załała go fala gorąca: Piąta Brygada rozstępowała się!

Nie zidentyfikowana jednostka przejechała nie zaatakowana, a za nią ruszyła w szyku marszowym Piąta Brygada. Kierunek ich marszu nie pozostawiał już teraz żadnych wątpliwości: obie jednostki jechały w stronę Pałacu Centralnego. Vittolini wyłączył monitory.

— Czy ewakuacja przygotowana? — zapytał adiutanta.

— Tak jest! Przybył Trent z więźniem.

— Wprowadzić!

Wszedł Marten, a za nim Trent, który przyjął postawę poddania i rozpoczął regulaminowy meldunek powitalny. Vittolini jednak machnął ręką niecierpliwie:

— Nie ma czasu na ceremonie. Zostawcie nas samych, Trent!

— Tak jest!

— Słucham, profesorze — powiedział, starając się nadać swojemu głosowi uprzejmy ton. — Chciał mi pan przekazać jakieś informacje.

— Tak — odparł Marten, sadowiąc się w fotelu. — Nie częstuje pan niczym, nawet słabym koktajlem? W waszych przechowalniach posiłki i napoje są bardzo niewyszukane.

— Przepraszam, profesorze, za brak gościnności, ale naprawdę nie mamy zbyt wiele czasu. Niebawem opuścimy to miejsce.

— Sytuacja jest aż tak poważna?

— Do rzeczy, profesorze, do rzeczy!

— Dobrze. Myślę, że przekonał się pan, że mówiłem prawdę — spojrzął bystro na Vittoliniego.

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— O tej jednostce.

— Ach, tak.

— Czy możemy porozmawiać o gwarancjach?

— Gwarancjach?

— Tak — potwierdził spokojnie i dodał: — Gwarancjach dla mnie.

— Jeśli dam panu moje słowo, czy pan uwierzy?

— Nie.

Obaj zaśmiali się nieszczerze, a Vittolini powiedział:

— Niech za gwarancje wystarczy panu fakt, iż jeśli to, co ma mi pan do powiedzenia, okaże się rzeczywiście pomocne, to będzie mi pan po prostu potrzebny. To jedno. A po drugie... — przerwał i spojrzał na niego zimno: — Mógłbym przecież z pana wycisnąć te informacje, jak pastę z tubki. Sam pan o tym dobrze wie. A jednak rozmawiam. To też może pan uznać za jakąś gwarancję.

— Wyciskanie tej tubki, jak był pan łaskaw się wyrazić, zabrałoby trochę czasu, a sam pan powiedział, że nic ma go zbyt wiele — zauważył Marten zgryźliwie. — Ale dobrze. Przyjmuje, ten układ i porozmawiajmy serio. W nocy przed zebraniem, na którym był pan łaskaw ujawnić swoje zamiary, profesor Nemeček, jako urzędujący przewodniczący Podkomitetu do Spraw Obrony i Bezpieczeństwa, wysłał w zalakowanych kopertach rozkazy do wszystkich jednostek desantowych. Były to rozkazy, które uniemożliwić miały ewentualny przewrót. Jednostki, które nadciągają, wykonują te właśnie rozkazy. I jestem pewien, że je wykonują, bo są to rozkazy, z punktu widzenia obowiązującego prawa, najbardziej legalne.

— Skąd pan to wie?

— Jako członek prezydium rady uwierzytelniałem ich legalność.

— Kto może te rozkazy odwołać?

— Nemeček.

— A jeśli nic zechce?

— Mogę to zrobić ja, bo i mój podpis na nich figuruje, ale skutek nie jest już tak pewny.

— Jedziemy!

— Dokąd?

— Do Nemečka. Trzeba zapobiec rozlewowi krwi. Na bratobójczych walkach mogą skorzystać tylko nasi wrogowie. — Vittolini skierował się w stronę drzwi.

— Czyżby zamierzał się pan wycofać? — zapytał Marten wstając z fotela.

— Ja? — Vittolini stanął jak wryty. — To Nemeček musi się wycofać. Chodźmy, szkoda czasu.

Poszedł pospiesznie przez pokój adiutanta, rzucając po drodze rozkazy:

— Wykonać ewakuację pałacu do Sektora IV! Trent, za mną!

Vittolini szedł tak szybko, że Marten z trudem za nim nadązał. Pochód zamykał Trent. Gdy przechodzili długim korytarzem w stronę szybów windowych, dał się zauważyć ożywiony ruch, graniczący z rozgardiaszem, jak zwykle przy pospiesznej ewakuacji. Tuż przy windach natknęli się na Politologa rozmawiającego przyciszonym głosem z Dziennikarzem.

— Panowie będą mi potrzebni — stwierdził Vittolini. — Proszę ze mną! Wasze rzeczy zostaną zabrane później.

Politolog i Marten wymienili zimne spojrzenia, ale nie odezwali się do siebie słowem. Skoro tylko zajęli miejsca w wirolocie, maszyna poderwała się w powietrze, a kabinę wypełnił szum silników.

— Generale! — Szepnął poufnie Trent, nachylając się w stronę Vittoliniego. — Szumowiny podnoszą głowy. Nadchodzi coraz więcej meldunków, że lovitci roją się na ulicach, łączą się z dezterterami. Są tak bezczelni, że tworzą zbiegowiska nawet w dzielnicach normalnych obywateli, którzy boją się wyjść z domów. Dlatego pewnie absencja w pracy skoczyła dzisiaj gwałtownie w górę. Są meldunki, że wiele zakładów po prostu nie pracuje, bo nie ma kim. Na uniwersytetach...

— Dajcie mi spokój! — wybuchnął Vittolini. — Mam teraz ważniejsze sprawy na głowie, a wy wyjeżdżacie z jakimiś duperelami!

Trent cofnął się i zapadł w fotelu w ponurym milczeniu. Vittolini tymczasem zwrócił się do siedzącego obok Martena:

— Wspomniał pan, profesorze, że wie pan, jak ująć człowieka, którego od dłuższego czasu poszukujemy. Chodziło o Nordmanna?

— Nie — Marten zaśmiał się krótko. — O kogoś znacznie ważniejszego. Pamięta pan zapewne zaburzenia społeczne sprzed kilku lat i główną Strefę tych zaburzeń, którą pański Czarny Batalion tak umiejętnie spacyfikował?

— Pamiętam.

— Czy przypomina pan sobie, kogo posądzaliśmy o wywołanie tych zaburzeń?

— Ira Dogow! — krzyknął Vittolini. — Pamiętam. Przez lata całe tropiliśmy go. On zdaje się był kiedyś ekspertem, a potem miał jakieś kłopoty i przeszedł operację mózgu. Potem uciekł i ślad po nim zaginął. Tak! Pamiętam to dobrze. Sam byłem zaangażowany w jego poszukiwania. Ale potem rozeszły się pogłoski o jego śmierci...

— Ira Dogow żyje — stwierdził Marten.

— Niemożliwe!

— A jednak to prawda.

— Gdzie on jest?

— W waszych rękach, tylko o tym nie wiecie. Widziałem go dzisiaj, wczoraj zresztą też. Poznałem go od razu, choć minęło wiele lat i jego powierzchowność jest cokolwiek dziwaczna. To jeden z lovitów, których wczoraj przyprowadził ten pana osiłek — wskazał wzrokiem na Trenta.

— Skąd pan ma pewność, że to on?

— Czyżby zapomniał pan, Generale, że to ja go operowałem?

— Ach tak, słusznie. Oddał mi pan dużą usługę, profesorze. Może być pan pewien, że potrafię ją docenić. Dziękuję! — wyciągnął rękę, którą Marten skwapliwie uścisnął. Widzący tę scenę Politolog odwrócił wzrok do okna.

— Lądujemy! — oznajmił pilot.

Vittolini, w otoczeniu swojej świty, natychmiast zjechał do podziemi. Szli długim korytarzem, po którego obu stronach były izolatki. Ściany izolatek składały się wyłącznie z pionowych prętów, wpuszczonych w podłogę i sufit, by strażnicy mogli swobodnie obserwować wnętrze celi. Prowadził ich Adler ponaglany przez Trenta.

— To tu — powiedział Trent i dał znak Adlerowi, by otworzył izolatkę. Do środka wszedł Vittolini, a za nim Marten i Politolog. Trent stanął skromnie w otwartych drzwiach.

— Profesorze Nemecek! — zaczął Vittolini. — Nie mam zbyt dużo czasu, więc od razu przystąpię do rzeczy. Musi pan natychmiast odwołać rozkazy. Myślę, że zgadzamy się przynajmniej w jednym: obydwaj nie chcemy przelewu krwi. Daję panu szansę. Ostatnią. Jeśli odwoła pan rozkazy, wszystko puścimy w niepamięć. Abolicja, rozumie pan, profesorze? Odejdzie pan na zasłużoną emeryturę i dożyje pan swoich dni z godnością.

— Czyżby? — profesor Nemecek nawet nie wstał z pryczy.

— Tak, z godnością i otoczony szacunkiem innych. Wystarczy jedno pańskie słowo. Stać mnie na wielkoduszny gest, bo w pełni kontroluję sytuację. Położył pan wielkie zasługi w umacnianiu Apostezjonu i dlatego daję panu szansę. Nie chciałbym, aby przeszedł pan do historii w niesławie. Niech pan odwoła te nieszczęsne rozkazy.

Nemecek w milczeniu pokręcił głową.

— Niech pan będzie rozsądny — ciągnął dalej Vittolini. — Niech pan skorzysta z szansy i niech pan nie gubi tych, którzy jeszcze za panem stoją. Chyba nie zechce pan przez swój niezrozumiały upór narażać tych ludzi, którym zamącił pan w głowie? — wskazał na stłoczonych w izolatce ekspertów.

— To były ich indywidualne decyzje i jeśli chce pan z nimi rozmawiać, to proszę zwracać się do nich, a nie do mnie.

— Żal mi pana, profesorze. I nie rozumiem pańskiego postępowania.

— Co pan zamierza ze mną zrobić? — w głosie Nemecka była tylko ciekawość. — Czy czeka mnie los Statystyka, Ekologa i pana byłego zwierzchnika?

— To oszczerstwo! — krzyknął Vittolini. — Staniecie wszyscy przed niezawisłym sądem, który sprawiedliwie oceni wasze czyny. Biorę wszystkich tu obecnych na świadków, że nie chciałem tego. Jeśli pan nie odwoła tych rozkazów, to uczyni to profesor Marten. Prawda, profesorze?

— Tak, to prawda. — Marten uciekł spojrzeniem w bok.

— Jeśli nie zależy panu na sobie, to niech pan uwzględni los pańskich kolegów!

— Powiedziałem już, że to ich indywidualna sprawa. Mnie nic do tego.

— Panowie! — Vittolini zwrócił się do pozostałych ekspertów. — Kto chce skorzystać z abolicji, proszę stanąć przy mnie.

Zapanowała, chwila milczenia. Nemecek wbił wzrok w podłogę. Po kilku sekundach pierwszy ekspert przeszedł na stronę Vittoliniego, za nim ruszył drugi; potem jeszcze trzeci i czwarty. Na końcu, po chwili wahania, dołączył do nich Genetyk. Gdy mijął Nemecka, szepnął:

— Przepraszam, profesorze, ale ja... — nie dokończył jednak, tylko przyspieszył kroku. Przy Nemecku pozostali jedynie Socjopatolog i Fizjolog.

— Bardzo dobrze! — powiedział Vittolini. — Trent, do mnie!

Trent podbiegł do Vittoliniego i stanął w postawie poddania.

— Załadujesz ich do transportera i przewieziesz do Zakładu Karnego numer 12. Tam będą czekać na proces. W czasie transportu zachować szczególne środki ostrożności, bo to niebezpieczni przestępcy.

— Tak jest! — odkrzyknął Trent i skinął na Adlera.

Nemecek wstał i uściśnął dłoń Socjopatologa i Fizjologa. Nie powiedział ani słowa. Tymczasem Trent i Adler zakładali im wprawnie kajdanki, po czym Adler wyprowadził ich z izolatki.

— Panowie są wolni — powiedział Vittolini do ekspertów, którzy się do niego przyłączyli. — Myślę, że współpraca będzie nam się dobrze układała dla dobra naszej wspólnoty. Proszę na górę. Wszystkim przyda się gorący posiłek. Czy mógłby pan — zwrócił się do Politologa — pełnić honory domu? Ja tu mam jeszcze drobną sprawę cło załatwienia. Proszę profesora Martena o pozostanie. Trent! Ty też zostań.

— Tak jest!

Gdy — prowadzona przez Politologa grupa ekspertów oddaliła się, Vittolini powiedział do Martena:

— Wystąpi pan zaraz w ogólnokrajowej sieci telewizyjnej i odwoła pan rozkazy Nemecka.

— Dobrze.

— Zanim przygotują łącza, porozmawiamy sobie z naszą zgubą. Trent! Prowadź do lovittów!

Trent ruszył przodem, a za nim Vittolini i Marten.

W izolatce było dość tłoczno, oprócz bowiem Daniela i Candy, trzymających się razem, wepchnięto tam także sporą grupę lovittów.

— Który to? — zapytał Vittolini Martena.

Marten uważnie zlustrował ponure twarze lovittów i wskazał bez wahania na jednego z nich.

Był to Wargacz.

— Podejdź bliżej, złotko — Vittolini skinął na niego palcem, ale Wargacz nie poruszył się. Wówczas Vittolini dał znak Trentowi, który pchnął Wargacza w stronę Vittoliniego.

— To ty jesteś owym osławionym Dogowem. Nareszcie. Ty śmieciu! Czy wiesz, ile kosztowały skarb państwa poszukiwania? Ale mamy cię nareszcie! To ty, naprawdę ty! — Oglądał go, niby interesujący eksponat. — popatrzcie, jak się zmienił. Nie poznałbym go w tym przebraniu. Nazwisko! — huknął.

Wargacz milczał. Skaleczenia na twarzy pokryły się strupami, a sińce zaczęły nabierać żółtawego odcienia. Jedynie jedno oko było nadal podpuchnięte.

— Milczysz! — Vittolini obszedł go z tyłu i spojrzął na Martena.

— To bez wątpienia on — potwierdził Marten. — Na ciemieniu powinien mieć lekkie zgrubienie naskórka. Tam wprowadzałem sondę.

Vittolini zaczął bezceremonialnie grzebać we włosach Wargacza.

— Jest! — powiedział triumfalnie. — Jest zgrubienie.

Ponownie stanął przed Wargaczem i tym razem zapytał spokojnie:

— To ty jesteś Ira Dogow, przedtem Naczelnny Ekspert Apostezjonu, umysł genialny, który mimo pomocy obecnego tu profesora Martena zszedł na manowce?

— Ja jestem tym, którego szukacie — powiedział spokojnie Wargacz, a jego ciężkie spojrzenie spoczęło na Martenie. Lovitci z zapartym tchem oglądali tę scenę, a Candy instynktownie przytuliła się do Daniela, który machinalnie zaczął gładzić jej włosy.

— To ty wywołałeś kilka lat temu zaburzenia? To ty zorganizowałeś Strefę?

— Nie, nie ja. To ludzie upomnieli się o swoje prawa. Ja im tylko te prawa przypomniałem.

— Nie unikniesz odpowiedzialności.

— Nie zamierzam.

— Widzisz, do czego to prowadzi. Jesteś takim samym degeneratem jak ci — wskazał głową na pozostałych lovittów, zbitych w ciasną gromadę. — Jesteś mierzwą, zerem, a mogłeś być najpotężniejszy. Musiało ci się coś w twojej bezcennej główce poprzestawiać i nawet profesor Marten nie potrafił umeblować jej jak należy. Spadłeś na samo dno. Jak cię teraz zowią?

— Wargacz — odpowiedział Trent.

— Co za dziwaczne pseudo. Sam to wybrałeś?

Wargacz milczał, a Trent ponownie wtrącił:

— U nich wszyscy tak...

— Cisza! — huknął Vittolini.

— Tak jest! — odkrzyknął Trent.

— No więc, Wargacz, czy jak tam. Naszkodziłeś dużo i sprawiedliwa kara cię nie minie. Ale masz szansę przynajmniej w części naprawić szkody. Przemów do swoich koleśków, żeby się uspokoili, to poczytam ci to za okoliczność łagodzącą. Wystąpisz zaraz po profesorze Martenie. Mam nadzieję, że umiesz jeszcze normalnie mówić? To będzie dobre zestawienie: członek najwyższych władz i nawrócony grzesznik. Dostaniesz tekst, którego nauczysz się na pamięć. Podobno miałeś fenomenalną pamięć? Tak, to będzie dobre pociągnięcie. Profesor Marten i dźwigający się z dna wykolejnic — Vittolini zartał ręce. — Idziemy!

— Nie — powiedział Wargacz.

— Co?

— Nic z tego.

— To wariat! — Vittolini spojrział zdumiony na Martena. — Sierzancie! Zawołajcie Maxa!

— Tak jest! — Trent przyjął postawę poddania i spiesznie wyszedł. Jego miejsce zajął inny tebek z obezwładniaczem gotowym do strzału.

— Czy wiesz, śmieciu, co z tobą zrobię?

— Mogę się spodziewać.

— I nie boisz się?

— Boję się. Nie tylko za siebie, również za nich. — Skinął głową w kierunku lovittów. — Oni już nie będą się bać.

— Oni? Zdmuchnę ich jak kupkę śmieci.

— Mylisz się — odparł z mocą Wargacz. — To oni będą huraganem, który zmiecie ciebie i tobie podobnych. To tylko kwestia czasu.

Do izolátky wszedł Trent w towarzystwie Maxa. Na jego widok Daniel odsunął od siebie Candy i pchnął ją lekko w stronę grupki lovittów. Max również zauważył Daniela, oczy błysnęły mu złowrogo i ruszył w jego kierunku.

— Stój! — powiedział Vittolini. — Zgłupiałeś?

Killer stanął jak wryty.

— To ten! — sapnął killer. — To on pokiereszował mi ludzi. Już mi nie ujdzie! Porwał mi tę dzierlatkę — wskazał na Candy. — Nie puszczę mu tego płazem.

— Max! — krzyknął Vittolini. — Jesteś na służbie!

— Tak jest! — Killer przyjął postawę poddania.

— Weź tego człowieka — wskazał na Wargacza. — Jest twój. Możesz z nim robić, co zechcesz. To szkodnik! Nie musisz się spieszyć.

— Tak jest! — Killer położył łapę na ramieniu Wargacza i wyprowadził go z izolátky.

— Trent! Przetransportujesz ich wszystkich do zakładu karnego razem z ekspertami. Ona — pokazał na Candy — zostanie tutaj do wyjaśnienia. Tylko poczekaj, aż Max uwinie się ze swoją robotą. Chodźmy, profesorze. Nie znoszę widoku krwi.

— Ja też nie — powiedział Marten i podążył za Vittolinim.

Tymczasem killer wyprowadził Wargacza do sąsiedniej izolatki.

Candy przypadła do Daniela i zaczęła szlochać.

— Wszystko będzie dobrze, moja mała. — Gładził ją po włosach. — Wszystko będzie dobrze, tylko nie patrz na to.

Vittolini i Marten opuszczali już podziemia i wtedy do ich uszu doleciały odgłosy ciężkich stęknień. Gdy zbliżali się do szybów komunikacyjnych, z windy wypadł wzburzony Adler.

— Generale! — meldował w postawie poddania. — Lovitci plądrują Pałac Centralny. Szukają jakiegoś Wargacza!

XXVII

Elementy awanturnicze, które ostatnio podniosły głowy, zostały poskromione przy aktywnym poparciu społeczeństwa. Jednak nadal sytuacja jest złożona. Pożar Pałacu Centralnego, spowodowany przez margines społeczny, został dziś nad ranem opanowany. Władze, korzystające przejściowo z innej siedziby, w pełni kontrolują rozwój wydarzeń. W innych rejonach wyspy panuje całkowity spokój i rytmiczna praca...

z artykułu wstępnego dziennika „Nasz Głos”, nr 110/10849 z dnia 22 kwietnia 2044 roku

Najpierw zabrali tych trzech ekspertów. Daniel obserwował ich spod oka; nie wyglądali na przerażonych, z ich twarzy emanowało raczej przygnębienie i rezygnacja. Może rzeczywiście chcą nas przewieźć do innego miejsca — pocieszał się w duchu. — A zresztą, dlaczego miałoby grozić mi jakieś niebezpieczeństwo? Przecież nie mam nic wspólnego z tymi rozgrywkami. Nie zrobiłem nic takiego, a tym bardziej Candy. Dlaczego ona tak drży? Chyba jest jeszcze w szoku. Przydałby się jej jakiś środek uspokajający, ale skąd tu wziąć tabletki? Więc tylko gładził ją delikatnie i powtarzał mechanicznie:

— Będzie dobrze, mała, zobaczysz, będzie dobrze.

Nie był nawet pewien, czy ona go słyszy. A jednak nie przestawał szeptać do niej, jakby chciał słowami zabić drążący go od środka niepokój.

Gdy wyprowadzili ekspertów, od lovittów odłączył się jeden, dziwacznie ufryzowany osobnik i w postawie pełnej pokory zaczął coś tłumaczyć strażnikowi. Daniel nie słyszał słów, stał bowiem z Candy w drugim kącie izolatki, ale musiała je słyszeć reszta lovittów, bo dostrzegł wśród nich poruszenie. Strażnik wzruszył ramionami i z wyrazem znudzenia na twarzy powiedział coś do polowego wideocomu. Był to rosły mężczyzna w uniformie Służb Specjalnych Apostezjonu. Ów podświadomy niepokój zaczął drążyć Daniela od chwili, gdy do podziemi wkroczyli strażnicy w tych właśnie uniformach. Oznaczało to bowiem, że sprawa nabrała charakteru politycznego, a to wyglądało już paskudnie. Spece, jak ich popularnie nazywano, byli formacją unikającą rozgłosu,

ale otoczoną złą sprawą. Nie widywano ich na ulicach, gdyż łapaczami byli zwykli tebecy. Spece z reguły działali w czterech ścianach, przydzielani byli bowiem jedynie do spraw najwyższej wagi państwowej.

Daniel miał nadzieję, że to z powodu tych zbuntowanych ekspertów, ale przecież ich już wyprowadzono, a spece nadal tu byli. Poczł, że niepokój powoli przeradza się w strach. Ze specami nie było żartów! Opanował strach, bo wiedział, że od strachu tylko krok do paniki, kiedy to ludzkie ciało zamienia się w kłębek wzajemnie sprzecznych odruchów. Zajęło mu to więcej czasu niż zazwyczaj, ale owo typowe napięcie mięśni stopniowo ustępowało.

W izolatce zjawił się Trent. Znudzony strażnik przekazał mu mówiącego coś żarliwie lovitta, który z równą żarliwością zaczął tłumaczyć coś Trentowi. Reszta lovittów zbliła się tymczasem w ciasną gromadkę.

Trent podszedł do nich i zapytał:

— Która powiadasz?

— Ta! Ta! — lovitt pokazał skwapliwie jedną z kobiet. — Ja mogę być wam bardzo przydatny, bardzo! Tylko mnie nie zabijajcie! Ja wiem wszystko o nich. Będziecie mieli ze mnie pożytek...

— Dobra, dobra! — przerwał mu Trent niecierpliwie, a potem skinął na wskazaną kobietę: — Chodź no tu, ptaszynko!

Kobieta nie poruszyła się i wtedy dwóch tebeków wyciągnęło ją z grupy lovittów. Nie stawiała oporu, ale gdy przechodziła obok owego dziwacznie ufryzowanego lovitta, syknęła:

— Masz u mnie przerąbane, Szczotka! U nas wszystkich masz przerąbane! Strzeż się! — Rzuciła się w jego kierunku, ale technicy przytrzymali ją mocno. Szczotka cofnęła się przestraszony i powiedział:

— Berta! Co ty! Ja tylko...

Nie dokończył jednak, bo Trent huknął:

— Spokój! Odstawić ją tu, pod ścianę!

Technicy bez zwłoki wykonali jego rozkaz. Trent stanął przed Bertą i przyglądał się jej z zainteresowaniem.

— Więc to ty byłaś z Wargaczem?

Milczenie.

— Pomagałaś mu w podburzaniu. — Raczej stwierdził, niż zapytał. — Wargacz cię do tego namawiał? Powiedz! Teraz to nie ma już znaczenia, bo przecież Wargacza już nie ma. No więc jak? Zmuszał cię?

Berta spojrzała na niego ponuro i nic nie powiedziała.

— Jak chcesz — powiedział Trent z westchnieniem i wtedy do izolatki wtoczył się killer. Bez słowa podszedł do Daniela i uderzył go w żołądek. Cios był celny i mocny, ale jednak zaskoczony Daniel zdołał wykonać unik i następny cios trafił w próżnię. Killer zatoczył się i znów ruszył do ataku.

— Max! — krzyknął ostro Trent. — Max!

Killer nie reagował, a tymczasem Daniel odskoczył w drugi kąt izolatki i przyjął postawę obronną. Killer ruszył na niego i wtedy Trent skinął na dwóch tebeków pilnujących Berty. Doskoczyli oni do killera i sprawnie obezwładnili go. Trent stanął przed nim i pogroził mu palcem:

— Oj, Max, Max... Zachowujesz się niezgodnie z regulaminem. Czy chcesz, żeby Generał się rozgniewał?

— Ja go... — charczał killer w mocnym uchwycie. — On jest mój, rozumiesz? I ta dzierlatka też — spojrzał na Candy, na której twarzy malowało się przerażenie.

— Nie było takiego rozkazu, Max — odparł spokojnie Trent. — A rozkaz to rzecz święta. Jeśli nie chcesz, żebym w raporcie opisał ten incydent, to wracaj do siebie i rób tylko to, co ci każą. Jasne? — Dał znak technikom. Zwolniony z uchwytu killer oddychał głęboko, a potem powiedział:

— On mi nie ujdzie. Dostanę go szybciej, niż myślisz.

Odwrócił się i ciężkim krokiem wyszedł z izolatki. Stojący w drzwiach spec ze znużeniem obserwował tę scenę.

— Przygotować się do transportu! — zakomenderował Trent.

Na ten rozkaz do izolatki wpadło pięciu tebeków w rynsztunku bojowym.

— Ty — wskazał na Daniela — i ty — wskazał na Bertę — pojedziecie ze mną. Ci obszarpańcy — pokazał na grupkę lovittów — pojedą za nami. W osobnym ekwiparcie. A ta ptaszynka — wskazał na Candy — zostanie tu do wyjaśnienia. Wykonać!

Technicy sprawnie przystąpili do selekcji więźniów i wyprowadzali ich grupami.

— A co ze mną? — zapytał płacząco Szczotka.

— A, ty? Rób, co chcesz. Możesz tu zostać, możesz iść do domu. Ponieważ nam pomogłeś, jesteś wolny. Każdy, kto nam pomaga, jest wolny — dodał sentencjonalnie.

— To ja wolę tu zostać — powiedział Szczotka, patrząc niespokojnie na wyprowadzanych lovittów.

— Jak chcesz — wzruszył ramionami Trent.

— Daniel! — krzyknęła Candy. — Nie zostawiaj mnie!

— Odszukam cię, Candy — odkrzyknął wyprowadzany Daniel. — Wrócę po ciebie, choćbym miał... — nie dokończył jednak, eskortujący go technik bowiem dźgnął go mocno końcem obezwładniacza w kręgosłup i Daniel nie mógł złapać oddechu.

Wepchnęli go do zaparkowanego przed wieżowcem ekwipartu. Obok niego posadzili Bertę, a na końcu wprowadzili trzech milczących ekspertów. Nie opodał czekał drugi, większy ekwipart, do którego tebecy ładowali resztę lovittów. Na chodniku zgromadził się tłumek, w którym Daniel dostrzegł nie tylko normalnych, przechodniów, ale także temporystów, a nawet lovittów stojących obok siebie. Z tłumu podniosły się jakieś okrzyki, ale ich treść nie dotarła do Daniela, Trent bowiem wskoczył na siedzenie obok kierowcy i pojazd ruszył.

Poprzez sylwetki siedzących przy drzwiach tebeków widział, jak drugi ekwipart rusza za nimi.

— Co za burdel! — rzucił Trent z niesmakiem do kierowcy. — Kiedyś coś takiego byłoby nie do pomyslenia — wskazał głową na mijaną grupę przechodniów. — Czym to się skończy?

Kierowca nie odpowiedział i w pojeździe zapanowało milczenie. Kluczyli bocznymi ulicami, ale nawet tutaj ulica wyglądała inaczej niż zazwyczaj. Od czasu do czasu prze-mykał żołnierz w rozchełstanej uniformie, niekiedy można było zauważyć grupki wyrostków w strojach lovittów plądrujące dystrybutory spożywcze. Dojeżdżali do jakiegoś placyku. Trent sięgnął do wideocomu i powiedział:

— Tutaj ich wypuście.

Podążający za nimi ekwipart zahamował i wkrótce zniknął im z oczu, bo skręcili w przecznicę. Nie ujechali kilometra, gdy dołączył do nich inny ekwipart i podążał za nimi w odległości około stu metrów. Znow ujechali na jakiś skwerek. Ekwipart zatrzymał się. Trent obrócił się do tebeków siedzących przy drzwiach i powiedział:

— Wypuście tych trzech dziadków.

Technicy otworzyli drzwi i stanęli w postawie wyczekującej. Eksperci spojrzeli na siebie zdezorientowani i nie ruszyli się. — Wyłazić! Ale już! — krzyknął poirytowany Trent.

— Nie rozumiem... — zaczął Nemecek.

— Ja też nie rozumiem! Ale takie są rozkazy! Jasne? Wyłazicie, czy mam was wyrzucić?

Eksperci z ociąganiem zaczęli wysiadać z ekwipartu.

— Nie podoba mi się to — mruknął Socjopatolog. — To może być...

— Nie gadać! — uciał Trent.

Obserwując tę scenę Daniel powoli zaczął przesuwac się ku wyjściu. Od drzwi dzielił go już tylko metr i wtedy skoczył, ale technicy byli szybsi: obezwładnili go fachowo, zanim zdolał się podnieść po skoku. Wrzucili go do pojazdu, wskoczyli za nim i ekwipart ruszył z piskiem opon.

— A ty gdzie się wybierałeś, chłopcze? — zagadnął dobrodusznie Trent. — Czy pozwoliłem ci wysiąść?

Daniel milczał, zły na siebie, że źle obliczył skok i dał się pojmać jak dziecko. Skręcili w kolejną przecznicę i eksperci zniknęli im z oczu. Nie było również ekwipartu, który do tej pory towarzyszył im wiernie.

— Skuć go? — zapytał jeden z tebeków.

— Nie ma potrzeby. — Trent machnął lekceważąco ręką. — On już teraz będzie grzeczny. Prawda, chłopcze?

Daniel nadal milczał. Obliczał swoje szanse i doszedł do wniosku, że dopóki pojazd jest w ruchu, każda próba ucieczki byłaby samobójstwem. Mógłby załatwić jednego z tebeków, ale w tym czasie drugi wpakowałby mu całą serię z obezwładniacza.

Tymczasem Trent, nie zrażony milczeniem Daniela, ciągnął dalej:

— Jesteś dobry. Widziałem cię w akcji. Ale moi chłopcy też nie są źli. Sam to musisz przyznać, co? Złapali cię w locie jak ptaka.

— Dobrze, że nie za ptaka — wtrącił jeden z tebeków i zarechotał, a Trent mu zawtórował.

— Szkoda, że odwołali zawody — mówił dalej Trent. — Stawiałbym na ciebie.

Za nimi znów pojawił się ekwipart, ten sam, co poprzednio. Trent dostrzegł go w lusterku i powiedział:

— Niedługo i was puszcze.

— Tak jak tamtych? — zapytał Daniel.

— Tak.

— Dlaczego nie wypuściłeś wszystkich od razu?

— Taki był rozkaz. Powiem ci tylko jedno, bo nie jesteś żaden cudak jak ona — wskazał na Bertę — tylko normalny facet z jajami. Uważaj na siebie. Jesteś dobry, ale z obezwładniaczem nie wygrasz, choćbyś nie wiem jakie sztuczki stosował. Tu się zatrzymamy — rzucił do kierowcy. Towarzyszący im ekwipart również stanął. — Mam rozkaz, żeby was tu wypuścić. Wychodźcie!

— Jesteśmy wolni? — zapytał Daniel z niedowierzaniem.

— To zależy od was — odparł Trent zagadkowo. — No, nie marudzić, tylko wychodzić. Zobaczymy, czy naprawdę jesteś dobry — spojrzał na stojący z tyłu ekwipart. — Może jeszcze postawię na ciebie w jakichś zawodach?

Technicy otworzyli drzwi i wyciągnęli Bertę. Daniel wyszedł sam i rozejrzał się czujnie. Z drugiego ekwipartu zaczęli wysiadać mężczyźni z obezwładniaczami gotowymi do strzału. Ekwipart Trenta ruszył i wtedy dopiero Daniel zrozumiał. Złapał Bertę za rękę i krzyknął:

— Biegiem! Ruszaj, jeśli ci życie miłe!

Oporna początkowo Berta zaczęła biec razem z nim. Daniel starał się tak kluczyć, aby umykający ekwipart Trenta był cały czas na linii strzału tych z drugiego pojazdu. Berta zaczynała zostawać, więc ciągnął ją.

— Jeszcze pięćdziesiąt metrów. Musisz wytrzymać. Jeszcze czterdzieści. Jak wpadniemy między domy, to mamy szansę. Szybciej!

Pierwsze igły wyładowań przeleciały obok nich, gdy byli na wysokości najbliższego domu. Daniel szarpnął Bertę w bok i niemal w tym samym czasie miejsce, które przed chwilą zajmowali, przeszyły kolejne wyładowania obezwładniaczy. Daniel pociągnął Bertę na ziemię i upadł obok niej.

— Ruszaj się, do ciężkiego aidsa! — warknął i poczołgał się za dom.

— Dobrze... — wyjąkała Berta, chwytając łapczywie powietrze.

Skoro tylko znalazła się przy Danielu, znów złapał ją za rękę.

— A teraz biegnij, ile masz sił w nogach!

Wpadli między zabudowania, potem przemierzili jakieś podwórko i ogródek, sforsowali niewielki płotek i wyskoczyli na sąsiednią uliczkę. Uliczka była jeszcze pusta. Przecięli ją i znowu wpadli między niskie domki. Jakaś kobieta na ich widok cofnęła się z przestachem, a z kilku okien śledziły ich nieruchome twarze mieszkańców. Biegli dalej, ale Berta ruszała się coraz ciężiej.

W końcu stanęła i wyrzęziła:

— Nie mogę... Naprawdę... Uciekaj, a ja tu zostanę...

— Głupia baba! — warknął Daniel i zarzucił ją sobie na plecy.

Biegł teraz ciężko, ale mimo że oddech miał coraz bardziej chrapliwy, nie zatrzymał się. Minęli w ten sposób dwie przecznice i wtedy zrzucił ją z pleców i powiedział ze złością:

— Odpoczęłaś, a teraz ruszaj!

Biegł dalej, a Berta podążała posłusznie za nim. Przecięli kolejno dwie przecznice, potem mały park i znaleźli się na ruchliwej arterii komunikacyjnej. Przeszli na drugą stronę, gdzie Daniel dostrzegł wolny ekwipart. Wsiedli do niego i ruszyli natychmiast.

Po dziesięciu minutach kluczenia przejechali przez centrum i znaleźli się w innej dzielnicy. Nikt za nimi nie jechał.

— Chyba się udało — mruknął Daniel, — Ale co teraz?

— Wargacz mi mówił, że gdyby mu coś się stało, to.. to...

— To co? — przerwał jej poirytowany. — Powiedz wreszcie!

— To mam pojechać do tych... no... temporystów. Dał mi adres. Mam im powiedzieć, co się stało, a oni na pewno mi pomogą.

— To jedźmy tam. Zobaczymy, czy ten twój Wargacz mówił prawdę.

XXVIII

Ele, mele, to ci heca!

Chowam się, gdy widzę specy.

Czy to w nocy, czy za dnia,

Któż się schowa tak jak ja?

popularna wyliczanka stosowana przez dzieci temporystów przy zabawie w chowanego

Z prawdziwą przyjemnością pił sok pomarańczowy. Może jego smak był nieco zbyt dosłowny, oni bowiem wyrabiali tutaj sok z naturalnych owoców, ale można było się do tego przyzwyczaić. Również posiłek, zresztą smaczny, składał się wyłącznie z naturalnych składników. Daniel wiedział, że tak właśnie odżywiają się temporyści, ale nie podejrzewał, że organizacja produkcji i dostaw naturalnej żywności jest aż tak dobra. Berta prawdopodobnie nawet nie zauważyła, że je coś specjalnego. Spojrzał na nią ukradkiem, ale była apatyczna, jakby forsowna ucieczka, a później zdanie relacji z tego, co się stało, kompletnie wyczerpało jej zasoby energii. Patrzył na nią teraz z pewnym rodzajem uznania, mimo że była to lovitka. Dotrzymała mu kroku w najtrudniejszym momencie i później odnalazła to miejsce, o którego istnieniu nie miał zielonego pojęcia.

Temporyści byli bardzo poruszeni wiadomością o śmierci Wargacza. Daniel nie przypuszczał, że między temporystami a lovitami mogą istnieć jakieś związki. Był zawsze przekonany o tym, że te dwie grupy marginesu dzieli wrogość, a nawet nienawiść. Tymczasem Berta zdawała się znać wielu spośród siedzących z nimi przy stole temporystów. Co więcej, z rozmów między Bertą a temporystami wynikało, że ten Wargacz, na którego przedtem nie zwracał większej uwagi, był kimś ważnym nie tylko dla lovitów, lecz również dla temporystów. Teraz, gdy o nim mówiono, miał niejasne poczucie, że już kiedyś widział tego człowieka, ale nie mógł sobie przypomnieć żadnej okazji zetknięcia się z lovittem przed aresztowaniem. A jednak myśl ta nurtowała go coraz mocniej.

Posiłek miał się ku końcowi. Ranek był dość wczesny: chodniki i ulice nie obeschły jeszcze całkowicie po porannych opadach. Daniel uświadomił sobie, że dopiero teraz jest całkowicie rozluźniony, a jego organizm szybko regeneruje siły. Od wczorajszego treningu żył w ciągłym napięciu, a dawka obezwładniająca, jaką otrzymał od Pinto, utrzymywała go w apatii jeszcze długo po przebudzeniu w izolatce. Od siedzących wokół stołu i krzątających się przy zbieraniu naczyń ludzi biło ciepło i życzliwość, co wyczulone receptory Daniela wychwyciły niemal natychmiast. Dlatego mógł sobie pozwolić na obniżenie progu czujności i relaks. Wydawało się to dziwne, bo przecież był wśród ludzi zupełnie obcych. Zaufał wszelako swojemu instynktowi, który tyle razy wyprowadzał go z największych opresji.

— Czy napijecie się kawy? — zwróciła się do nich kobieta, którą nazywano Alma.

Berta skinęła potakująco głową, ale Daniel odmówił. Słyszał o tym napoju i wiedział, że zawiera on jakiś narkotyk, którym temporyści wprowadzają się w stan upojenia. Z zasady nie używał żadnych środków odurzających, a tym bardziej dzisiaj.

— Może chcesz mleka, Daniel? — zapytała druga kobieta, którą nazywano Matyldą.

— Już wolę mleko, a najchętniej, wypiłbym jakiś słaby koktajl.

— W koktajlach, nawet słabych, są środki uspokajające — wtrącił mężczyzna, który od dłuższego czasu przyglądał się Danielowi z prawdziwym zainteresowaniem. — Czyżbyś nie wiedział o tym?

— Wiem — odparł krótko. — Są to ilości śladowe, mające nieznaczny wpływ na organizm, natomiast zestaw witaminowy jest bardzo korzystny.

— W kawie też są śladowe ilości kofeiny, a zauważyłem, że nie używasz tego napoju.

— Przestań, Długi — odezwała się młoda dziewczyna, która do tej pory nie odzywała się. — Niech każdy pije to, na co ma ochotę.

— Masz rację, Claire — poparła ją Alma. — A więc — mleko? — spojrzała na Daniela.

— Mleko — zgodził się.

— Ja cię już chyba gdzieś widziałem — ciągnął Długi, a potem zwrócił się do siedzącego obok młodzieńca: — A ty, Jorgen, nie masz takiego wrażenia?

— Może... — odparł przypatrując się Danielowi.

— Każdy przeżywa przynajmniej raz w życiu — takie wrażenie — powiedział Daniel. — Mnie na przykład wydaje się, że już gdzieś widziałem tego waszego Wargacza, a to przecież nie jest moż... Zaraz! Tak! Teraz przypominam sobie dokładnie. Widziałem go naprawdę! Było to kilka dni temu, wieczorem, niedaleko pomnika astronoma. Był sam. Przeszedł obok mnie w odległości trzech, czterech metrów. Byłem wtedy z Candy i wydawało mi się, że nas śledzi. Powiedziałem Candy; że gdyby on był moim przeciwnikiem, to musiałbym się mieć na baczności, albo coś w tym sensie. Tak! To był on. Na pewno! Niósł torbę i jakieś zawiniątko. Zdawało mi się, że chciał je wyrzucić, ale schował za pazuchę. Potem zniknął nam z oczu. Ot, i cała historia o moim spotkaniu z Wargaczem.

— A ja jednak gdzieś cię widziałem — nie ustępował Długi.
— To zawodnik — wtrąciła Berta.
— Jesteś zawodnikiem? — ożywiła się Claire. — Naprawdę?
— Tak.
— Daniel Trzeci! — Długi palnął się w czoło. — Oczywiście! Dobry byłeś w zeszłym roku.
— Trochę się rozwinąłem od tamtego czasu — zauważył Daniel skromnie.
— Nie lubię zawodów — powiedziała Matyldy. — To opium dla mas.
— Dlaczego? — zaprotestowała Claire. — Jorgen, powiedz coś!
— Co mam powiedzieć? — obruszył się Jorgen. — Sama się broń!
— Muszę już iść — powiedział Daniel, dopijając ostatnie łyki mleka.
— Dokąd? — zdumiała się Alma. — Człowieku, czy wiesz, co się dzieje w mieście? Zawierucha kompletna! Lovitci spalili Pałac Centralny, a teraz rabują centrum miasta. Żołnierze biją się z policjantami i między sobą. Nikt już nad tym nie panuje.
— A my siedzimy jak myszy pod miotłą — wtrącił milczący do tej pory mężczyzna.
— A co możemy zrobić? — zapytała Alma. — Musimy być rozsądni i przetrwać tę burzę z najmniejszymi stratami. Jedynie Ira, przepraszam cię, Berto, mógłby poskromić rozhukanych lovittów. A i on mówił, że jeszcze za wcześnie, pamiętasz?
— Muszę iść — powtórzył Daniel.
— On chce odzyskać swoją dziewczynę — powiedziała obojętnie Berta.
— Przecież to szaleństwo! — krzyknęła Matylda. — Oni tylko na to czekają! Czyż nie chcieli was zabić w czasie ucieczki?
— Idę — powiedział Daniel wstając od stołu.
— Poczekaj, przyjacielu — Długi położył mu rękę na ramieniu i posadził na krześle.
— Szaleństwa, jeśli mają być skuteczne, muszą być starannie zorganizowane. Co chcesz zrobić?
— Nie jestem samobójcą — odparł Daniel. — Ale muszę ją wydobyć. Choćbym...
— urwał.
— To znaczy, że nie masz żadnego planu — stwierdził Długi. — Z obywatelami nie wygrasz.
— Już mi ktoś to mówił.
— I miał rację.
— To był tebek, łapacz, któremu udało się mnie podejść.
— A zatem mówił ci to fachowiec. Gdzie ona jest?
— W Sektorze IV. W podziemiach.
— Znam to miejsce — stwierdził Długi. — To jest już ostatni bastion Vittoliniego. Niełatwo się tam dostać, nie mówiąc o wydostaniu.

— W tym powszechnym zamieszaniu powinno to być łatwiejsze. Gdybym miał broń...

— Zaczekaj chwilę. — Długi wstał i wyszedł z pokoju. Wrócił po chwili z zawiątkiem w ręku. — To zostawił nam Ira, to znaczy — Wargacz — spojrzał na Bertę. — Może się przydać.

Rozwinał szmaty i oczom Daniela ukazał się obezwładniacz.

— Dasz mi to? — zapytał Daniel.

— Umiesz się z tym obchodzić?

Daniel spojrzał na Długiego i roześmiał się.

— Przecież on jest zawodnikiem — wtrąciła Claire.

— A, prawda... — powiedział Długi i podał Danielowi obezwładniacz.

Daniel obejrzał broń i stwierdził:

— Naładowany. Skąd Wargacz... Zresztą, nieważne... Dziękuję ci. Długi. Idę. — Wpuścił obezwładniacz do kieszeni kombinezону.

— Nie bądź w gorącej wodzie kąpany. Sam nie dasz rady. Kto cię będzie ubezpieczał?

— Nikt. Jestem przyzwyczajony do działania w pojedynkę. Nic mi nie będzie. Oni teraz mają większe kłopoty.

— To szaleństwo — stwierdził Grimaldi. — Nie pozwólcie temu młodemu człowiekowi...

— Tak, w pojedynkę to szaleństwo — zgodził się Długi. — Idę z nim.

— Oszalałeś! — Alma aż podniosła się z krzesła. — Nigdzie cię nie puszcę. Coś mu odbiło! Grimaldi! Nie siedź tak beczynnie! Powiedz temu idiocie, na co się naraża.

— Gdyby to chodziło o ciebie, Almo — stwierdził spokojnie Długi — nie wahałbym się ani chwili. Dlatego rozumiem Daniela i chcę zwiększyć jego szanse. Czy to wydaje ci się nierozsądne?

— Idę z wami — powiedziała nagle Claire.

— Claire! — rzekł ostrzegawczo Jorgen. — Nic z tego.

— Nie będziesz mnie trzymał w klatce! — odparła oburzona. — Nic z tego — powtórzyła, przedrzeźniając go.

Jorgen spojrzał błagalnie na Grimaldiego, ale ten tylko wzruszył ramionami.

— Jeśli tak — powiedział Jorgen z determinacją — to i ja idę z wami. — Nie puszcę przecież jej samej, bo gotowa zrobić jakieś głupstwo.

— Idioci! Szaleńcy! — jęknął Grimaldi. — Nie pożyję przy was długo. Przecież macie źle w głowach! Do stu tysięcy meteorów żelazo-niklowych! Skauci cholerni! Zapiszcie się do Ligi Młodych Entuzjastów!

— Ty też? — zapytał Długi.

— A co mam robić? Siedzieć tu i czekać, aż was wystrzelają? To przez te kobiety! U podłoża każdej męskiej głupoty jest kobieta. To nie dotyczy ciebie, Matylde, choć — prawdę mówiąc — i ciebie to dotyczy, bo na twoim punkcie zgłupiałem na starość.

— Zastanówmy się teraz nad planem. Pamiętam dobrze, że da podziemi można dostać się tylko szybami windowymi. Tam zawsze stoi strażnik. Jeśli... — nie dokończył jednak, bo drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Nordmann.

— Jak się spało? — zagadnęła Alma.

— Dziękuję, dobrze — odparł Nordmann.

— Jesteśmy już po śniadaniu, ale zaraz przygotujemy coś do zjedzenia. — Zakrzętała się Matylde.

— Czy przypominasz mnie sobie, staruszkule? — powiedział Daniel, wolno wstając od stołu.

— Daniel? Ty tutaj? Jak tu trafiłeś?

— O to samo mógłbym zapytać ciebie, staruszkule.

— Sam mi radziłeś, abym schronił się wśród temporystów. Nic pamiętasz?

— To wy się znacie? — zdziwiła się Claire.

— Tak — potwierdził Daniel. — On ostrzegł mnie przed killerem, ale potem wpakował mnie w niewąską kabałę.

— Wszyscy mamy sobie coś do zarzucenia i wszyscy sobie trochę zawdzięczamy — rzekł pojednawczo Nordmann. — Cieszę się, że widzę cię całego i zdrowego. A gdzie podziała się ta dziewczyna, która wtedy z tobą była? Dzielnie dotrzymywała nam kroku.

— Candy — powiedział Daniel. Zdawało mu się, że to Nordmann dotrzymywał im kroku i to z największym trudem, ale nic sprostował uwagi pisarza. — Jest w ich łapach — stwierdził ponuro i dodał: — Mam nadzieję, że już niedługo.

— Czy słyszał pan ostatnie komunikaty? — zagadnęła Matylde.

— Satelitarne czy nasze?

— Nasze.

— Nie, nie słyszałem. Nadal mnie poszukują?

— Zamęt jest powszechny. Tu już nie o pana chodzi — stwierdziła Alma. — To ruszyło jak lawina.

— Tak mówił Wargacz — wtrąciła apatycznie Berta.

— Wydaje się — ciągnęła Alma — że nikt już nad niczym nie panuje. Gdyby był Ira...

— Wargacz — sprostowała Berta.

— Dobrze, niech będzie Wargacz — zgodziła się Alma. — Tylko on był znany wśród lovittów i tylko on mógłby ich opanować. Ich ekscesy, przepraszam cię, Berto, są przerażające.

— Mnie tam wszystko jedno — powiedziała Berta.

— Nie ma nikogo, kto mógłby stanąć na czele tej gigantycznej fali — powiedział Długi. — Nie ma nikogo, kto byłby dostatecznie znany i kto zarazem nie byłby utożsamiany z establishmentem.

— Znaczy, ze specami? — upewniła się Berta.

— Można to tak rozumieć — rzekł niecierpliwie Długi. — Tragizm chwili polega na tym, że zabrakło Wargacza i nie ma już nikogo, komu lovitci mogliby zaufać.

— Jest ktoś taki — powiedziała obojętnie Berta.

— Kto? — zapytał żywo Grimaldi.

— On — Berta wskazała na Nordmanna.

XXIX

Człowiek — korona ewolucji. Jakież dojmujące poczucie samotności, a zarazem — cóż za pycha! Jeśli jednak odrzuci się pychę, to co pozostaje? Pokora przed Absolutem, którego prawdopodobnie nie ma. I tak miotamy się między bojaźliwą pychą a pokorną nadzieją...

z „Dziennika prywatnego Wiktora Nordmanna”, materiał nie publikowany. Archiwum Główne Służb Specjalnych, sygnatura AG/1786/29

Unikali głównych arterii, toteż jazda zajęła im dość dużo czasu. Szerokim łukiem ominęli centrum, nad którym unosiły się słupy dymu.

— Tam musi być niezła zadyma — mruknął Długi.

— Nie znam się na tym — powiedziała Claire — ale jak wprowadzą do akcji Czarny Batalion, to będzie po wszystkim. Tak jak ze Strefą.

— Rzeczywiście się nie znasz — wtrącił zgryźliwie Jorgen. — Czarny Batalion już nie istnieje.

— Jak to?

— Nie zdajesz sobie sprawy z rozmiarów tej zawieruchy — powiedział Długi. — Strefa była izolowana. A teraz ruszyło wszystko, dosłownie wszystko: lovitci, wojsko, policja. Dlaczego teraz, a nie wtedy? Obruszona została jakaś cegiełka, która to wszystko utrzymywała. Wiele bym dał za to, by wiedzieć, co to za cegiełka.

— Głupie spekulacje — warknął Grimaldi. — Można by pomyśleć, że jedziemy na wycieczkę krajoznawczą. Zaraz nam tak złożą tyłki, że się nie pozbieramy.

— Może się wycofasz? — zapytał Długi. — Jeszcze jest czas.

— Beze mnie zrobicie na pewno jakieś głupstwo. Znam cię, Długi. Jak rośnie ci odwaga, to maleje rozsądek, a u mnie odwrotnie.

— Uwaga! — zawołał ostrzegawczo Daniel. — Zawracaj!

Było już jednak za późno. Naprzeciwko nich, środkiem jezdni szła grupa około dziesięciu tebeków z obezwładniaczami gotowymi do strzału. Najwyraźniej wracali z pola walki, uniformy mieli bowiem przybrudzone, a niektórzy nawet podarte, twarze osma-

lone dymem, jeden z nich zaś, ranny w nogę, ciężko utykał wspierając się na obezwładniaczu. Szli luźną grupą, a ulica przed nimi pustoszała. Przypadkowi przechodnie chowali się po bramach domów, które niewidzialne ręce starannie zamykały. Gdy mijali rozbity dystrybutor żywnościowy, jeden z techników zaczął przy nim manipulować, ale wkrótce, zniechęcony bezowocnym wysiłkiem, dołączył do grupy.

— Jedź wolno i nie przyspieszaj — powiedział Daniel.

— W ten sposób zakończyliśmy tę nieszczęsną wyprawę — jęknął Jorgen. — Claire, chcę, żebyś wiedziała, że...

— Zamknij się! — syknął Długi.

Odległość dzieląca ich od grupy malała gwałtownie. Daniel wsunął rękę do kieszeni, w której miał obezwładniacz.

— Zanim użyjesz swojej strzykawki — powiedział prędko Długi — daj mi z nimi porozmawiać.

Idący na czele grupy technik zaczął ich zatrzymywać. Daniel poczuł dłoń Claire wpijającą mu się w przedramię. Zerknął na nią i zobaczył, że dłoń drugiej ręki zacisnęła na udzie Jorgena. Uwolnił się delikatnie z jej uścisku, chciał bowiem odzyskać zupełną swobodę ruchów. Tymczasem Długi zwolnił i w końcu stanął. Uchylił szybę i powiedział:

— Dobrze, że was spotykamy. Czy można przejechać przez centrum? Nikt nam nie mógł powiedzieć, a my, spokojni obywatele...

Technik obrzucił go niechętnym spojrzeniem, zajrzał do środka i zlustrował uważnie pasażerów. Potem wyprostował się i machnął w stronę grupy. Tebecy opuścili obezwładniacze emitarami do ziemi i zbliżyli się do pojazdu.

— Macie coś do picia? — zagadnął technik, który ich przedtem obejrzał.

— Tak — potwierdził skwapliwie Grimaldi. — Zaraz się coś znajdzie. — Otworzył skrytkę i wydobyl dwa małe pojemniki ze słabym koktajlem. — To wszystko, co mamy.

— Jeszcze ja mam jeden koktajl — Claire wydobyla z za siedzenia pojemnik i podała przez uchyloną szybę technikowi. — Może chcecie tabletki orzeźwiające? — zatroskała się.

— Dawaj — technik wyciągnął rękę.

Wysypała mu na dłoń kilkanaście tabletek, ale on zabrał jej całą fiolkę.

— W centrum gorąco, co, techniku? — zagadnął przyjaźnie Długi. — Ale już niedługo dacie, im w dupę, prawda?

— Komu?

— No tym... elementom — odparł stropiony.

— Jeden wielki burdel i rozpierducha — rzekł tebek skwaszonym głosem. — Nawet nie ma się komu poddać. — Zdjął kask i otarł spocone czoło i kark. — A wy kto?

— My? Spokojni obywatele. Do pracy jedziemy.

— Do pracy? — zapytał podejrzliwie. — Do jakiej pracy?

— Normalnej... Państwowej.

— Chyba że tak. A identyfikator jest?

Długi zaczął grzebać po kieszeniach, a Daniel odbezpieczył obezwładniacz. Wtedy podszedł drugi tebek:

— Czyś się wściekł, Alfred? Na cholere ci jego identyfikator? Dymamy stąd póki czas.

— Chyba że tak — zgodził się Alfred apatycznie.

Dopiero teraz Daniel spostrzegł, że technik jest lekko zamroczony. Musiał otrzeć się o udar — pomyślał. Grupa rozstała się i powlokła dalej.

Do wieżowca dojechali bez przeszkód.

Zaparkowali w odległości czterystu metrów od wieżowca. W ekwiparcie pozostał jedynie Grimaldi, który — jako najstarszy — nie był już w takiej formie jak pozostali, wobec tego musiał zgodzić się na pełnienie funkcji kierowcy, a zarazem zewnętrznego obserwatora.

Podchodzili ostrożnie. Na czele szedł Daniel, tuż za nim Długi, a na końcu Claire z Jorgenem.

— Tutaj coś się działo — powiedział półgłosem Daniel. Widok, który coraz wyraźniej ukazywał się ich oczom był osobliwy: po jezdni i chodnikach wały się resztki szkła, jakieś papiery i poniszczone sprzęty. Wokół wieżowca leżało kilkanaście ciał, głównie lovittów, ale można było dostrzec również zwłoki tebeków i żołnierzy. Parter i pierwsze piętro ziały wyrwami okien. Gdzieś wydobływały się nikłe strużki dymu. Widocznie usiłowano podpalić wieżowiec, ale automatyczne zabezpieczenia przeciwpożarowe nie dopuściły do rozprzestrzenienia się ognia. Drzwi w głównym wejściu były wyrwane z zawiasów, a przed tymi drzwiami, a właściwie — otworem wejściowym, stało dwóch wartowników w charakterystycznych uniformach Czarnej Batalionu.

Nie ulegało wątpliwości, że niedawno rozegrała się tutaj zażarta i krwawa bitwa. Obserwowali w napięciu ten widok ukryci za ozdobnymi krzewami, osypanymi teraz siwym pyłem, który był pozostałością po salwach działek udarowych. Od wieżowca dzieliło ich już tylko sto metrów nie osłoniętej niczym przestrzeni.

Długi trącił łokciem Daniela i pokazał mu jeden z walających się papierów, który doleciał aż tutaj. Był na nim nagryzmołony niewprawną ręką napis: „Wargacz potężny”. Daniel wzruszył ramionami i wrócił, do obserwacji wieżowca. Gdyby nie straż przed wejściem, można by uznać, że wieżowiec jest nie zamieszkały.

— Umiecie szybko biec? — zapytał Daniel retorycznie i nie czekając na odpowiedź mówił dalej: — Ty, Długi, idź w lewo tak daleko, jak daleko sięga osłona, a ty, Jorgen, w prawo. Jak tylko położę tych dwóch, biegnijcie do wieżowca.

— A ja? — zapytała podekscytowana Claire.

— Ty na razie zostaniesz tutaj. Damy ci znak, kiedy masz do nas dołączyć.

— Ale... — próbowała protestować.

— Bez dyskusji! — przeciął Daniel. — I odsuń się ode mnie przynajmniej na dwa-
dzieścia metrów. Jeśli są czujni, to tutaj zaraz będzie wypalona dziura. Jeśli nie damy ci
znaku, cofnij się, żebyś widziała i wejdzie do wieżowca, i Grimaldiego. Będziesz naszym
jedynym środkiem łączności.

— Ty specjalnie zostawiłeś Grimaldiego tak daleko, żebyśmy nie mogła z wami pójść!
— sapnęła oburzona.

— Może... — uśmiechnął się.

— Nie lubię cię.

— Nie ty jedna — odparł lakonicznie. Dał znak Długiemu i Jorgenowi, którzy zaczę-
li się oddalać. Gdy zniknęli w zaroślach, odczekał jeszcze chwilę i powiedział: — A teraz
pryskaj stąd! I nie rób głupstw. Bo jeśli Grimaldi nie zdąży podjechać na czas, to może
być nam gorąco. Zrozumiałaś?

Kiwnęła potakująco głową i oddaliła się. Koncentrował się przez chwilę, po czym
wyjął obezwładniacz, wymierzył jak na treningu i dwa razy nacisnął spust. Zanim dru-
ga z sylwetek opadła na chodnik, już biegł zakosami w kierunku głównego wejścia.
Usłyszał za sobą trzask wypalanej roślinności i znajome syknięcia wyładowań z obez-
władniaczy, przypominające spadanie kropeł na rozpaloną blachę. Po kilkunastu sekun-
dach wpadł do głównego wejścia, porywając w biegu dwa ciężkie obezwładniacze war-
towników. Przypadł za framugą i z bronią gotową do strzału zlustrował wnętrze prze-
stronnego hallu. Nie było tu nikogo. Wyjrzał ostrożnie na ulicę. Długi i Jorgen też szczę-
śliwie przebyli pustą przestrzeń i teraz przemykali się w kierunku głównego wejścia.
Ponaglił ich gestem.

— Co z Claire? — zapytał zasapany Jorgen.

— Kazałem jej wycofać się.

— Dziękuję.

— Umiesz się z tym obchodzić? — pokazał mu krótki obezwładniacz.

Jorgen skinął głową.

— A ty — zwrócił się do Długiego — weź ten ciężki. Tylko uważaj, bo ma bardzo lek-
ki spust.

— W porządku — Długi zważył w rękę broń i wypalił bez celowania w przeciwległą
ścianę. — Rzeczywiście spust ma lekki — potwierdził.

— Stanowiska strzeleckie mają prawdopodobnie na pierwszym piętrze — objaśnił
Daniel. — Ale nas interesują tylko podziemia. Tam — wskazał na drzwi zamykające hall
— jest dojście do szybów windowych i zejście przeciwpożarowe do podziemi. Ale tędy
nie przejdziemy. Nawet jeśli udałoby się nam sforsować drzwi, to zaraz za nimi zmielą
nas na proszek. Pozostaje nam tylko jedna droga.

— Jaka? — zapytał Jorgen.

— Szyb wentylacyjny — odparł Daniel i wzrokiem wskazał kratki otworu wentylacyjnego, zgrabnie zamaskowane fakturą ściany. — Ubezpieczajcie mnie — powiedział i położył się na podłodze majstrując przy otworze. Po chwili kratki były zdjęte. — Wchodźcie! — powiedział niemal wesoło. — Teraz ja będę was ubezpieczał.

Pierwszy zniknął w otworze Jorgen, a za nim Długi. Wówczas Daniel wsunął się do otworu, rozejrzał się jeszcze raz uważnie i sięgnął po kratki maskujące. Założył je na otwór i, mocując się z nimi przez chwilę, wcisnął je na dawne miejsce.

W szybie panował półmrok. Schodzili ostrożnie na dół po spartańsko wykonanej drabince konserwatora. Ciąg powietrza szarpał ich kombinezony i wciskał się chłodnymi mackami pod ubranie.

— Przeziębicie się w tym przeciągu — mruknął Jorgen.

— Cisza! — syknął Daniel.

Podchodzili do pierwszego otworu wentylacyjnego poniżej poziomu gruntu. Jorgen zajrzał ostrożnie do środka, ale ponaglony przez Daniela, zszedł niżej, a za nim Długi. Teraz Daniel mógł zlustrować wnętrze: była to jakby replika hallu, który właśnie opuścili, z tą tylko różnicą, że nie było tu drzwi wejściowych. Na materacach rzuconych pod ścianę spało czterech techników, a piąty brał coś z dystrybutora żywnościowego. Kilka materaców było pustych. Najwidoczniej urządzono tutaj prowizoryczną sypialnię dla techników bezpieczeństwa. Długi i Jorgen patrzyli pytająco na Daniela, ale on pokręcił głową i pokazał im, że mają schodzić niżej.

Gdy doszli do niższego otworu wentylacyjnego. Daniel ujrzał znajome wnętrze: było to przestronne pomieszczenie, w którym znajdowały się wejścia do wind, a z lewej ich strony — dość wąski korytarz prowadzący do izolatek. Przy windach kręciło się dwóch tebeków, a bliżej — przy obszernej konsolce — stał pochylony Trent i mówił coś do wideocomu. Pole obserwacji z punktu widzenia myszy nie było najlepsze: ściana przylegająca do szybu wentylacyjnego mogła kryć niespodzianki i dlatego Daniel odczekał chwilę, obserwując w milczeniu pomieszczenie. Trent skończył rozmowę i odszedł w kierunku izolatek, ale dwaj tebecy nadal krążyli wokół wind. Najwidoczniej były to ich posterunki służbowe. Zachowanie się Trenta, a także owych dwóch techników wskazywało na to, że przy ścianie znajdującej się w martwym polu obserwacji nie było ludzi.

Daniel otworzył delikatnie zapadki przytrzymujące kratkę maskownicy i szepnął:

— Jorgen, daj mi krótki obezwładniacz. Jak tylko wpadnę do środka, zgasicie tych dwóch. Jasne?

Wymienił broń z Jorgenem i odbezpieczył obezwładniacz. Wyczekał chwili, w której obaj technicy odwrócili się i pchnął delikatnie kratki. Zaraz potem wśliznął się do środka i przetoczył w prawo, aby zwolnić pole ostrzału. Usłyszał charakterystyczne kla-

śniecie, po którym jeden z tebeków osunął się na podłogę. W tym czasie drugi, usłyszawszy hałas, odwrócił się i wymierzył do leżącego na podłodze Daniela. Nie zdążył jednak nacisnąć spustu, gdyż w tym momencie dosięgło go wyładowanie z obezwładniacza Daniela.

Daniel zerwał się i pobiegł do wylotu korytarza. Stał tam przytulony do framugi i czekał. W tym czasie dołączył do niego Długi, a w chwilę potem — Jorgen.

— Dlaczego nie strzelałeś? — zwrócił się Daniel do Jorgena.

— Chciałem — odparł szeptem. — Ale to chyba jest zepsute.

Daniel spojrzał na obezwładniacz Jorgena i powiedział zimno:

— Przed strzałem trzeba go odbezpieczyć, snajperze. Weź ten krótki i uważaj, żebyś nie trafił któregoś z nas. Jest odbezpieczony.

Wziął od Jorgena ciężki obezwładniacz i zajrzał ostrożnie w głąb korytarza. Cofnął się gwałtownie i szepnął:

— Nadchodzi.

— Kto? — zapytał Jorgen.

— Znajomy — odparł przez zęby Daniel i przywarł do ściany.

Skoro tylko Trent przekroczył próg, dostrzegł leżących przy windach techników i sięgnął do kabury. Ale Daniel był szybszy: szarpnął sierżanta za ramię i wbił mu emitor obezwładniacza w okolice nerek.

— Zachowuj się grzecznie, tatusiu — powiedział półgłosem. Trent znieruchomiał. Długi zaś wyjął mu z kabury obezwładniacz i wsunął do kieszeni kombinezonu.

— Udało ci się uciec, chłopcze — stwierdził ze zdziwieniem Trent. — Ale po coś tu wrócił? Trzeba było uciekać jak najdalej...

— Ciszej! — skarcił go Daniel. — Nie jesteśmy głusi! Prowadź do niej i powiedz tym swoim łapsom, żeby nie robili głupot, bo zginiesz.

— Wiem, chłopcze, że lubisz wygrywać, ale tym razem — to na nic. Jej tutaj już nie ma.

— Kłamiesz!

— Możesz sprawdzić — Trent wzruszył ramionami. — I nie wbijaj mi tego obezwładniacza w plecy, bo będę miał siniaki.

— Gdzie ona jest?

— Na górze. Z Maxem, tym... wiesz...

— Tak, wiem — powiedział krótko, a twarz mu się ściągnęła.

— Prowadź!

— Na górę? — zdumiał się Trent. — Przecież załatwił was natychmiast, a i ja mogę oberwać. Jak się tu dostaliście? Przecież na parterze czekali na was.

— Nie gadaj tyle! Prowadź!

— Miałem cię za rozsądnego chłopca.

— Już! — pchnął go obezwładniaczem. — A ty, Długi, uważaj na korytarz.

Długi zaczął się za framugą. Tymczasem Daniel prowadził Trenta w kierunku wind, a za nimi podążał mocno przestraszony Jorgen.

— Otwórz! — rozkazał Daniel widząc wahanie Trenta. — A ty, Jorgen, pilnuj go.

Jorgen posłusznie skierował emitor obezwładniacza na Trenta, który włożył klucz szyfrowy do zamka i ściągał windę.

— Żadnych głupstw, tatusiu — ostrzegł Daniel — bo on — wskazał wzrokiem na Jorgena — nigdy nie strzelał i ma słabe nerwy. Chyba nie chciałbyś być ofiarą takiego żółtodzioba?

Trent spojrział na niego ponuro, ponownie wzruszył ramionami i odwrócił się twarzą ku wejściu do windy. Tymczasem Daniel skinął na Długiego i ubezpieczał jego dołączenie do grupy.

Długi sapnął z ulgą, gdy drzwi windy zamknęły się za nimi.

— Najgorsze dopiero przed nami — mruknął Daniel.

— To prawda — powiedział obojętnie Trent, zerkając od czasu do czasu na emitor obezwładniacza, który trzymał w ręku Jorgen.

— Ilu was tam jest? — zapytał Daniel spoglądając znacząco w górę.

— Wystarczy, jak dla was. Tam jest osłona osobista Generała Vittoliniego, eksperci i Vittolini. Sami ważniacy.

— Vittolini? — zainteresował się Długi.

— Tak. A bo co?

— Nic. Nieważne — powiedział powoli i zamilkł.

— Jak jest rozmieszczona osłona? — indagował Daniel.

— Namawiasz mnie do zdrady — stwierdził Trent. — A za to regulamin przewiduje karę najwyższą. Nic z tego, chłopcze.

— Zginiesz.

— Wolę zginąć jako Trent niż jako zdrajca.

— Wszystko jedno — powiedział Daniel z determinacją. — Przecież oni nie pilnują Candy, tylko tego pieprzonego Generała. Które to piętro?

— Centrum Dyspozycyjne jest na sto dwudziestym, ale jeśli szukasz dziewczyny, to ona jest na sto dziewiętnastym. Tam mamy pomieszczenia rekreacyjne.

— Słuchaj, tatusiu — głos Daniela był lodowaty. — Jeśli szykujesz jakiś kawał...

— Nie mam zamiaru, cię przekonywać — przerwał mu Trent niecierpliwie.

— Wolałbym po prostu nie znaleźć się między waszymi pukawkami a pukawkami czar-
nuchów. A tak się na pewno stanie, jeśli pojedziecie na sto dwudzieste.

— O jakich czarnuchach mówisz? — zainteresował się Długi.

— Tych z Czarnego Batalionu.

— To oni nie zostali rozbici?

— Ocalał jeden pluton. Dwóch z tego plutonu przecież sprzątnęliście na dole.

— Jedź na sto dziewiętnaste — rzucił krótko Daniel.

Trent odprężył się i odsunął od siebie emitor obezwładniacza Jorgena.

— Ta dziewczyna i tak miała być wypuszczona — powiedział. — Tylko przedtem Max chciał z nią pogadać. Prywatnie, Pewnie głównie o tobie, chłopcze — spojrzał na Daniela — bo zdaje mi się, że wy się nie lubicie. Nie dziwię ci się, bo i ja za nim nie przepadam, ale to ulubieniec Generała — zachichotał krótko i zamilkł.

Winda zatrzymała się na sto dziewiętnastym piętrze. Drzwi rozsunęły się z szelestem i pierwszy wyskoczył Daniel. Hall był pusty. Miał on kształt okręgu, którego środek stanowiła struna szybów windowych i przytulona do nich awaryjna klatka schodowa. Puszysta wykładzina tłumiła odgłos kroków.

— Gdzie? — zapytał Daniel, a Jorgen ponownie skierował obezwładniacz na Trenta.

— Kilkanaście minut temu byli tam — wskazał na jedne z licznych drzwi na obwodzie okręgu. — Myślę, że jeszcze tam są.

— Czy tam w środku killer ma jakąś obstawę?

— Nie wiem — odparł Trent. — Ale myślę, że jak się jest z dziewczyną, to obstawę zostawia się za drzwiami.

— Zamknij się! — syknął Daniel i zbliżył się ostrożnie do wskazanych drzwi. Nie dochodził go żaden dźwięk, więc spojrzał podejrzliwie na Trenta.

— One są dźwiękoszczelne — wyjaśnił sierżant, wzruszając swoim zwyczajem ramionami.

— Pilnuj go dobrze — powiedział do Jorgena. — A ty — zwrócił się do Długiego — miej oko na wszystko.

— Wejść z tobą — zaproponował Długi. — Tutaj Jorgen wystarczy.

Daniel pokręcił przecząco głową:

— On mu może wyciąć jakiś kawał. — Spojrzał na Trenta. — To stary fachowiec.

— To może ja? — zaproponował nieśmiało Jorgen.

— Nie, bo jeszcze mnie postrzelisz. Tutaj możecie w każdej chwili mieć aż za dużo do roboty.

Jakby na potwierdzenie tych słów odezwał się brzęczyk wideocomu, przypiętego do bluzy Trenta. Daniel pchnął Trenta pod ścianę, aby Długi i Jorgen zniknęli z pola widzenia kamery wideocomu i powiedział prędko:

— Ani jednego fałszywego słowa, tatusiu, bo zginiesz. — Już mi to mówiłeś — odparł Trent spokojnie.

— Nigdy nie dość ostrzegania.

Brzęczyk odezwał się ponownie. Trent, patrząc na nich ponuro, włączył wideocom. Z głośnika odezwał się zaniepokojony głos Adlera:

— Co się z tobą dzieje? Gdzie jesteś?

— Max ma jakąś sprawę do mnie — mruknął do mikrofonu.

— Nie widzę cię w monitorze — stwierdził Adler.

Daniel wykonał niecierpliwy gest i skierował na Trenta obezwładniacz.

— No to popatrz — Trent wycelował wideocom w swoją twarz. Na małym monitorze dostrzegł twarz Adlera, wpatrującego się weń z napiętą uwagą: — Wszystko w porządku?

— Tak, jak widzisz.

— A co z tymi, którzy sprzątnęli wartowników?

Trent zawahał się, a Daniel dotknął obezwładniaczem jego brzucha.

— A co ma być? — powiedział flegmatycznie. — Rozwaliłem ich. To byli jacyś szaleńcy.

— Dobrze — powiedział Adler i odprężył się. — Nie marudź długo u Maxa, bo stary chciał cię zobaczyć. Nadchodzą jakieś kolumny. Stary ma nadzieję, że to posiłki, a nie ci pieprzeni desantowcy. Jeśli to posiłki, to pewnie stąd ruszymy, a jeśli nie... Lepiej nie mówić. Spiesz się. Koniec.

— Koniec — mruknął Trent i, ponaglony przez Daniela, wyłączył wideocom.

— Zmusiłeś mnie do złożenia fałszywego meldunku służbowego, chłopcze. — Spojrzał obojętnie na Daniela. — Zdarzyło mi się to pierwszy raz w życiu.

— Wszystko robi się kiedyś po raz pierwszy i ostatni — powiedział Daniel. — Uważaj na niego, Jorgen. Jakby zaczął majstrować przy tym — wskazał wideocom — to wiesz, co masz robić?

Jorgen skinął głową. Był zły na siebie, że nie mógł ukryć zdenerwowania i strachu. Najchętniej zażyłby pastylkę uspokajającą, ale bał się choćby na moment spuścić oczy z Trenta. Odczuwał coś na kształt podziwu i zazdrości, że człowiek ten w obliczu śmiertelnego zagrożenia zachowywał spokój i opanowanie, jakby to wszystko dotyczyło kogoś innego. Jorgen nigdy przedtem nie miał obezwładniacza w ręku; ciążyło mu to urządzenie i bał się go. Błagał w duchu tego flegmatycznego człowieka, aby nadal zachowywał się powściągliwie. Na myśl o tym, że musiałby nacisnąć spust, odczuwał mdłości. Obawiał się, że po pierwszym wylądowaniu nie opanuje owych mdłości i skompromituje się zupełnie. Czuł dziwny ucisk w gardle i przemożną chęć, aby już było po wszystkim. Odchrząknął i powiedział:

— Nie pozwolę mu nawet drgnąć. — Głos jego zabrzmiał piskliwie, jakby ponownie wszedł w okres chłopięcej mutacji.

Długi zajrzał mu uważnie w twarz i zapytał:

— Dobrze się czujesz?

Jorgen skinął głową, nie spuszczać wzroku z Trenta.

Tymczasem Daniel stanął przed zamkniętymi drzwiami z krótkim obezwładniaczem w ręku, wykonał kilka głębokich wdechów i chwycił za klamkę. Obracał ją przez chwi-

lę delikatnie, a potem pchnął drzwi gwałtownie i z obezwładniaczem gotowym do wyładowania wpadł do środka. Jego mózg zarejestrował Candy, skuloną u szczytu wąskiej kanapy i pochylającego się nad nią grubego killera, rozebranego do połowy. Strzelił bez namysłu w pochylającą się sylwetkę, ale świetlista igła wyładowania minęła cel i trafiła w olbrzymią tafłę szyby, która rozciągała się od podłogi do sufitu jako zewnętrzna ściana pokoju. Tafla szyby rozprysła się na drobne okruchy i do środka wdarły się gorące podmuchy powietrza. Daniel chybił; ktoś bowiem stojący za drzwiami podbił mu obezwładniacz. Zaraz potem odczuł celny cios w łokieć, po którym obezwładniacz wysunął mu się ze zdrętwiałej dłoni. Instynktownym unikiem zdołał usunąć się przed następnym ciosem, który był wymierzony w nasadę nosa. Drzwi zatrzasnęły się za nim, a on stał bez broni w kącie pokoju, w którym — poza killerem — był jeszcze potężnie zbudowany mężczyzna, zbliżający się teraz do niego drobnymi, czujnymi krokami. Wszystko to trwało dwie, a może trzy sekundy.

Daniel błyskawicznie ocenił sytuację: killer właśnie gramolił się zza kanapy, gdzie schronił się w obawie przed kolejnym wyładowaniem. Już poznał Daniela, jego twarz bowiem rozciągnęła się w uśmiechu, jaki miewają alkoholicy na widok pierwszego kieliszka. Candy siedziała skulona, tak jak przedtem, i mogłoby się wydawać, że śpi, gdyby nie jej szeroko otwarte, nieruchome oczy. Prawdopodobnie była w szoku. Mężczyzna z obstawy killera był na szczęście bez broni, ale przewyższał Daniela przynajmniej o głowę.

— Uważaj, on gryzie! — ostrzegł go killer i zaczął ostrożnie zbliżać się do swojego, rzuconego w nieładzie ubrania, gdzie zapewne miał ukryty obezwładniacz. Mężczyzna jednak zignorował uwagę killera i zbliżał się do Daniela jak po łatwą zdobycz. Teraz Daniel nie myślał już o niczym. W mięśniach czuł rozkoszne podniecenie, jak zwykle przed decydującym starciem, a jego nogi zaczęły wykonywać taniec śmierci. Zamienił się cały w maszynę do zadawania ciosów. Ów wielokrotnie odczuwany stan euforii walki był równie odurzający, jak najsilniejszy narkotyk, ale miast pozbawiać — wydobywał z ciała wszystkie jego możliwości, kulturowane starannie wieloletnim treningiem.

Skoczył jak sprężyna i z półobrotu piętą wbił się w twarz mężczyzny. Chrzęst miazdzonych kości i urwany krzyk, który zmienił się w charkot, świadczyły, że cios był celny. Killer był już blisko swojego ubrania, ale Daniel okazał się szybszy: jednym kopnięciem wyrzucił ubranie w blisko stu dwudziestopiętrową przepaść. Części garderoby killera opadały niczym wielkie ptaki z poprzewracanymi skrzydłami.

Daniel poszukał wzrokiem swojego obezwładniacza. Leżał w przeciwnym kącie pokoju, wciśnięty pod elegancki dystrybutor żywnościowy. Za daleko, by sięgnąć go jednym skokiem. Killer miał nieco bliżej i teraz, nie spuszczać wzroku z Daniela, przesunął się powoli w kierunku dystrybutora. Uśmiech znikł z jego twarzy, ale nie była to twarz człowieka przestraszonego. Rysowało się na niej napięcie pomieszane z czymś

w rodzaju ciekawości, a może nawet zdumienia. Widocznie killer, przyzwyczajony do roli myśliwego, nie mógł pogodzić się z rolą ofiary i to w jednym z najbezpieczniejszych, zdawałoby się, miejsc na Apostezjonie: w Centrum Dyspozycyjnym Sektora IV.

— Candy — powiedział spokojnie Daniel. — Weź obezwładniacz.

Candy nie ruszyła się jednak, killer zaś, zachowując bezpieczną odległość uniemożliwiająca bezpośredni atak jednym skokiem, znów zbliżył się trochę do dystrybutora. Daniel zaś był zbyt doświadczonym zawodnikiem, by ryzykować atak bez przygotowania.

— Candy! — krzyknął. — Rusz się wreszcie! Pamiętasz? Dla ciebie wszedłem na latarnię uliczną. Teraz ty dla mnie wejdź pod ten dystrybutor i weź obezwładniacz. Candy! To ja, Daniel!

Candy drgnęła, jakby istotnie zbudziła się ze snu. Spojrzała na dystrybutor, zwlokła się z kanapy i wzięła obezwładniacz do ręki. Killer znieruchomiał: z tyłu miał Candy z obezwładniaczem, a przed sobą, na tle nieba, które kiedyś oddzielone było solidną taflą szkła, widział czającą się do skoku sylwetkę Daniela. Postąpił krok w jego kierunku, po czym runął nań z okrzykiem:

— Polecimy razem, ptaszku!

Daniel chciał wykonać unik, ale potknął się o stół i poczuł, że killer łapie go za nogi i ciągnie za sobą w przepaść. Kontuzjowaną ręką złapał się odruchowo stolika, który jednak pod ich ciężarem zjechał do krawędzi podłogi i zaczepił nogami o występ, służący do mocowania tafli okiennych. Drugą, zdrową ręką Daniel uchwycił się tego występu. Nie czuł bólu zaciśniętej dłoni rozcinanej przez ostre blachy. Killer ciążył mu nieznacznie, kontuzjowana ręka zaś odmawiała powoli posłuszeństwa.

— Candy! — krzyknął. — Zabij go!

Candy posłusznie ruszyła w kierunku przepaści.

— Połóż się na podłodze! — rozkazał Daniel. — Szybciej! — Poczł, że killer zaczyna się po nim wspinać.

Położyła się apatycznie na podłodze i celowała uważnie, jakby nawlekała igłę. Potem nacisnęła spust dwa razy: pierwsze wyładowanie przeleciało obok, drugie zaś otarło się o lędźwie Daniela i trafiło killera w prawy bark. Killer zaczął spadać i wtedy obezwładniacz wypadł Candy z rąk i poleciał w ślad za nim. Daniel wdrapał się szybko do pokoju, stanął na chwiejących się nogach i przez chwilę oddychał głęboko. Potem spojrzał ostrożnie w czeluść i zmartwiał: wokół wieżowca roily się sylwetki ludzi w uniformach, wysiadające z pojazdów bojowych.

Podniósł Candy, która przywarła doń całym ciałem; jej piersi rozrywał szloch, choć oczy miała suche. Wyzwolił się delikatnie z jej objęć i powiedział:

— Idziemy. Killera już nie ma.

Nadal był czujny. Postawił Candy za drzwiami i otworzył je delikatnie, gotów w każdej chwili do działania. Odetchnął z ulgą, gdy usłyszał z drugiej strony szept Długiego:

— Nareszcie!

— Na dole jest pełno speców — powiedział. — Tamtędy nie przejdziemy. Chodź, Candy — wziął ją za rękę, bo na widok Trenta cofnęła się przerażona. — On ci nic nie zrobi.

— Załatwiłeś killera? — zapytał Długi.

— Ona to zrobiła — wskazał na Candy, która szła posłusznie tuż przy nim. — Jak długo byłem w środku?

— Cztery minuty — odparł Długi.

— Wydawało mi się, że dłużej, znacznie dłużej. Tu na dachu jest zapewne lądowisko wirolotów. Mam rację? — zwrócił się do Trenta.

— Tak, ale trzeba przejść przez sto dwudzieste piętro.

— Ty nas przeprowadzisz — powiedział Daniel twardo. — Nie mamy innego wyjścia. Jorgen! Daj mi obezwładniacz. — Wyciągnął do niego rękę i wtedy Jorgen powiedział:

— Długi! On krwawi!

— To tylko skaleczenie — machnął niecierpliwie ręką. — Prowadź, Trent, tylko z czuciem, bo jedziesz na tym samym wózku co my. Też nie przeżyjesz naszej wpadki. — Skierował się do szybów windowych.

— Nie tędy, młodzieńcze — głos Trenta był nadal opanowany. — Jeśli w ogóle macie jakąś szansę, to tylko schodami.

— Dobrze! — Daniel zgodził się łatwo. — Twoja głowa w tym, żeby się nam udało. Będziesz szedł pierwszy. — Trącił go lekko emitorem obezwładniacza.

Ruszyli w kierunku klatki schodowej. Pierwszy szedł Trent, tuż za nim Daniel, potem Candy i Jorgen. Długi zamykał pochód. Na schodach nie było nikogo. Na podście schodów, z którego było wejście na sto dwudzieste piętro, dwóch speców trzymało wartę. Mieli broń w pogotowiu, ale gdy dostrzegli Trenta, opuścili obezwładniacze. Potrzebowali kilku sekund, by zorientować się, że coś jest nie w porządku. Zanim jednak zdołali ponownie wymierzyć, odezwał się obezwładniacz Daniela: dwa suche trzaski wyładowań, po których wartownicy osunęli się na podłogę.

— Teraz biegiem! — powiedział zduszonym szeptem Daniel i ponaglił obezwładniaczem Trenta. Przebiegli obok leżących ciał, przy których Candy zatrzymała się na moment, ale pchnięta przez Jorgena, przeskoczyła przez nie i podążyła za Danielem.

Trent już otwierał drzwi na lądowisko, gdy Daniel usłyszał z dołu jakieś krzyki.

— Szybciej! Szybciej! — ponaglał Trenta, który wreszcie uporał się z drzwiami. Na lądowisku stały trzy wiroloty, a jeden z nich rozgrzewał silniki.

— Ten! — zdecydował Daniel.

Pierwszy dopadł maszyny, otworzył drzwi do kabiny pilota i rzucił krótko:

— Precz!

Siedzący za sterami spec spojrział zaskoczony na obezwładniacz Daniela, a potem zniknął jak zdmuchnięty. Daniel zajął jego miejsce. Reszta tymczasem zajmowała miejsca pasażerskie. Ostatni wsiadł Długi. Wtedy Trent krzyknął:

— Jadę z wami! — i zaczął się gramolić do kabiny pasażerskiej. Długi odepchnął go, by zatrzaskać drzwi, ale Trent krzyknął:

— Oni mnie załatwią! Nikt mi nie uwierzy...

W jego głosie było tyle błagania, że Daniel, po krótkim wahaniu, wrzasnął:

— Właź! Na co czekasz?

Trent wskoczył do środka i zatrzaskał drzwi. Wirolot natychmiast uniósł się w powietrze, a na lądowisko wysypała się spora grupa speców. Wyładowania obezwładniaczy ślizgały się po opancerzonym kadłubie maszyny, ale nie były w stanie przerwać ich lotu.

Oddalali się szybko. Tymczasem na lądowisku trwał gorączkowy ruch. Wieżowiec był już daleko, gdy oderwały się od niego dwa następne wiroloty.

— Gonią nas. — stwierdził Długi.

Daniel zniżył gwałtownie lot maszyny i zaczął kluczyć wśród nierówności terenu. Prowadził maszynę płynnie i pewnie. Ręka dokuczała mu trochę i dopiero teraz poczuł, że doskwiera mu oparzenie, wywołane nazbyt bliskim przejściem wyładowania, które przeznaczone było dla killera. Nie pomagały zmiany pozycji na fotelu pilota: siedział dokładnie na oparzeniu.

— Powiedz mu, żeby do mnie nie celował — zwrócił się Trent do Daniela, odsuwając na bok emitor obezwładniacza, trzymanego przez Długiego.

— Zabierz mu wideocom — powiedział Daniel do Długiego. — I możesz już do niego nie celować. Ten spec, którego wyprosiłem z kabiny, widział, że Trent wsiadał sam. On już jest u nich spalony.

— Dogonią nas? — zapytał ostrożnie Jorgen. Daniel nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się.

Wirolot zanurzał się w wąwozy ulic i muskał korony drzew. Wieżowce centralnej aglomeracji zostały daleko w tyle.

XXX

*WARGACZ — LOVITT — ZWYCIĘSTWO!
NORDMANN JEST UCZNIEM WARGACZA
NORDMANN WIE, CO ROBI*

napisy, które pojawiły się na murach miasta w dniu 27 kwietnia 2044 roku

Rany goiły się szybko. Zresztą Alma zakrzętnęła się wokół nich natychmiast i dopiero wtedy Daniel dowiedział się, że ma ona patent lekarza. Nie pracowała co prawda w żadnym szpitalu, ale na brak pacjentów nie narzekała.

Gdy prowadzeni przez Długiego i Jorgena dotarli wreszcie do domu Almy, który był najobszerniejszy i w tych trudnych czasach przepełniony ludźmi, witano ich jak zmarłychwstańców. Claire i Grimaldi przywieźli bowiem wiadomość, że wyprawa zakończyła się nieszczęśliwie, a Jorgen, Długi i Daniel prawdopodobnie zginęli.

Matylda zajęła się stanem psychicznym Candy. Zabiegi musiały być skuteczne, jeszcze bowiem tego samego dnia Candy zaczęła reagować mniej więcej normalnie. Kolację zjadła z apetytem i nawet wypła trochę wina, co wprawiło ją w dobry humor. Nie trzymała się już kurczowo Daniela i od czasu do czasu dorzucała jakiś szczegół do relacji Długiego, któremu dzielnie wtórował Jorgen.

Po kolacji Grimaldi włączył telewizor. Przełączył kilka kanałów z muzyką poważną, aż wreszcie trafił na kanał satelitarny, na którym podawano wiadomości. Wynikało z nich, że od kiedy Nordmann stanął na czele lovittów, szale zwycięstwa zdawały się przechylać na ich stronę. — Coraz więcej oddziałów wojskowych podporządkowywało się Nordmannowi. Nawet niektóre oddziały policyjne zmieniły front. W relacjach przewijało się nazwisko Iry Dogowa, znanego wśród lovittów jako Wargacz. Wskazywano, że jego śmierć była kamyczkiem, który zupełnie niespodziewanie poruszył lawinę. Porównywano ją do iskry rzuconej na beczkę prochu. Szkice biograficzne, komentarze i analizy zagranicznych specjalistów pełne były nieścisłości, naiwnych interpretacji i zwykłych pomyłek, które od czasu do czasu wzbudzały wybuchy śmiechu siedzących przy stole.

— Szkoda, że Ira tego nie dożył — zauważyła Alma i wszyscy zamilkli.
Po chwili wstał Długi, wziął do ręki kieliszek wina i powiedział:
— Wypijmy za niego, wypijmy za to, by jego śmierć nie była daremną ofiarą.
Wszyscy wstali i spełnili toast w milczeniu. Usiedli i obserwowali nieuważnie telewizję. Po pewnym czasie Alma powtórzyła:
— Szkoda, że go nie ma wśród nas. Myślę, że gdyby słyszał ten toast, toby nas wyśmiał. Nie znosił patosu.
— Powiedziałem, co myślałem — mruknął Długi. — Jak widzę, co ci lovitci wyrabiają, to zaczynam wierzyć, że on miał rację. To wszystko stało się za wcześnie. Za wcześnie. Nie widzę w tym wszystkim miejsca dla nas, temporystów i dlatego obawiam się, że jego śmierć może być daremna. Zobaczcie, jakie głupstwa mówią o nim już teraz. A co będzie w przyszłości?
— Może jeszcze wina? — zapytała Claire.
— Chętnie. — Jorgen podsunął swój kieliszek.
— Tobie wystarczy. Wiesz, że masz słabą głowę.
— Grimaldi — jęknął Jorgen. — Powiedz coś!
— Sam sobie musisz dać radę, chłopie. — Grimaldi bezradnie rozłożył ręce. — Ja bym sobie nie dał tak w kaszę dmuchać.
— Daj mi wina! — Jorgen ponownie podsunął swój kieliszek.
— Ani mi się śni. Widzicie, on już jest pijany! — powiedziała Claire z oburzeniem.
— Niedługo zwali się pod stół, jak jakiś lovitt...
— Znowu się kłóćcie! — przerwała jej Alma. — Jak myślałaś, że zginął, to odchodziłaś od zmysłów, a teraz...
— Przesadzasz — wzruszyła ramionami Claire. — Jak zwykle przesadzasz, a potem on myśli nie wiadomo co — spojrzała badawczo na Jorgena.
— A ja myślę — odezwała się nagle Matylda — że on jest z tym swoim przyjacielem, w którego wierzył.
— Kto? — zapytała Claire zadowolona ze zmiany tematu.
— Ira. Czuję, że dołączył do tego swojego brodatego przyjaciela, z którego podobną nie rozstawał się, tego, który urodził się dwa tysiące czterdzieści cztery lata temu, a zmarł w mękach trzydzieści parę lat później. Rozumiecie, o czym mówię? — spojrzała bezradnie na siedzących wokół stołu.
— Nikt nie wie, jak jest tam, po drugiej stronie — powiedział ostrożnie Długi.
— Nikt. I tak już zostanie na zawsze.
— Ale można mieć nadzieję — rzekła wolno Matylda. — Nikt z was nie zaprzeczy, że Ira był dobrym człowiekiem. A wiecie, dlaczego był dobry?
— Bo taki miał charakter — powiedziała Alma.

— Czy myślisz, że to tylko z tego powodu porzucił nas i poszedł do lovittów? On nie tylko sam chciał być dobry, ale chciał, aby inni ludzie też umieli rozróżniać dobro od zła. Dlatego poszedł do lovittów. Chciał im dać moralność i za to został zabity.

— Z nieba gwiazdzistego nade mną — ład moralny we mnie — powiedziała w zadumie Claire. — To ładna hipoteza. Matyldo, ale tylko hipoteza. Sama o tym dobrze wiesz.

— O czym oni mówią? — szepnęła Candy do Daniela. — Nie mieliśmy tego na zajęciach.

— Chyba mówią o jakiś zabobonach — rzekł ostrożnie i dodał zniecierpliwiony: — Zresztą, nie znam się na tym! Chce mi się spać. To był naprawdę wyczerpujący dzień. Idziemy?

— Mhm... — skinęła głową.

Wymknęli się z jadalni i poszli do pokoju, w którym Alma przygotowała im posłania. Candy myślała się długo, jakby chciała splukać z siebie przeżycia ostatnich dni. Daniel już zaczął się niecierpliwić, gdy usłyszał, że plusk wody ustał i Candy go woła.

— Słucham! — krzyknął pod drzwiami łazienki. — Podaj mi piżamę.

— Chwileczkę! — Wrócił do pokoju, wziął piżamę jednorazowego użytku i wszedł do łazienki. Candy, ociekająca wodą, wyszła właśnie spod prysznic i owijała się dużym ręcznikiem kąpielowym. Daniel poczuł, że wszystkie dotychczasowe blokady zniknęły bez śladu i że jej pragnie, teraz, już, natychmiast... Rzucił piżamę na taboret, podszedł do niej i zdjął z niej ręcznik. Spojrzała na niego zdumiona, ale nie zdążyła nic powiedzieć, gdyż zamknął jej usta pocałunkiem. Pod palcami czuł jej wilgotne ciało. Wkrótce też Candy poddała się jego nastrojowi. Rozpięła jego kombinezon, z którego wyzwolił się z łatwością. Jej ręce rozpoczęły stary, a jednak ciągle odnawiany i niepowtarzalny miłosny taniec. Czuł je wszędzie, być może nawet tam, gdzie nie dotarły. Wszedł w nią brutalnie, aż z jej ust wydobył się jęk. Nogi ugięły się pod nią i opadła na brzeg wanny. W tej dziwacznej pozycji zaczęła mu się wymykać, więc porwał ją na ręce i wówczas wpadli oboje w ten znany, a jednak niezmienny tajemniczy rytm, który prowadził ich aż do szczytu, gdzie czekał ów wszechogarniający, wibrujący dreszcz i krótkie, ale dojmujące zespolenie w nierozzerwalną zdawałoby się całość.

Stało się to wszystko tak nagle, że jeszcze teraz, gdy oddechy ich stopniowo się uspokajały, gładzili się delikatnie, jakby nie wierząc, że już po wszystkim. Wreszcie Candy przywarła całym ciałem do Daniela i powiedziała:

— Jesteś bardzo brutalny, zawodniku. Można się było tego po tobie spodziewać. Chyba będę musiała się znowu umyć.

— Ja też — stwierdził Daniel.

Wskoczyli pod prysznic, a potem Daniel zaniósł ją do łóżka. Teraz już w ich wzajemnych pragnieniach nie było pośpiechu.

Obudzili się późno. Słońce stało wysoko, a zza drzwi dochodził gwar domowego życia...

— Zdaje się, że zaspaliśmy — mruknęła Candy, przeciągnęła się i przytuliła do Daniela.

— Zdaje się... — odpowiedział jeszcze na wpół senny.

— Przyniosę coś do jedzenia — poderwała się, ale Daniel przycisnął ją z powrotem do poduszki i mruknął:

— Poleż jeszcze trochę.

— Chyba będę musiała zacząć ćwiczyć, bo mnie zupełnie sterroryzujesz — powiedział zadziornie. Leżała przez chwilę nieruchomo, a potem wysliznęła się nagle spod ręki Daniela, wskoczyła na niego, obróciła go na wznak i przycisnęła obie jego ręce do posłania. — Nie myśl sobie, że nie umiem walczyć! — powiedziała. — Poddajesz się?

— Nie mam najmniejszych szans — stwierdził z pokorą.

— No! — wysapała zadowolona. — Pamiętaj, że ze mną nie masz szans. — Wskoczyła z łóżka, wrzuciła na siebie kombinezon i wyszła z pokoju. Daniel zwlókł się z łóżka, włączył telewizor i poszedł do łazienki. Ody wrócił, z ekranu mówiła do niego jakaś znajoma twarz. Przypomniał sobie: to był Wintage. Włączył fonię.

— ...minęły bezpowrotnie — mówił Wintage z namaszczeniem. — To były koszarne czasy zniewolenia i zakłamania, łamania ludzkich charakterów i deptania godności. Sam wielokrotnie próbowałem się temu przeciwstawiać, ale cóż może jednostka. Ale miara cierpliwości się przebrała. Dzisiaj, dzięki lovittom, z których i ja się wywodzę, możemy mówić pełnym głosem o wszystkim, co nas boli. Oszczyństwa i kalumnie, rzucane na jednego z nielicznych sprawiedliwych, na Wiktora Nordmanna, który w odpowiednim czasie miał odwagę powiedzieć nie, padały również z tego ekranu. A tymczasem Nordmann od dawna przeciwstawiał się złu, o czym świadczą zapisy w jego dzienniku prywatnym, który — mam nadzieję — zostanie wkrótce opublikowany. Niewiele brakowało, aby ciemne siły, z samozwańczym generałem Vittolinim na czele, zdrajcą Martenem i garstką ich popleczników, zmiażdżyły kielkującą nadzieję naszego kraju, wielki ruch ludzi dobrej woli, który zrzuca skostniałą skorupę, by mogły ujrzeć światło dzienne nowe, ożywcze prądy. Zbrodniarze stanu nie unikną kary, ale o jej wysokości orzeknie sprawiedliwy sąd. Nie możemy zapomnieć, że Wiktor Nordmann jest uczniem i spadkobiercą duchowym wielkiego Wargacza, który za to, byśmy dzisiaj mogli cieszyć się wolnością, zapłacił cenę najwyższą. Ale ofiara jego śmierci, nie będzie daremna. Ta ofiara stanie się, już się stała, podstawą nowego ładu społecznego, który ma dla nas wszystkich wartość najwyższą, który jest ucieleśnieniem...

Daniel wyłączył telewizor i poczuł, że robi mu się niedobrze. Pobiegł do łazienki, ale skurcze żołądka ustąpiły. Złapał kilka głębokich oddechów i rozluźnił się, a potem wrócił do pokoju. Była tam już Candy ze śniadaniem.

— Co się stało? — zapytała.

— Nic, nic — zbył ją nieważnie. — Miałem jakiś dziwny skurcz żołądka.

— Jesteś mało odporny, zawodniku — powiedziała z uśmiechem. — Muszę popracować nad twoją kondycją. A teraz jedzmy, bo jestem piekielnie głodna.

Jadł bez apetytu, unikając badawczych spojrzeń Candy. Przez chwilę panowało milczenie, które przerwała Candy:

— Nie mów mi, że nic się nie stało. Przecież widzę. Czy to... — zawahała się — czy to ma jakiś związek z nami?

— Skąd ci to przyszło do głowy, malutka? — pogładził ją po włosach.

— Jeśli tak, to w porządku. — Rozsiadła się wygodnie i wróciła do jedzenia. Potem spojrzała na niego spod rzęs i powiedziała surowo — Nie nazywaj mnie malutką. Kto cię przed chwilą pokonał?

— Ty — przyznał ze skruchą.

— A razem pokonamy wszystkie przeciwności, nie sądzisz?

— Może...

Ktoś zapukał delikatnie do drzwi.

— Proszę! — krzyknęła Candy, a Daniel przykrył się kołdrą. Do pokoju weszła Alma z wideocomem w ręku.

— To do ciebie, Daniel.

— Do mnie? — zdumiał się. — Kto mnie tu odnalazł?

— Nordmann — szepnęła. — Czy wiesz, kim on jest teraz?

Pokręcił przecząco głową.

— Prezes Rządu Tymczasowego, a w przyszłości prawdopodobnie głowa państwa.

Daniel odebrał z jej rąk aparat i rzucił do mikrofonu:

— Słucham!

— Daniel? — usłyszał głos Nordmanna.

— Tak, to ja.

— Nareszcie cię odnaleźliśmy, chłopcze! Jesteś mi bardzo potrzebny. Zupełnie nie wiedziałbym, jak cię odnaleźć, gdyby nie pomoc pułkownika Trenta.

— Pułkownika?

— Tak, awansowałem go dzisiaj rano, bo oddał sprawie znaczne przysługi, a przy tym to prawdziwy fachowiec. A teraz do rzeczy! Chce, żebyś zajął się organizacją służb ochrony naszego młodego państwa. Nigdy nie zapomnę, że dzięki tobie przetrwałem najtrudniejszy czas, a nadchodzące lata wcale nie będą łatwiejsze. Chcę, żebyś pomógł mi opanować rozhukane żywioly. Niezapomniany Wargacz z pewnością byłby zadowolony z mojego wyboru. Zresztą, muszę lojalnie przyznać, że pomysł ten podsunęła mi Berta, która służy mi nieocenioną pomocą w kontakcie z lovittami. Wiesz? Mimo że sympatyzuję z nimi, to nie zawsze rozumiem ich reakcje, a i oni nie zawsze są skłonni

podporządkować się moim decyzjom. Na razie imię Wargacza działa jak magiczne zaklęcie, ale jak długo jeszcze? Potrzebuję ciebie i to szybko. Myślę, że mi nie odmówisz, chłopcze?

— Mam inne plany — powiedział twardo Daniel.

— Czy to twoja ostateczna odpowiedź?

— Tak.

— Szkoda. Liczyłem na ciebie. — Nordmann rozłączył się.

— Czego chciał? — zapytała zaintrygowana Candy.

— Nic takiego... — odparł lekceważąco. — Chciał, żebym zajął się organizacją następných zawodów.

— To będą zawody? — w głosie Almy było zdumienie.

— Wcześniej niż się spodziewasz, tyle że na widowni siedzieć będą lovitci.

— Coś takiego! — powiedziała Alma. — Pójdę powiedzieć reszcie.

Gdy wyszła z pokoju, Candy spojrzała badawczo na Daniela i zapytała:

— Może jednak mi powiesz, jakie masz plany?

— Ja? Żadnych — wzruszył ramionami.

— Mówiłeś mu przecież, że masz inne plany — nie ustępowała.

— Tak mi się tylko powiedziało.

— Będziesz startował?

— Nie — pokręcił wolno głową. — Czuję, jakby w głowie otworzyła mi się jakaś klapka. Widzę więcej, rozumiem więcej... Nie, teraz już nie mógłbym startować.

— To dobrze — przytuliła się do niego. — Nie chciałam ci tego mówić, ale nie znoszę zawodów.

— Powiedziałaś mi to już przy pierwszym spotkaniu. Czyżbyś zapomniała? — Objął ją, ale spojrzenie miał nieobecne.

— Ach, prawda! — zgodziła się. — Co zamierzasz robić?

— Nie wiem... Może opuścimy wyspę? — zapytał z nagłym ożywieniem.

— Chcesz wyjechać? — Odsunęła się od niego i spojrzała mu uważnie w oczy.

— Z tobą. — Przycisnął ją do siebie.

— Dokąd?

— Nie wiem... Do jakiegoś egzotycznego, wolnego i zasobnego kraju...

— A są takie kraje?

— Są, na pewno.

— To szalony pomysł — stwierdziła. — Nigdzie nie jadę. I ciebie też nie puszcę.

— Ale tutaj... Cóż nas czeka?

— Wiele się zmieniło. Przyszłość będzie lepsza, a to, co było — już nie wróci.

— Zmieniło się, to prawda, ale mniej niż myślisz, a ja już nie mógłbym żyć tak jak dawniej.

- Ani ja.
- To co będziemy robić?
- Chcę być z tobą, chcę mieć z tobą dzieci. Może... Może zostaniemy wśród nich?
- skinęła głową w kierunku drzwi, za którymi zniknęła Alma.
- Wśród temporystów?
- Mhm...
- I co? Będziemy tak po prostu trwać?
- Nie trwać, a żyć — poprawiła go.
- Tak po prostu?
- Tak po prostu — potwierdziła.
- To jest bezruch — odsunął ją gwałtownie. — Wiesz, co to znaczy? Mięśnie wiotczą, instynkt tępieje, a refleks gaśnie. To nie dla mnie. Chyba nie chcesz, abym był taki jak Jorgen? Zresztą, nawet gdybyś chciała, to nie mógłbym być taki. Nie. Candy, nie znoszę bezruchu, nawet jeśli ty nazywasz to życiem. Dla mnie bezruch — to śmierć.
- Uspokój się, Daniel. — Położyła mu rękę na piersi. — Uspokój się. Wszystko jakoś się ułoży.
- Jak myślisz? — zapytał z ożywieniem. — Ilu killerów chodzi jeszcze po ulicach?
- Nie mam pojęcia — spojrzała na niego zaskoczona. — Dlaczego pytasz?
- Czy Nordmann przyjmie ich na służbę?
- Skąd mogę wiedzieć? Teraz chyba będzie, inaczej. Po co Nordmann miałby ich zatrudniać?
- Jeżeli ich nie zatrudni, w co wątpię, to zaczną działalność na własny rachunek. Może nawet zdołają pociągnąć za sobą część lovittów? Może stworzą jakąś pseudoideologię, która usprawiedliwiać będzie przemoc — ożywił się coraz bardziej.
- O czym tym mówisz, Daniel? — zapytała z niepokojem. — Nie myślisz chyba...
- Dobrze! — przerwał jej. — Zostaniemy wśród temporystów. Już wiem, co będę robił.

SPIS TREŚCI

I	3
II	9
III	14
IV	20
V	27
VI	32
VII	35
VIII	39
IX	46
X	49
XI	57
XII	63
XIII	68
XIV	76
XV	81
XVI	88
XVII	92
XVIII	98
XIX	104
XX	109
XXI	117
XXII	123
XXIII	128
XXIV	134
XXV	144
XXVI	150

XXVII	164
XXVIII	170
XXIX	176
XXX	189